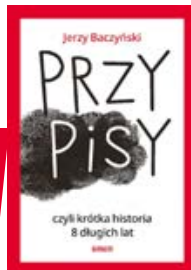


Kampania **Platformy** | Cicha **Lewica** | Koniec **matur?**
Gruba kasa za **odchudzanie** | Reportaż z **okopów** | Top **k-pop**

Szukaj
„Polityki”
z książką



ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

POLITYKA

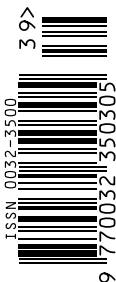
TYGODNIK, nr 39 (3432), 20.09–26.09.2023
Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



SONDAŻ **POLITYKI**

Jak Polacy oceniają 8 lat rządów PiS

- stan demokracji • poziom życia • służba zdrowia
- edukacja • język polityki





Przysnacki

DOBRE BO NASZE

– KRAFTOWA – PACZKA

OTWARCIE ORZEMIOŚLE



Materiał przeznaczony
dla osób pełnoletnich

 ZOBACZ



Cykl wyjątkowych spotkań z ludźmi,
którzy z pracy uczynili sztukę.

[KRAFTOWAPACZKA.PL](https://kraftowapaczka.pl)

 WYŚLUCHAJ





16 Trzy M
Tuska



28 Tabletki
na kilogramy



72 Holoubek
o Bondzie z PRL

Sondaż POLITYKI

- 12 Mariusz Janicki
**Polacy
o ośmiu latach
rządów PiS**



Polityka

- 16 Malwina Dziedzic
Koalicja Obywatelska zwiera szyki
20 Rafał Kalukin
Cichy marsz Lewicy
24 ROZMOWA POLITYKI
Adam Daniel Rotfeld
o tym, że świat wszedł w epokę
ciągnącego konfliktu

Społeczeństwo

- 28 Paweł Walewski, Łukasz Wójcik
Skuteczne leki na odchudzanie?
31 Komu i do czego
jest potrzebna
masowa matura,
mówi pedagog
prof. **Krzysztof
Konarzewski**
34 Ryszarda Socha
**Niedostateczne
wakacyjne ubezpieczenia**



Rynek

- 38 Cezary Kowanda **Upiorny
remont Dworca Zachodniego**
41 Adam Grzeszak **Jak rząd
manipuluje cenami prądu**

Świat

- 44 NA WŁASNE OCZY
Paweł Reszka
UKRAINA **Życie
okopowe**
48 Mariusz Zawadzki USA
**Country w służbie
prawicy**
52 Łukasz Wójcik MAROKO
Król wypalony zawodowo



Nauka/projektpulsar.pl



- 54 Wojciech Mikołuszko
Na co chorowały dinozaury
57 Agnieszka Krzemińska
Archeologia według Netflix
60 Andrzej Hołdys
Pułapki wyłapywania CO₂

Historia

- 62 Wiesław Władyka
**Lech Wałęsa
– obrabianie
symbolu**
65 Tomasz Targański
**Kręte dzieje murów
obronnych**



Kultura

- 72 **Jan Holoubek** o swoim najnowszym
thrillerze szpiegowskim
„Doppelgänger. Sobowtór”
76 Krzysztof Nowak
Zdumiewająca kariera k-popu



- 79 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
80 Justyna Sobolewska
**Pierwsza pełna
biografia Mrożka**
82 Marcin „Flint” Węclawek
Rapowanie na polskim ekranie

Ludzie i style

- 92–97 • **Nowi ojcowie**
• **Zgoda, czyli kciuk w górę**
• **Dzień psiecka** • **Kocie obcasy**
• **Ekopodróż czy ekościema?**
• **Dania z dyni**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 6 Przypisy • 7 Ludzie i wydarzenia
• 68 Afisz • 86 Chutnik i Plebanek
• 87 Passent • 88 Wicha
• 89 Sulej • 90 Tym • 91 Do i od redakcji
• 98 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Kanclerz miesza w emeryturach

Narzeka się, że przez osiem lat PiS za nasze pieniądze nastawiał mnóstwo obiektów, z których obywatele nie mają żadnego pożytku. Że to opinia krzywdząca, przekonuje wrzucony do sieci film nakręcony przy okazji otwarcia Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie (woj. świętokrzyskie). Widzimy na nim grupkę ostro imprezujących w pomieszczeniach mauzoleum działaczy PiS; ich stan nie pozostawia żadnych wątpliwości, że do użytku oddano obiekt bardzo potrzebny, na który działacze ci czekali od dawna.

Wesoły bankiet w mauzoleum w Michniowie to dowód, że postawienie przez PiS na budownictwo patriotyczno-martyrologiczne było strzałem w dziesiątkę. Uważam, że obiektów takich jak ten w Michniowie powinno być na polskiej wsi jak najwięcej, żeby nasza martyrologia była godnie upamiętniana, a lokalni działacze PiS i ich goście nie musieli bankietować w nieprzytulnych, często nieogrzewanych remizach. Rząd jest za, ale problem w tym, że pieniądze na nowe mauzolea, które powinny szerokim strumieniem płynąć do Polski z KPO i z niemieckich reparacji, na skutek nieprzyjaznej nam polityki Berlina nie płyną.



Jak podstępna jest ta polityka, najlepiej widać w spocie wyborczym PiS, w którym kanclerz Niemiec próbuje poprzez swojego asystenta dodzwonić się do prezesa Jarosława Kaczyńskiego, żeby zmusić go do podwyższenia w Polsce wieku emerytalnego. Nasz prezes gra w spocie samego siebie osobiście, natomiast głosem asystenta mówi podstawiony aktor, co od początku rodzi podejrzenia, że chodzi o jakiś antypolski przekręt, dlatego dobrze, że prezes odmawia rozmowy z kanclerzem (którego na ekranie nie widać, więc nie wiadomo, czy jest on prawdziwy). Mimo to uważam, że odbierając telefon, prezes zachował się szalenie ryzykownie, biorąc pod uwagę zapewnienia Donalda Tuska, że nigdy wcześniej telefonu z zagranicy nie odbierał, nie mówiąc o prowadzeniu przez ten telefon międzynarodowej rozmowy.

Swoją drogą ciekawe, dlaczego kanclerzowi tak zależy, żeby Polacy dłużej pracowali. Na zdrowy rozum powinno mu zależeć, żeby pracowali jak najkrócej, bo wtedy Niemcom nie grozi, że Polska prześcignie ich w rozwoju, co Jarosław Kaczyński od lat twardo zapowiada. Wygląda na to, że ten kanclerz nie jest zbyt bystry. Chociaż być może specjalnie udaje głupiego, żeby uspić naszą czujność, dlatego dobrze, żeby ministrowie Kamiński i Wąsik przyjrzeni się sprawie i o wynikach śledztwa poinformowali nas w kolejnym spocie wyborczym PiS.

Muzyczny Sylwester w Lizbonie

Podczas naszego pobytu w Lizbonie zobaczymy jej najważniejsze dzielnice tj, Belém, Alfama i Baixa. Skosztujemy słynnych ciasteczek Pasteis de Belém i posłuchamy chwytającej za serce muzyki fado. Kolację sylwestrową zjemy w restauracji z muzyką fado.

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Lizbony. Dz. 2 Zwiedzanie Lizbony autokarem. Dzielnice Belém, Alfama, Baixa. Po południu czas wolny. Dz. 3 Wycieczka do Sintry (dodatkowo płatna) lub czas wolny w Lizbonie. Wieczorem kolacja sylwestrowa. Dz. 4 Spacer po Lizbonie z polskim pilotem. Wieczorem opcjonalnie koncert noworoczny (dodatkowo płatny). Dz. 5 Przelot do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2023

5.998,-



Gejsze, szoguni i samuraje

Duchowy mistycyzm, górskie krajobrazy, wspaniałe ogrody, artyści mangi, drapacze chmur, neony oraz wielkie katastrofy – poznaj z nami wszystkie oblicza Japonii!

Program wycieczki obejmuje wszystkie najważniejsze zabytki Tokio, Kioto i Hiroszimy, ale także ekscytujące wyprawy do rzadko odwiedzanych rejonów. Pojedziemy na miejsce tsunami z 2011 roku i dowiemy się więcej o tym wydarzeniu od bezpośrednich świadków. Odwiedzimy herbacianą wioskę w górach oraz wyjątkowe Muzeum Miho ze zbiorami sztuki japońskiej i starożytnych cywilizacji. Wśród dzikiej przyrody odnajdziemy świątynię Shinto Izumo-Taisha – jedną z najważniejszych w Japonii. Na koniec dla odprężenia zażyjemy kąpeli w gorących źródłach onsen i odwiedzimy najwspanialszy ogród Japonii położony przy Muzeum Sztuki Adachi.

16 dni | Wylot z Warszawy
18/04 2024

24.998,-



Rejs po Renie i Mozeli

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Transport autokarem do Kolonii, zakwaterowanie na statku i wypłynięcie w rejs. Dz. 2 Andernach. Zwiedzanie miasta pieszo i możliwość wycieczki do zimnego gejzera. Dz. 3 Mainz (Moguncja). Piesze zwiedzanie średniowiecznego miasta z jego wspaniałą katedrą. Dz. 4 Gernersheim. Dodatkowa wycieczka do Speyer (dodatkowo płatne). Dz. 5 Kehl, Niemcy/Strasburg, Francja. Możliwość zwiedzania średniowiecznego miasta wpisanego na listę UNESCO. Dz. 6 Mannheim, (Ludwigshafen) i Rüdeshheim. Możliwość wycieczki do Heidelbergu. Dz. 7 Pasaż Loreley i Koblenca. Możliwość zwiedzania miasta i wjazdu kolejką linową do twierdzy Festung Ehrenbreitstein. Dz. 8 Kolonia – Frankfurt i powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy
18/06 2024

9.298,-

UWAGA!
Zmiana adresu biura

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 51

Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107 | Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL36

Ostatni set



Jerzy Baczyński

Już niespełna miesiąc, ostatnia faza kampanii – kończący set. Co chwila będziemy mieli sondaże pokazujące aktualny stan gry. I zapewne co sondaż, to inny wynik. Doświadczenia poprzednich kampanii uczą, żeby za bardzo nie przeżywać pojedynczych notowań, że liczy się średnia z różnych badań, a przede wszystkim tendencja, zwłaszcza w ostatnim tygodniu przed głosowaniem, często trudno wykrywalna w standardowych badaniach opinii. Ale nie da się odseparować emocji: będzie nerwowo aż do końcowego gwizdka, zwłaszcza że uśrednione dane sondażowe potwierdzają tylko, iż wynik wyborów cały czas pozostaje niewiadomą, nierozstrzygnięty. Dla opozycji, szykującej się do ostatniego odbicia (jakim ma być zwołany na 1 października „marsz miliona serc”), to jest w sumie wiadomość pozytywna. Ogromna kampanijna przewaga obozu władzy wciąż nie daje mu większości w przyszłym Sejmie. Teraz wszyscy czekają, czy i jak w sondażach pokaże się tzw. afery wizowa, która nieoczekiwanie zepchnęła PiS do chaotycznej obrony – i to w wymyślonej przez siebie grze.

Pytania tak zwanego referendum wyraźnie wskazywały, że marketingowcy PiS, po różnych próbach, postanowili skoncentrować kampanię na temacie „nielegalnej imigracji”. Kwestie wyprzedzały majątku narodowego i podniesienia wieku emerytalnego pojawiły się w tym pakiecie na doczepkę i zostały potraktowane marginalnie. To migracja zdominowała przekazy TVP, to na tym odcinku frontu skupił się premier Mateusz Morawiecki, który już w każdym wystąpieniu sam się licytował i ekscytował barwnymi opowieściami o tym, co nam, a zwłaszcza Polkom, zrobią sprowadzeni przez Unię i Tuska muzulmańscy imigranci. Odpowiedzi opozycji, że ani nie będzie przymusu relokacji, ani nikt nie chce rzekomego otwarcia granic, były zwyczajnie ignorowane.

I nagle, dzięki docieklivości posłów opozycji, wyszło na jaw, że to surowe, pryncypialne polskie państwo w ciągu ostatnich 30 miesięcy po cichu wydało aż 250 tys. wiz obywatelom krajów Azji i Afryki, a procedury były nieszczerne, niekontrolowane, ułatwiające zawiązanie się całego łańcucha korupcyjnego (o „zapierającej dech w piersiach hipokryzji władzy” pisze na s. 9 Radosław Sikorski). W dodatku okazało się, że przyjeżdżający tysiącami na polskich wizach muzulmanie bynajmniej nie gwałcą, nie palą polskich miast, są potrzebni do pracy i w ogóle mało co ich widać. Na wyprężoną antyimigracyjną pozę PiS został założony (jak mówią zapaśnicy) podwójny nelson.

Zjednoczona Prawica próbuje teraz opanować kryzys swojej kampanii. Na wszelki wypadek, nie licząc się ze skutkami, już wstrzymano wydawanie wiz pracowniczych i studenckich, prokuratura Zbigniewa Ziobry uspokaja, że nie ma afery, CBA zapowiada wielowatkowe śledztwo, które na pewno nie skończy się przed wyborami. Trwa intensywne przeciąganie narracji. Pani marszałek Sejmu w orędziu (będącym odpowiedzią na orędzie marszałka Senatu ujawniającą widzom TVP aferę wizową), powtarza główny dziś przekaz propagandowy, że „to nie my, to oni”, to PO i Donald Tusk chcą w Polsce „urządzić drugą Lampedusę” i gdyby doszli do władzy, Polki byłyby się wychodzić z domu, a dzieci nie mogłyby spokojnie jeździć do szkoły.

Nie da się z czymś takim polemizować, a kpić nie przystoi, bo jednak w tle są prawdziwe dramaty ludzi próbujących desperacko przedostać się do Europy. Ale przyzwyczailiśmy się, że w tej kampanii nic nie jest naprawdę i na serio, o niczym nie da się rozmawiać, dominuje narzucona przez władzę konwencja teatryku grozy i groteski. Pamiętamy słynny spot Jarosława Kaczyńskiego, w którym inscenizował rozmowę z rzekomym niemieckim dyplomatą. Na pytanie, czy oni robią z ludzi idiotów, odpowiedź brzmiała: tak, robią – i to wcale nie jest głupie.

Zwracamy uwagę, także i w tym numerze, że wygadywanie niestworzonych rzeczy, szokowanie, ośmieszanie polityki i polityków, nawet własnym kosztem, wygląda na przemyślaną strategię PiS. Zniechęca ludzi, zwłaszcza młodych, którzy dopiero mieliby wchodzić do polityki, nie tylko do czynnego w niej udziału, ale nawet do śledzenia intensywnie wytwarzanych głupot, konfliktów, afer, odstręcza od udziału w wyborach i w ogóle od takiej karykaturalnej „demokracji”. Tę metodę powiększania grona obojętnych, niezdecydowanych, która wyborczo premiuje mniej liczny, ale zwarty elektorat, można nazwać rządzeniem przez obrzydzenie. Proste, prymitywne, emocjonalne, hałaśliwe przekazy pełnią więc podwójną rolę: demobilizują przede wszystkim potencjalnych wyborców opozycji, natomiast mogą przyciągnąć do obozu władzy jakąś grupę osób najmniej zainteresowanych polityką, reagujących tylko na najsilniejsze impulsy materialne i emocjonalne.

Opozycja w kampanii ma nieporównanie mniejsze możliwości narzucenia tematów, przebiccia komunikatów władzy. 100 konkretów PO, 12 gwarancji Trzeciej Drogi czy program lewicy (s. 20) trafiają raczej do już przekonanych i wyraźnych wzrostów poparcia nie dają. Więc i opozycja musi grać na emocjach, upraszczać przekaz. Tusk tę grę podjął (o kampanii PO piszemy na s. 16) i stąd oburzające opozycyjnych purystów nominacje dla Kołodziejczaka i Giertycha, licytacje na podwyżki płac, podatkowe ulgi czy wiecowe i internetowe „żarty z Jarka”. Afera wizowa trafiła się tu w samą porę – Tusk, mówiąc o „największej aferze XXI w.”, chce z niej teraz uczynić symbol niekompetencji, obłudy, złodziejstwa władzy – całego kończącego się 8-lecia rządów prawicy.

Normalnie kampania wyborcza powinna przede wszystkim służyć ocenie mijającej kadencji władzy, ale w obecnym zgiełku brak na to miejsca i atmosfery, chodzi bardziej o wrażenia. Jednak wyborcy mają przecież własne doświadczenia i oceny i – choćby intuicyjnie – będą się do nich przed wyborami odwoływać. Próbowaliśmy więc w dużym sondażu POLITYKI sprawdzić, „Jak Polacy oceniają 8 lat rządów PiS”. Odsyłając do szczegółowego raportu z badań (s. 12), powiem tyle, że przeważają wyraźnie opinie negatywne, ale też w odpowiedzi na wiele pytań 20–30 proc. respondentów deklaruje „brak zdania” lub wypowiada się „ani dobrze, ani źle”. To skutek także tego, że prawie nie rozmawiamy publicznie o mijających dwóch kadencjach rządów Zjednoczonej Prawicy, opozycja też nie przedstawiła wyborcom pełnego bilansu tych lat. A szkoda, bo w tej historii warta jest podpowiedź, jak wyglądałby ciąg dalszy rządów prawicy, z jakimi skutkami dla państwa, gospodarki, mediów, sądów, bezpieczeństwa, naszych relacji z Unią, sąsiadami i między nami, tu w kraju.

Sądzę, że nie powinniśmy pozwolić, aby chaos i emocje kampanii zatarły pamięć o tych 8 latach naszego życia, w sumie – bardzo niezwykłych: nie tylko wdzierającej się wszędzie polityki, ale też globalnej pandemii, prawdziwej wojny tuż obok, napływu milionów uchodźców, najwyższej w tym stuleciu inflacji, najostrzejszych podziałów. Spróbowałem tę historię opowiedzieć, uchwycić w książce, która trafia do kiosków i księgarni wraz z tym numerem POLITYKI. Nosi tytuł: „PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat” (szczegóły na s. 19) i oczywiście wykorzystuje niektóre teksty pisane do tej rubryki, praktycznie co tydzień, od 2016 r. Myślę, że akurat teraz warto sobie przypomnieć, co razem przeżyliśmy. A przede wszystkim – o co toczy się wyborcza gra i dlaczego trzeba wygrać ten ostatni set.

Obajtek na uniwerku

PKN Orlen chce zostać partnerem wydarzeń organizowanych przez Wydział Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego. Nasi informatorzy ze spółki twierdzą, że chodzi m.in. o Olimpiadę Wiedzy o Mediach – wydarzenie, które cieszy się renomą, promuje doskonale umiejętności samodzielnych analiz i ocen przekazów medialnych. Osoby związane z Wydziałem Dziennikarstwa mówią, że trudno im sobie wyobrazić współpracę z Orlenem. Być może **Daniel Obajtek** liczy na to, że finansując wydarzenie organizowane przez wydział, uwiarygodni swoją działalność w Polska Press, która z rzetelnym i wolnym dziennikarstwem niewiele ma wspólnego. Zapytaliśmy biuro prasowe UW, czy uczelnia prowadzi rozmowy z Orlenem na temat współpracy. Otrzymałaliśmy jedynie zapewnienie, że wydział „nie zawarł żadnych umów o współpracy z podmiotami grupy Orlen”. Na temat prowadzonych rozmów ani słowa.

Przypomnijmy zatem, że w grudniu 2020 r. rozpoczął się proces przejmowania przez PKN Orlen wydawnictwa Polska Press, do którego należy większość polskich dzienników regionalnych. Kontrola nad mediami regionalnymi miała pomóc PiS m.in. w powiększeniu wyborczej bazy. Helsińska Fundacja Praw Człowieka opublikowała niedawno raport na temat zmian, jakie zaszły w wydawnictwie pod rządami Orłenu. „Przejęcie spółki negatywnie wpłynęło na swobodę działalności dziennikarskiej w tych mediach” – to główna konkluzja tego opracowania.



Pół roku temu wątpliwości co do przestrzegania przez PKN Orlen standardów niezależnego dziennikarstwa wyraziła też Rada Etyki powołana przy norweskim Państwowym Funduszu Emerytalnym. Rada pilnuje, by największa na świecie publiczna instytucja finansowa inwestowała pieniądze należące do norweskich obywateli wyłącznie w podmioty, które przestrzegają praw człowieka i zasad państwa prawa. – *Przyszły dobrobyt norweskiego społeczeństwa nie może pochodzić z inwestycji, które uznajemy za rażąco nieetyczne* – mówi Cecilie Hellestveit, prawniczka zasiadająca w Radzie Etyki. – *Dlatego wskazujemy podmioty, które swoim działaniem naruszają swobody obywatelskie określone w traktatach międzynarodowych.*

Norwegia posiada w PKN Orlen ok. 1,2 proc. udziałów wartych ponad 800 mln norweskich koron, a Orlen po przejęciu w 2022 r. Lotosu stał się właścicielem kilku spółek funkcjonujących w Norwegii.

W kadrach zarządzających jednej z nich zasiada rektor UW prof. Alojzy Nowak. W 2021 r. miał z tego tytułu ćwierć miliona złotych dochodu. W przypadku stwierdzenia naruszenia zasad demokratycznego państwa prawa przez spółkę, której Norwegia jest udziałowcem, rząd w Oslo może być zobowiązany do pozbycia się swoich udziałów. – *Z chwilą przejęcia przez Orłena kilkunastu tytułów prasowych w Polsce Rada Etyki postanowiła zbadać, jakie ma to skutki dla wolności mediów i wolności słowa w tych redakcjach. Wolność słowa jest podstawowym prawem człowieka i istotnym elementem demokratycznego państwa prawnego* – podkreśla Hellestveit. W lutym 2023 r. Norweski Bank Centralny zarządzający Funduszem podjął decyzję o objęciu Orłenu obserwacją w oparciu o opinię Rady Etyki. Rada będzie monitorować, czy standardy wolności mediów w mediach należących do Orłenu spełniają demokratyczne wymagania.

Już w 2022 r. do Rady Etyki wpłynęły informacje o powtarzających się naruszeniach swobód dziennikarskich i prawa pracy w Polska Press. W odpowiedzi na zapytania norweskiej Rady co do okoliczności usuwania z orlenowskich gazet nieprzychylnych dla rządu Zjednoczonej Prawicy materiałów, koncern Obajtka odpowiedział, że krytyka ta nie opiera się na faktach, lecz są to stroniczne relacje publikowane przez media i organizacje wspierające polityczną opozycję. Rektor, zgadzając się na współpracę Wydziału Dziennikarstwa z Orlenem, pomaga Obajtkowi oczyścić się z zarzutu, że w mediach spółki łamane są standardy dziennikarstwa. (MCZ., DĄB.)

Mniej katechezy?

Kościół bije na alarm: brakuje ok. 3 tys. katechetów, największy problem jest w dużych miastach. W szkołach w całej Polsce uczy obecnie ponad 29 tys. katechetów (na ponad pół miliona etatów nauczycielskich), z czego 17 tys. to osoby świeckie, blisko 12 tys. to księża i zakonnicy. Coraz niższe, zwłaszcza w obliczu wysokiej inflacji, zarobki nauczycieli, a także postępujący kryzys demograficzny odciskają się mocno na całej kadrze szkolnej (niemal 15 proc. nauczycieli to osoby wchodzące w wiek emerytalny), ale katechetów te problemy dotyczą w szczególności sposób, bo są potęgowane przez inne trudności. Tuż przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego w środowisku nauczycielskim dużo mówiono o tym, że katecheci obawiają się wracać do szkół ze względu na hejt, który ich tam spotyka (pisał o tym na polityka.pl Dariusz

Chętkowski). Księża pracujący w szkołach są na pierwszej linii frontu, jeśli chodzi o przyjmowanie krytyki za wszystko, co dzieje się z instytucją, której służą. A dzieje się dużo.

W tym roku padł kolejny rekord liczby ofert pracy w szkołach umieszczanych przez dyrektorów w kuratoriach oświaty. Pod koniec lipca ogłoszeń było 26,3 tys. Również tego lata w części z nich pojawiały się informacje, że zgłoszenia przyjmowane są nawet do połowy września. Co oznacza, że kłopoty z układaniem planów lekcji co roku trwają dłużej, choć jednocześnie z powodu deficytu katechetów biskupi – bo to do nich należy decyzja – mogą zgodzić się na zmniejszenie

liczby lekcji religii z dwóch do jednej w tygodniu. Rozstanie z Kościołem zaczyna się tuż po pierwszej komunii i jest przypieczętowane w szkole średniej (w 2022 r. tylko 54 proc. uczniów liceów i szkół zawodowych wybrało religię).

Nie powiódł się także plan ministra Czarnka, któremu zależało na tym, aby w nowym roku szkolnym religia była obowiązkowa (wymiennej z etyką). Wciąż jednak namącić w planach lekcji w szkołach niepublicznych mogą kuratorzy. Ci mają prawo do zlecenia natychmiastowego przywrócenia dwóch lekcji religii. Taki scenariusz w świetle nowych przepisów, podpisanych przez Andrzeja Dudę, jest wciąż możliwy.

Religia w szkole budzi wiele emocji także z powodu tego, ile kosztuje. Rocznie szacunkowy koszt wynagrodzeń dla katechetów wynosi 1,5 mld zł (dane z 2019 r.). Za pensje „jedynie” 130 księży i zakonnic, katechetów i katechetek, które przykładowo zatrudnia Częstochowa, miasto płaci rocznie 9,5 mln zł. (AGSZCZ)



Biskupi uderzają w kobiety

Aborcja nie może być prawnie dopuszczona z powodu występowania u matki zaburzeń psychicznych. Sam fakt bycia w ciąży nie jest ani koniecznym, ani wystarczającym stresem prowadzącym do wystąpienia zaburzeń psychicznych – czytamy w stanowisku zespołu ekspertów Konferencji Episkopatu Polski do spraw bioetycznych. Eksperci przyznają co prawda, że w okresie ciąży zdarzają się sytuacje pogorszenia stanu zdrowia psychicznego kobiety, ale sam fakt bycia w ciąży nie jest koniecznym ani wystarczającym stresem prowadzącym do zaburzeń psychicznych. To stanowisko nie dziwi. Podobnie jak nie dziwi fakt, że w gronie kilkunastu ekspertów jest tylko czworo świeckich (ani jednego psychologa czy psychiatry), w tym trzej związanych z Ordo Luris.

Od czasu, gdy wyrokiem Trybunału Julii Przyłębskiej prawo dopuszcza terminację ciąży tylko w przypadku, gdy jest ona wynikiem czynu zabronionego oraz gdy zagraża zdrowiu lub życiu matki, Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny zabiegała, by rzecznik praw pacjenta oraz Ministerstwo Zdrowia zajęli jednoznaczne stanowisko, jeśli chodzi o prawo do aborcji w sytuacji zagrożenia zdrowia psychicznego pacjentki i zadbali o jego przestrzeganie. Sytuacje, w których szpitale odmawiają kobietom, są naprawdę drastyczne.

Obie instytucje odpowiedziały jednoznacznie. Według RPP zagrożenie zdrowia lub życia matki dotyczy zarówno zdrowia somatycznego, jak i psychicznego. Według stanowiska MZ w ustawie nie ma katalogu wskazań do przerywania ciąży, gdy zagraża ona życiu lub zdrowiu kobiety, ani wykładni, jakiego obszaru zdrowia to zagrożenie ma dotyczyć, a zatem mogą go stwierdzać także psychiatry. Wcześniej wypowiedział się na ten temat także Jarosław Kaczyński. W głośnym wywiadzie dla „Wprost” z maja 2022 r. stwierdził, że każdy rozgarnięty człowiek wie, że aborcję można zrobić za granicą. Powiedział wówczas także: „Wśród możliwości dopuszczania aborcji jest furtka w postaci zdrowia psychicznego. Dla jednych jest to być może nie do przyjęcia, ale można z tego skorzystać”.



Stanowisko episkopatu można traktować jako narzędzie dyscyplinujące polityków. Padają w nim mocne słowa, że dopuszczenie aborcji ze względu na zaburzenia psychiczne oznaczałoby legalizację aborcji na życzenie, w dodatku wprowadzone drogą niekonstytucyjnej manipulacji. W szczycie kampanii wyborczej ten temat to dla PiS gorący kartofel. Z jednej strony rządzący pamiętają, że polityczny koszt zaostrzenia prawa aborcyjnego był dla nich bardzo wysoki i woleliby, aby wokół tej kwestii panowała cisza. Na drugiej szali jest utrata poparcia organizacji prolife, które mają dziś alternatywę w postaci Konfederacji. I – co ważniejsze – narażenie się na krytykę ze strony Kościoła, który im akurat trudniej ignorować niż partiom opozycyjnym. (JPODG.)

Polska do naprawy

Od objęcia władzy w 2015 r. obóz rządzący konsekwentnie tworzy grunt pod tzw. wielką korupcję (...), nadużycia i korupcja stają się formą sprawowania władzy – instrumentem wbudowanym w ustrój państwa” – czytamy w najnowszym raporcie Fundacji im. Stefana Batorego „Ocena odporności państwa na nadużycia władzy”. Rozkręcająca się afera wizowa jest doskonałą ilustracją tego raportu. Oto najwyżsi funkcjonariusze publiczni tworzą warunki prawne i organizacyjne do rozwinięcia intratnego prywatnego interesu na wykonywaniu kompetencji państwa. Wykorzystują przy tym swoją władzę nad innymi funkcjonariuszami, wymuszając na nich współdziałanie. Szkodzą interesowi i wizerunkowi państwa oraz jego polityce. Wygląda na to, że uda się im uniknąć odpowiedzialności karnej, a szefowi MSZ – także politycznej.

Raport Fundacji im. Batorego powstał na bazie ocen dziesięciorga ekspertów. Analizowali oni pięć obszarów funkcjonowania państwa – władzę ustawodawczą:



Sejm i Senat, władzę wykonawczą: rząd i administrację państwową, sądy, prokuraturę oraz społeczeństwo obywatelskie. Oceniano 92 wskaźniki. Żadna z instytucji nie przekroczyła nawet połowy możliwych do zdobycia punktów. Eksperti raczej dobrze oceniali istniejące prawne zabezpieczenia, gorzej – to, jak sytuacja wygląda w praktyce.

Najslabiej wypadła prokuratura: 26 na 100 pkt, bo tu władza usunęła wszystkie prawne zabezpieczenia ustawowej niezależności prokuratorów i całkowicie podporządkowała prokuratorów politycznie. I ze swoich na nią wpływów korzysta bez skrępowania, prześladować opozycję i chronić swoich naruszających

prawo funkcjonariuszy. Najlepiej wypadło sądownictwo: 50 na 100 pkt. Eksperti ocenili, że „sądom wciąż udaje się zachować względnie duży poziom niezależności”, czego ma dowodzić fakt, że nadal w sprawach politycznych zdarzają się wyroki nie po myśli władzy. Sejm i Senat dostały 46 na 100 pkt. Sejm stał się „wykonawcą polityki rządu”, a przestał być miejscem realnej debaty nad uchwalanym prawem. Jest zamknięty na dialog z obywatelami, nie organizuje się wysłuchań publicznych, nie konsultuje projektów. Co piąty projekt rządowy przepycha się jako poselski, by uniknąć konsultacji społecznych i międzyresortowych, które mają zabezpieczać przed stanowieniem złego prawa.

Kontrola społeczna – czyli aktywni obywatele i NGO-sy – otrzymała 45 na 100 pkt. Pozytywnie oceniono otoczenie prawne. Negatywnie: brak prawnej ochrony sygnalistów, nieodpowiadanie przez władzę na wnioski o udostępnianie informacji, wytaczanie aktywistom procesów o zniesławienie bądź naruszenie dóbr osobistych, trudność w pozyskaniu funduszy na działalność i brak dialogu władzy z organizacjami. Będzie co naprawiać. (ES)

PiS zerwał sobie ścięgna

Radosław Sikorski

Kiedyś dziennikarz, potem m.in. szef MON, MSZ oraz marszałek Sejmu. Obecnie w PE.



Od czasu, gdy pisałem tu o tym kilka numerów temu (POLITYKA 29), afera wizowa pokazała, że rządowe podejście do migracji jest jeszcze bardziej zakłamane, niż sądziłem.

Dowiedzieliśmy się bowiem, że Polska nie tylko przyznała rekordowe liczby wiz w całej UE, lecz także, że ktoś na tym nieźle zarobił. Zakładam, że gdy opadnie kampanijny kurz, okaże się, że przy wydawaniu wiz były trzy rodzaje nieprawidłowości: lobbing firm i gospodarczej części rządu na rzecz masowej imigracji pracowników, łapówki związane z kupowaniem miejsc w kolejkach do polskich konsulatów oraz łapówki za dawanie samych wiz.

To ostatnie jest koncepcyjnie najprostsze, bo jest po prostu przestępstwem i to dość łatwym do wykrycia. Trudniejsza do opamiętania jest patologia w systemie składania podań. Na przykład na Białorusi trudno było zwykłej osobie złożyć podanie o Kartę Polaka czy wizę, ale MSZ składało to na karb złośliwości białoruskich służb wywiadowczych, które blokowały serwery naszych placówek. Ponieważ outsourcing wizowy stosuje większość państw członków strefy Schengen, warto zaznajomić się z ich doświadczeniami w walce z tym procederem. Jednym z rozwiązań może być wspólne centrum wizowe Unii Europejskiej, jak w Mołdawii, albo rzeczywiste Centrum Decyzji Wizowych w kraju – tym minister Rau próbował ubogacić swoją rodzinną Łódź.

Nie wiemy jeszcze, jaka była skala handlu wizami, gdzie rozplynęli się ludzie, którzy na kupionych wizach wjechali, jaka była globalna suma łapówek i do kogo ostatecznie trafiały. Ale wiemy, że PiS w sprawie migracji próbował wykonać szpagat, na którym zerwał sobie ścięgna: sprowadzić do Polski setki tysięcy migrantów spoza Europy, jednocześnie szczując na nich swój elektorat i atakując opozycję za rzekomą pobłażliwość wobec masowej migracji.

Przy czym nie przekonuje mnie argument obozu władzy, że mamy dwa rodzaje migrantów: nielegalnych z Lampedusy i spod płotu w Białowieży, gotowych kraść, gwałcić i podrzywać gardła, oraz legalnych, zaproszonych przez polskie firmy i sprawdzonych w procesie przyznawania pozwoleń na pracę i wiz. Wydaje mi się, że różnica jest pozorna. Jedni i drudzy desperacko próbują przedostać się do Europy, tylko jedni opłacali się mafiom przemytniczym, a inni – mafiom urzędniczym. To, co ich łączy, to to, że dotarłszy do Europy większość z nich tu zostanie. Korzyści gospodarce i wyzwania społeczne, jakie wynikną z masowego napływu osób z innego obszaru kulturowego, nie będą związane z tym, którą drogę obrali.

Zapierająca dech w piersiach hipokryzja PiS to raz, a skutki ich polityki to dwa. W wyniku hitlerowskich morderstw i komunistycznych przesiedleń byliśmy do niedawna najbardziej homogenicznym społeczeństwem Europy. Mieliśmy więc do wyboru: rozwijać się trochę wolniej, ale całą wykonywaną w Polsce pracę wykonywać samemu. Albo przyjąć model zachodnioeuropejski: płacić sobie wyższe pensje i wyższy socjal, a część najniżej płatnych zajęć powierzyć przybyszom. Szybciej wybijając się na zamożność kosztem jednolitości etnicznej. Tak jak w Anglii, Norwegii czy w Niemczech, gdzie to my jesteśmy przybyszami.

PiS, jak nacjonałiści w innych krajach Europy, deklarował spójną intelektualnie filozofię „mniej imigrantów, więcej dzieci”. Ale zrobił dokładnie odwrotnie. Dzieci za PiS rodzi się rekordowo mało, za to imigrantów spoza Europy pojawiło się w Polsce rekordowo dużo. I stało się to bez żadnej narodowej dyskusji. Bez przyjęcia strategii migracyjnej, bez debaty w Sejmie, o rozstrzygnięciu w referendum nie wspominając. Tak jak z demokracji przeszliśmy w demokrację, tak z kraju jednoetnicznego w wieloetniczny przeszliśmy w wyniku cząstkowych, niejawnych decyzji gdzieś między Nowogrodzką a KPRM. Cały czas solennie zapewniani przez rządzących, że nic takiego się nie dzieje.

Ciekawe, czy pisowski suweren tym razem zauważy.

Siatkarski balsam

Siatkarze zdobyli mistrzostwo Europy, wygrywając 3:0 z gospodarzami turnieju Włochami i rewanżując się przy okazji za porażkę w ubiegłorocznym finale mistrzostw świata. Ekspertki twierdzą, że obsada tych finałów nie jest przypadkiem, a polsko-włoska rywalizacja będzie miała swój ciąg dalszy. Oba zespoły są młode, mają głębokie rezerwy, czerpią potencjał z silnych rozgrywek ligowych, a mecze reprezentacji przyciągają tłumy kibiców. Widać to również w siatkówce klubowej – w trzech ostatnich sezonach Ligi Mistrzów na ostatniej prostej rywalizacja sprowadzała się w dużym stopniu właśnie do kwestii polsko-włoskiej, ze wspólnym mianownikiem w postaci końcowego triumfu Zaksy Kędzierzyn-Koźle.

Aż kusi, by przy okazji stwierdzić, że sukces siatkarzy jest balsamem na kibicowskie serca po fatalnej grze piłkarskiej reprezentacji. Ale wydaje się, że te kibicowskie zbiory pokrywają się w niewielkim stopniu. Siatkówka wychowała sobie własną publiczność – o wiele bardziej rodzinną, kobiecą i wymagającą, nastawioną na konsumpcję widowiska, które w przeciwieństwie do rażącego nudnym dłużyznami meczu piłkarskiego jest dynamiczne i emocjonujące. Również dlatego, że w siatkarskiej rzeczywistości nie istnieje coś takiego, jak taktyka oparta na defensywie oraz sypaniu piachu w tryby rywala. Żeby wygrać, trzeba atakować, najlepiej mając na podorzędu różne warianty.



Ta prosta prawda przydałaby się z pewnością męczącym się z piłką przy nogach futbolistom. Ale jeszcze bardziej przydałoby jej się skopiowanie z siatkarskiej matrycy wzorów osobowościowych: skromności, umiejętności poświęcenia dla zespołu własnego ego (w pierwszym składzie jest miejsce tylko dla sześciu zawodników), otwartości (mimo lokalnego bogactwa, z otwartymi ramionami powitano w reprezentacji Kubańczyka Wilfredo Leona). Siatkarze są jak muszkietierowie: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Może gdyby piłkarze też tak mieli, graliby lepiej? (MP)

Ostrzeżenie z Derny

Powódź zniszczyła jedną czwartą powierzchni Derny, portowego miasta we wschodniej Libii, dotąd liczącego 90 tys. mieszkańców. Wyjątkowo ulewne deszcze padające w nocy z 10 na 11 września przyniósł przechodzący nad Morzem Śródziemnym cyklon Daniel. Naporu opadów spływających z wyżyny ponad miastem nie wytrzymały dwie zapory, postawione w latach 70. na okresowej rzece Wadi Derna przez jugosłowiańską firmę hydrobudowlaną, m.in. w celu kontrolowania powodzi. Od dawna nie były jednak remontowane, choć pojawiły się na nich widoczne pęknięcia. Upadek tam uwolnił falę, która zmyła budynki stojące wzdłuż rzecznej doliny. Po tygodniu akcji ratowniczej liczbę ofiar śmiertelnych szacowano na ponad 11 tys., kolejne 10 tys. osób uznano za zaginione. Ciała odnajdywano na morzu, nawet kilkadziesiąt kilometrów od brzegu.

Tak jak w przypadku trzęsienia ziemi w Maroku, do którego doszło kilkadziesiąt godzin wcześniej, katastrofa przyszła w nocy, zaskakując mieszkańców śpiących w domach. Podobnie jak marokańskie miejscowości, Derna też nie była przygotowana, mimo że tu władze znały prognozy meteorologów i zapobiegawczo wprowadziły zakaz opuszczania domów w związku z nadejściem burzy. Z pomocą Dernerne spieszą teraz państwa południa Europy i Bliskiego Wschodu, ale dystrybucji wsparcia nie ułatwia ani libijska wojna domowa (wschód kraju nie uznaje rządu w Trypolisie), ani niebezpieczeństwo, że dary



zostaną przechwycone przez skorumpowanych urzędników.

Reszta świata tragedię Derny traktuje jak ostrzeżenie. Zgodnie z prawem termodynamiki ocieplenie klimatu zwiększa prawdopodobieństwo wystąpienia gwałtownych zjawisk pogodowych, w tym bardzo intensywnych opadów także tam, gdzie wcześniej ich nie notowano. A wiele

dużych tam i zapor właśnie dobiega swoich dni. Szczególnie chętnie stawiano je właśnie w latach 70., wtedy globalnie tysięcy co roku. Obecny bilans? W Indiach i Chinach kończy się żywotność 28 tys. takich obiektów, w USA zawaleniem grozi 2,2 tys. Największe obawy związane są z tamą Mullaperiyar w stanie Kerala w Indiach. To stulatka, a jej upadek stanowi zagrożenie dla 3,5 mln osób mieszkających w dole rzeki.

Kim i Misza

Gdy zamykał ten numer POLITYKI, pancerny pociąg północnokoreańskiego przywódcy Kim Dzong Una po sześciodniowej wizycie w Rosji zbliżał się dopiero do ojczyzny. Na ostatniej stacji przed granicą żegnał go m.in. gubernator Kraju Nadmorskiego i orkiestra wojskowa, która odegrała – nie wiedzieć czemu – rosyjski marsz „Pożegnanie Słowianki” (w polskiej wersji „Rozszumały się wierzby...”). Tak właśnie kończyła się najdłuższa w życiu i pierwsza od pandemii zagraniczna wycieczka 41-letniego dyktatora, który zabierał z niej liczne podarki, m.in. zdjęcie Jurija Gagarina, rękawicę rosyjskiego kosmonauty (używaną) i kilka wojskowych dronów, w tym w wersji samobójczej, co swoją drogą jest złamaniem sankcji nałożonych przez ONZ na Koreę Płn., za którymi głosowała również Rosja.

Najważniejszą pamiątką po tych odwiedzinach – i dla **Kim**, i dla **Putina** – może się jednak okazać wyjście z izolacji. Oba kraje mają sobie coś do zaoferowania. Rosja dramatycznie potrzebuje amunicji artyleryjskiej, bo w zasadzie opróżniła już swoje



magazyny, strzelając do Ukraińców. A tak się składa, że taka amunicja – choć legendarnie nieskuteczna – to prawdopodobnie jedyna rzecz, która w Korei Płn. występuje w nadmiarze. W zamian Putin zaoferował Kimowi dostawy żywności i technologii potrzebnych m.in. do rozwoju północnokoreańskiego programu rakietowego, który ostatnio zalicza kolejne katastrofy. Jednocześnie Kim zadeklarował pełne poparcie dla rosyjskiej agresji na Ukrainę, uznając ją za „święty akt obrony przed imperializmem”.

Na to zbliżenie nerwowo zareagowały już Chiny – nie tylko z obawy o utratę wyłącznego patronatu nad Kimem. Pekin martwi się również, że północnokoreańskie postępy rakietowe ściągną do regionu jeszcze więcej Amerykanów, którzy obawiają się o bezpieczeństwo Korei Płd. i Japonii. Wychodzi więc na to, że najbardziej zadowolony może być Kim. Szczególnie że odwiedził również największe w Rosji oceanarium, w którym obejrzał m.in. wieloryby, delfiny, foki i morsa Miszę, który – według rosyjskiej prasy – zdobył największą sympatię dyktatora.

Chiny znikających ministrów

Amerykański ambasador w Japonii Rahm Emanuel mało dyplomatycznie porównał sytuację w Pekinie do kryminału Agathy Christie: najpierw zniknął z życia publiczny chiński minister spraw zagranicznych Qin Gang, później dwaj wysokiej rangi dowódcy sił rakietowych, a teraz sam minister obrony **Li Shangfu**. Nie pokazał się od trzech tygodni, odwołane zostały jego ważne spotkania, ze względu na stan zdrowia, jak podano. Podobnie tłumaczono wcześniej nieobecność ministra Qina, zanim po kilku tygodniach, bez podania przyczyny, został oficjalnie odwołany. I ślad po nim zaginął. Ministra Li czeka zapewne podobny los, według „Financial Times” przebywał w areszcie domowym i ciężką na nim zarzuty korupcji. Mają dotyczyć okresu, kiedy po 2017 r. odpowiadał za zakupy dla armii, a wcześniej dowodził siłami strategicznymi, które nadzorowały modernizację wojska i inwestycje kosmiczne.



Obaj ministrowie to postaci wysoko postawione w partyjno-rządowej hierarchii, należące do ścisłej pięcioosobowej Rady Państwa, najwyższego organu władzy wykonawczej. Obaj awansowali niedawno, jeden w grudniu, drugi w marcu, i niewątpliwie byli faworytami przewodniczącego Xi Jinpinga.

I tu zaczynają się kłopoty, bo te dwie dymisje obciążają także jego i podważają autorytet. Xi, od pierwszej swojej prezydenckiej kadencji – teraz pełni nadprogramową trzecią – walkę z korupcją uznał za jedno z najważniejszych zadań. Teraz okazało się, że korupcja dotyka też wyjątkowo tajemniczych szczytów chińskiej władzy. Stąd tyle spekulacji i niesprawdzalnych przecieków. Wielu poważnych analiz doczekał się fakt, że Xi na szczycie BRICS w Johannesburgu nie wygłosił głównego przemówienia, co niespotykane (zrobił to za niego minister handlu), zaś na szczycie G20 w Delhi w ogóle się nie pojawił, choć zawsze był, nie jedzie też na sesję ONZ do Nowego Jorku. Z tego wszystkiego wylania się teza o turbulencjach w kierownictwie. Czy prawdziwa, to się okaże *post factum*.

Zboże między nami

Mimo protestów Warszawy Komisja Europejska nie przedłużyła wygasającego 15 września zakazu importu z Ukrainy kukurydzy, nasion rzepaku, słonecznika i przede wszystkim pszenicy przez pięć państw unijnej „flanki wschodniej”. Komisja uznała, że w Bułgarii, na Węgrzech, w Polsce, Rumunii i Słowacji „zniknęły zaburzenia na rynku”, które stały za embargiem. Wprowadzone od wiosny, miało zapobiec kłopotom rolników ze wspomnianych krajów – oferowana przez nich pszenica nie mogła konkurować z dużo tańszą ukraińską, która nielegalnie „wypadała” z tranzytu na lokalne rynki.

Komisja scedowała na Kijów odpowiedzialność za zapobieganie podobnym zakłóceniom w przyszłości. Ale to nie wystarczyło. Polski rząd – podobnie jak węgierski i słowacki – wprowadził jednostronne i bezterminowe embargo na wspomniane ukraińskie produkty (Bułgaria zrezygnowała z embarga, a Rumunia miała podjąć decyzję po zamknięciu tego numeru POLITYKI). Jak tłumaczyli przedstawiciele polskiego rządu, taki ruch dyktowany jest interesem polskich rolników, których czekają zbiory (i wybory).

Ukraińcy, dla których eksport żywności jest jednym z niewielu źródeł dochodów w trwałej walucie, zapowiedzieli zaskarżenie Bratysławy, Budapesztu i Warszawy do Światowej Organizacji Handlu oraz ograniczenie importu polskich owoców i warzyw. Wspomniana trójka może mieć problemy również w Brukseli – grozi nam teraz postępowanie o naruszenie prawa Unii, bo jednostronny zakaz importu łamie unijne prawo, zgodnie z którym polityka handlowa to wyłączna prerogatywa Komisji. Konflikt będzie też narastał, jeśli ruszy proces akcesji Ukrainy do Unii, którą obecny polski rząd oficjalnie wspiera, ale najchętniej bez rolnictwa.

Zdalne obłężenie Krymu



Dwa okręty zniszczone za jednym zamachem, potem system obrony powietrznej i instalacje walki radioelektronicznej. Sewastopol i Eupatoria na Krymie stały się nowymi dowodami rosnących zdolności Ukrainy do dalekosiężnych ataków z powietrza i spełniły groźbę uderzenia w bolesne miejsca na okupowanym od dziewięciu lat półwyspie. Zabolał szczególnie atak pocisków manewrujących i dronów na stocznicy remontowej w Sewastopolu. Spłonął okręt desantowy „Mińsk”, ale ważniejsze, że ciężko uszkodzony został nowoczesny **okręt podwodny „Rostow nad Donem”**.

W zdolnościach operacyjnych to dla Rosji ubytek bardziej istotny niż zatopienie starego krążownika „Moskwa”. Okręty podwodne służą nie tylko do odpalania spod wody pocisków Kalibr, których nie są w stanie dużo zabrać. Dużo ważniejsza jest ich rola w skrytym patrolowaniu wód, namierzaniu jednostek przeciwnika i stwarzaniu stałego choć niewidocznego zagrożenia dla ruchu statków i okrętów. Wyeliminowanie okrętu podwodnego można śmiało uznać za największy sukces Ukrainy w zwalczaniu Floty Czarnomorskiej. Trafienie nowoczesnego systemu obrony powietrznej średniego zasięgu S-400 dowodzi z kolei, że Rosji może brakować systemów bliskiego zasięgu do ich osłony przed pociskami nadlatującymi za blisko i za wolno, by były w stanie obronić się

samodzielnie. Ogłupienie rosyjskiego Triumfa wymagało skomplikowanej sekwencji uderzeń, której opracowanie pozwoli na łatwiejszą eliminację najcenniejszych zasobów obrony powietrznej wroga.

Tymi sukcesami pochwali się Wołodymyr Zełeński w czasie trwającej właśnie drugiej podróży do USA, podczas której ukraiński prezydent wystąpi w ONZ i spotka się z Joe Bidenem. Za zamkniętymi drzwiami zapewne zda relację z ofensywy i ustali plan, co dalej. Poza podziękowaniami mogą pojawić się narzekania na Elona Muska, który przyznał, że zablokował dostarczony Ukrainie system łączności satelitarnej Starlink przed jednym z wcześniejszych ataków na Krym. Ponoć, by nie wplątać firmy SpaceX w eskalację. Nie jest jasne, czy Ukraina nadal potrzebowała systemu Muska w najnowszych i najskuteczniejszych uderzeniach. Ważne, że teraz może dostać coś więcej. Nieoficjalnie mówi się, że Zełeński z Waszyngtonu przywiezie zgodę na dostarczenie pocisków balistycznych ATACMS do systemów rakietowych HIMARS. Administracja Bidena długo była niechętna, ale miała zmienić zdanie pod wpływem przedłużającej się wojny i analizy własnych zasobów. Dla takich rakiet Krym będzie jeszcze łatwiejszym celem.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

8 lat rządów PiS

Jak Polacy oceniają władzę?

MARIUSZ JANICKI

Wynik zbliżających się wyborów w dużej mierze zależy od oceny mijających ośmiu lat władzy PiS. Aby się dowiedzieć, jak polskie społeczeństwo postrzega ten bilans, POLITYKA wraz z pracownią Opinie24 (m.in. dawny zespół Kantar Public) przeprowadziła sondaż, który przyniósł bardzo interesujące wyniki.

Sytuacja przed wyborami jest chwiejna. Notowania ugrupowań mocno falują, bez wyraźnego związku z bieżącymi wydarzeniami. Można stąd wyciągnąć wniosek, że oprócz codziennych kampanijnych chwytów im bliżej dnia głosowania, tym mocniej dają o sobie znać głębsze motywacje, realne poglądy, uświadomione interesy, skumulowany efekt opowieści władzy i opozycji o minionych latach. Jak zatem działa przeszłość, ale także obecne przekazy i interpretacje – to właśnie postanowiliśmy zbadać w naszym sondażu.



Co z tą demokracją

Pierwsze pytanie sondażu było bardziej ogólne, dotyczące jednocześnie ustroju państwa, praworządności, ale też w jakimś sensie jakości całego życia publicznego – 25 proc. zapytanych o stan demokracji stwierdziło, że pod rządami PiS po 2015 r. Polska stała się bardziej demokratycznym państwem niż wcześniej, 44 proc. – że mniej, a 23 proc. nie widzi różnicy. Bardziej krytyczne wobec zmian dokonanych przez PiS w systemie są kobiety.

To ciekawy i wiele mówiący wynik. Wydawałoby się, że oczywista jest przewaga tych, którzy dostrzegli to, co PiS zrobił z Trybunałem Konstytucyjnym, prokuraturą, sądownictwem, mediami publicznymi itd. Ale tych respondentów, którzy uważają, że za drugich rządów PiS nic się w tej kwestii nie zmieniło lub wręcz demokracja bardziej kwitnie, jest w sumie 48 proc., a stwierdzających „trudno powiedzieć” – 55 proc. W tym poszerzonym obrazie to raczej PiS ma przewagę, co prawda w swoim stylu, czyli korzysta z obojętności, braku zdania, niezainteresowania tematem.

W szczegółowych danych widać, że znikoma liczba młodych ludzi 18–24 lata (2 proc.) i bardzo niewielka z następnego wiekowego przedziału 25–29 lat (13 proc.) sądzi, że stan polskiej demokracji za czasów PiS się poprawił, ale też najwięcej młodych, bo aż 56 proc., uważa, że nic się w tej mierze po 2015 r. w Polsce nie zmieniło (mogą nie pamiętać, przed 8–10 laty byli dziećmi lub nastolatkami). Za to wśród starszego pokolenia 65 plus podział jest bardzo wyraźny – po 40 proc. twierdzi, że demokracja się polepszyła albo pogorszyła. Wynika z tego, że sposób postrzegania spraw państwa bardzo się pokoleniowo rozchodzi. Młodsza generacja wydaje się ogólnie krytyczna, zniechęcona, mniej skłonna wchodzić w ustrojowe niuanse, podział władz, sposób nominowania sędziów itp. Mają inne, własne spojrzenie na sprawy publiczne, na swój sposób ustawione priorytety. Dotarcie do tej nowej wrażliwości, zrozumienie, jaki oni mają klucz do demokracji, będzie decydujące w kolejnych wyborach, od prezydenckich w 2025 r. poczynając.

Żyje się trochę lepiej

W drugim pytaniu interesowało nas, jak Polacy postrzegają swój własny ekonomiczny poziom życia po 2015 r. w porównaniu z czasami wcześniejszymi. Z sondażu wynika, że 38 proc. uważa, że ten poziom się poprawił, 31 proc., że się pogorszył, a 28 proc. nie zauważyło zmiany. Przy tych wynikach trzeba brać pod uwagę, że jednak minęło osiem lat, a wraz z rosnącym, skumulowanym przyrostem PKB regularnie od lat podnosi się poziom życia całego społeczeństwa. Żyje się lepiej niż osiem lat temu, tak jak osiem lat temu żyło się średnio dostatniej niż dziesięć lat wcześniej. Ale też z sondażu wynika taki komunikat: 66 proc. ludzi w Polsce sądzi, że albo im się za PiS polepszyło, albo co najmniej nie pogorszyło. Nie widać więc specjalnie ekonomicznego potencjału do buntu, raczej do inercji, zachowania status quo, na zasadzie: zobaczymy, co będzie dalej, byle nie było gorzej, poczekamy na przekonujące pomysły.

Zapytaliśmy o pozycję międzynarodową Polski po ekscesach PiS w relacjach z Unią Europejską i wielu innych awanturach. Według 31 proc. respondentów mimo wszystko znaczenie Polski wzrosło, w opinii 38 proc. zmalało, a dla 21 proc. ranga naszego kraju po 2015 r. się nie zmieniła. Ciekawe jest to 38 proc. sądzących, że PiS sprawił, iż rola naszego kraju zmalała. To wyraźnie mniej niż łączne notowania partyjne antyPiSu, co świadczy o tym, że także wyborcy demokratycznej opozycji nie są zgodni co do działań PiS na niwie międzynarodowej. Okazuje się, że zdaniem 11 proc. wyborców Trzeciej Drogi za rządów PiS pozycja Polski wzrosła, ale także według 8 proc. sympatyków

Koalicji Obywatelskiej i 4 proc. wyborców Lewicy (26 proc. w przypadku zwolenników Konfederacji). Są tu więc nie takie małe, jak na głębokość politycznego konfliktu, „zakładki”, zażony partii Kaczyńskiego na teren opozycji.

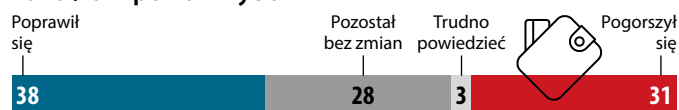
Trybunał jednak się nie udał

Kolejne pytanie dotyczyło Trybunału Konstytucyjnego. Chcieliśmy zobaczyć, jak oceniany jest jeden z najjaskrawszych przykładów demontażu demokratycznej instytucji państwa. 21 proc. zapytanych osób stwierdziło, że TK po 2015 r. był niezależny od władzy, 61 proc. uznaje, że był zależny, a 18 proc. nie ma

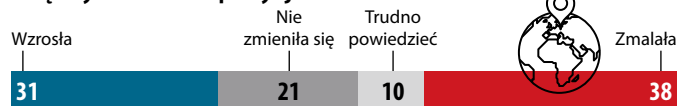
Czy Pana\Pani zdaniem w ciągu ośmiu lat rządów PiS po 2015 r. w porównaniu z okresem wcześniejszym:

(w proc.)

Pana\Pani poziom życia



Międzynarodowa pozycja Polski



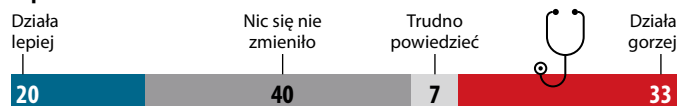
Polska stała się



Edukacja szkolna



Opieka zdrowotna



w tej kwestii jednoznacznej opinii. To najbardziej chyba wyraźny wynik naszego sondażu, nawet 36 proc. wyborców PiS dostrzega zależność TK od układu rządzącego, a 25 proc. nie ma zdania. Tylko 39 proc. sympatyków PiS (także 24 proc. zwolenników Konfederacji) broni tezy o niezależności Trybunału od obozu rządzącego. Jednak tak w tym przypadku, jak i w innych, nie przeszkadza to w popieraniu partii Kaczyńskiego, choć wydawałoby się, że chodzi o podstawowy dla porządku ustrojowego organ sądowniczy. Nawet 7 proc. zwolenników formacji Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza uważa, że TK pod przewodnictwem Julii Przyłębskiej jest ostoją niezależności; znalazło się takich 5 proc. wśród wyborców Lewicy i 3 proc. w przypadku KO uważających tak samo. Statystycznie nie jest to może dużo, ale jednak pokazuje, jak mocno udało się Kaczyńskiemu potrząsnąć systemem wartości, zdezorientować ludzi w całościowym patrzeniu na państwo i jego urząd.

► Następne dwa pytania dotyczyły konkretnych życiowych spraw: służby zdrowia i edukacji: kiedy działały lepiej – przed 2015 r. czy w czasach rządów PiS? Służba zdrowia jest lepsza za PiS według 21 proc., gorsza zdaniem 33 proc., a nie zmieniła się w opinii 40 proc. To kolejny wynik pokazujący w sumie „zwycięskie” status quo, nawet mimo pandemii, nadmiarowych zgonów czy afer związanych z Ministerstwem Zdrowia. Bardziej aktywna politycznie grupa ma swoje zdanie i jest podzielona w opiniach: w tej kategorii dość wyraźnie przeważa „opozycja”. Ale ta przewaga rozmywa się w morzu obojętności i niezajmowania stanowiska, dominuje „partia Nic się nie zmieniło”, jak w wielu innych przypadkach, na czym w sumie korzysta PiS. Trochę inaczej jest w przypadku edukacji, zapewne dlatego, że Kaczyński wysłał tam ministra Czarnka, który umie podnosić ciśnienie i po to dostał tę funkcję. Co prawda znowu około jednej piątej zapytanych (22 proc.) ocenia stan edukacji pod rządami PiS jako lepszy niż wcześniej, ale aż 43 proc. uważa, że działa ona gorzej niż przed 2015 r. i tylko 16 proc. nie ma tu zdania. Obóz władzy skutecznie zraził nauczycieli i wielu rodziców, ale nie na tyle, aby mu to specjalnie

sygnał ostrzegawczy, gdyby liderzy Konfy zbyt łatwo chcieli przystąpić po wyborach do koalicji z PiS. Chociaż wiadomo, że po dniu głosowania zmienia się wszystko, a wyborcy przestają być tak ważni, zrobili już swoje.

Istotną kwestią, także w kontekście toczącej się kampanii wyborczej, jest odpowiedzialność za brutalizację życia politycznego i język nienawiści. Wybraliśmy do tego „pojedyńku” dwie główne formacje. Kto się do tych zjawisk bardziej przyczynia: PiS i Kaczyński czy Platforma Obywatelska i Tusk? W odpowiedziach widać dość daleko posunięty symetryzm. Oto 31 proc. respondentów sondażu bardziej obciąża tu PiS, a 26 proc. Platformę; 37 proc. uważa zaś, że odpowiedzialność spada na obie strony w równym stopniu, w tym – co istotne – aż 60 proc. wyborców Trzeciej Drogi i 47 proc. wyborców Lewicy. Jedna lista nie mogła się udać, ponieważ zdaniem dużej części elektoratu antyPiSu Kaczyński jest tak samo brutalny jak Tusk. Osiem lat nie wystarczyło na wytłumaczenie, o co tu chodzi.

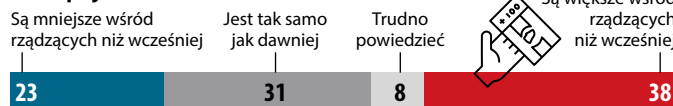
Czy według Pana/Pani przez ostatnie osiem lat rządów PiS po 2015 r.:

(w proc.)

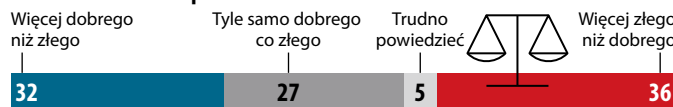
Trybunał Konstytucyjny



Korupcja i kołesiostwo



PiS zrobiło dla społeczeństwa



zaszkodziło. Stan edukacji dobrze oceniają przede wszystkim starsze osoby z podstawowym wykształceniem. W sensie strategii wyborczej PiS wszystko się zgadza. Na sympatię nauczycieli Kaczyński i tak nie liczy.

Kolesiostwo i brutalizacja

Zapytaliśmy też, kiedy było więcej korupcji, kołesiostwa, nepotyzmu wśród rządzących: przed 2015 r., za poprzednich rządów, czy po 2015 r., kiedy przyszedł PiS. Według 38 proc. respondentów korupcji i kołesiostwa jest więcej za władzy PiS, zdaniem 23 proc. teraz jest tych zjawisk mniej niż wcześniej, a 31 proc. sądzi, że nie ma różnicy. I znowu w grupie zdecydowanych przewagę ma „opozycja”, ale doliczając niezdecydowanych, ta przewaga topnieje: 54 proc. łącznie sądzi, że korupcji jest teraz mniej (w tym 7 proc. wyborców Trzeciej Drogi, tyle samo co Konfederacji) lub jest tak samo, jak było. Żadnych zmian w tej kwestii nie widzi aż 57 proc. zwolenników formacji Mentzena i Bosaka, ale jednak 29 proc. dostrzega więcej nepotyzmu i korupcji pod władzą PiS. To może być mały

Więcej złego czy dobrego?

Zakończyliśmy sondaż znowu pytaniem bardzo ogólnym, chcąc wyłapać możliwie całościowy stosunek do rządzącego obozu: czy zatem PiS przez ostatnie osiem lat zrobił dla Polski więcej dobrego niż złego, czy odwrotnie? 32 proc. (czyli niemal dokładnie tyle, ile wynosi średnie sondażowe poparcie dla PiS) zapytanych odpowiedziało, że więcej dobrego niż złego, według 36 proc. bilans PiS jest negatywny, a 27 proc. sądzi, że zrobił „tyle samo dobrego co złego”. Młodzi są bardziej surowi dla partii Kaczyńskiego (17 proc. pozytywnych wskazań) niż starsi (50 plus – 38 proc. za PiS w tym pytaniu, a 60 plus – 49 proc.). Ale to grupa najmłodszych, 18–24 lata, stanowi też największą część tych, którzy uważają, że PiS ma neutralny bilans – to 45 proc. badanych w tym przedziale wiekowym (znów – brak punktu odniesienia). Zdanie, że PiS zrobił więcej dobrego, podziela 8 proc. wyborców Trzeciej Drogi i tyle samo Lewicy, także 15 proc. zwolenników Konfederacji. Ale – co ciekawe – aż 20 proc. zwolenników Platformy w naszym badaniu uważa, że PiS przez ostatnie osiem lat „zrobił tyle dobrego co złego”. To poza wszystkim pokazuje realia toczącej się kampanii: z jakimi poglądami nawet własnych wyborców musi się konfrontować Donald Tusk, co uwzględnić w bieżących strategiach. Ten twardy elektorat opozycji nie jest taki duży, reszta zdaje się dość labilna, niejednoznaczna, skłonna do zmiany decyzji. Trzeba ich nieustannie podtrzymywać, lawirować, podawać mobilizujące komunikaty.

Sondaż POLITYKI i Opinii24 ujawnia, że ocena ośmioletnich rządów PiS jest, ogólnie biorąc, negatywna, ale głównie wśród niejako kwalifikowanych wyborców, czyli bardziej zaangażowanych, interesujących się polityką, którzy potrafią wyrobić sobie własne zdanie. Jest jednak duża liczba osób, 20–40 proc., które płyną z codziennym nurtem, patrzą mniej krytycznie, są gotowe zrównywać siły polityczne, nie dostrzegają między nimi większych albo wręcz żadnych różnic.

Przewaga PiS polega na tym, że ta partia potrafiła zmobilizować dużą grupę poza swoim twardym elektoratem, który – jak pokazuje wiele wcześniejszych sondaży, także nasz – stanowi tylko ok. 20 proc. To oni twierdzą, że Trybunał Konstytucyjny za czasów rządów PiS był niezależny, mimo jawnego cyrku, jaki urządził tam Jarosław Kaczyński. Do tej liczby PiS potrafił dorzucić kolejne 15 proc. i więcej wyborców, którzy – jak pokazuje prezentowany tu sondaż – są skłonni przymknąć oko na rozmaite delikty, błędy, awantury, afery, zamachy na państwo prawa. Często widzą te negatywne zjawiska, ale uciekają

w kierunku indyferentyzmu, lekceważenia na zasadzie „to jedno zło”, wszyscy mają za uszami.

Ta brudna polityka

Daje o sobie znać stosowana przez Kaczyńskiego wieloletnia pedagogika obojętności, przekaz o brudnej polityce, złych intencjach, małości i interesowności wszystkich biorących udział w życiu publicznym. Lider PiS zawsze dbał o to, aby wyborcy w swojej masie zrównywali uczestników walki politycznej, traktowali ich jako grupę czarnych charakterów, ponieważ wie, że jego sympatycy połapią się w tej strategii, wyłapią swoich, tych słusznych. Ponadto partia Kaczyńskiego nawet z przybudówkami jawi się sympatykom jako zwarta, idąca razem do przodu formacja, której obietnice mają większe znaczenie niż zapewnienia grupy skłóconych ze sobą polityków opozycji.

Elektorat antyPiSu – co w kilku punktach pokazuje nasze badanie – jest znacznie mniej zwarty, kapryśny, łatwiejszy do zniewieczenia i popadania w depresję. Większość może trzymać fason, ale po kilkanaście procent w różnych sprawach rozchodzi się na boki, nie bardzo wiedzą, nie mają zdania, ulegają nastrojom i sytuacjom. Pisaliśmy kiedyś, że niewiarygodna zdawała się możliwość „węgieryzacji” polskiego społeczeństwa, bo inne położenie kraju, jego historia, zbiorowe doświadczenia. Ale teraz nie jest to tak pewne. Kaczyński kupił od Viktora Orbána pełną licencję na autokrację wraz z instrukcjami i harmonogramem. Trzyma się tej technologii punkt po punkcie: Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i inne sądy, media publiczne do przejęcia, prywatne do kupienia lub likwidacji, wrogowie obcy kapitał, agenturalne organizacje pozarządowe, Bruksela jako niechciany hegemon, imigranci jako kulturowe zagrożenie, wielkie katolickie Węgry, seksualizacja dzieci, stricte polityczne referendy itd. To jest kopia niemal jeden do jednego, z czego nawet zagorzali zwolennicy szefa PiS mogą nie zdawać sobie sprawy.

Na Węgrzech dało to Orbánowi cztery kadencje i większość konstytucyjną. Kaczyński, działając tak samo, chce tego samego. Nasz sondaż pokazuje, że na razie, z kłopotami, ale trzyma się tej drogi, pozyskuje i demobilizuje, przyciąga gorącą ideologią i spycha nieprzydatną resztę w „trudno powiedzieć”. Przekształca obywateli w klientów własnego systemu. Można mu się sprzeciwić, wciąż nie jest to wprost karalne, ale po co? – zdaje się pytać. Dokładnie według wzorca Orbána. System Kaczyńskiego i węgierskiego premiera polega na tym, że nie trzeba zdobyć wszystkich, wystarczy przeważać nad aktywnymi przeciwnikami własnego systemu. Jeżeli zwolennicy liberalnej demokracji nie stawiają odpowiedniego oporu, popadną w „normalizację”, symetryzm, zaczną traktować rządy autokratów jako zwyczajną demokrację, szanse na sukces takich polityków, jak Kaczyński, Orbán, Erdoğan, Trump i wielu innych, gwałtownie rosną. W powtarzonym od lat 90. badaniu CBOS pracownia ta zadaje pytanie: czy jest zgoda na twierdzenie, iż „silny przywódca może więcej zrobić dla kraju niż ustawy, dyskusje, konsultacje”? Liczba Polaków zgadzających się z takim autorytaryzmem ogólnie spadała od dwóch dekad, ale jeszcze w 2019 r. wynosiła 51 proc., a w maju 2023 r. nawet 53 proc. Widać więc, na jakim gruncie swoje wizje buduje Kaczyński, jak wciąż istnieje sprzyjający mu nastrój, tylko trzeba go podsycać, budzić lęki, nazywać i wskazywać wrogów.

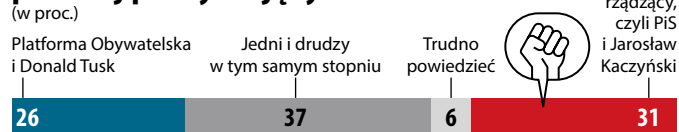
Budzenie śpiochów

W końcówkach kampanii wyborczych autokratyczna władza z reguły mocno przyspiesza, uruchamia propagandowe dopalacze, nie liczy się z kosztami. Kumulują się wszystkie jej

przewagi: instytucjonalne, finansowe, medialne. Taki „wielki finisz” widać było przed ostatnimi wyborami na Węgrzech czy w Turcji, co powodowało, że w oczach topniały szanse opozycji na zwycięstwo, które wcześniej oceniano jako duże. Wiele wskazuje, że w Polsce taki proces nie musi być nieuchronny. Ostatnie partyjne sondaże pokazują, że działają dwa główne suwaki. Na jednym jest PiS i Konfederacja, a na drugim Koalicja Obywatelska i „niezdecydowani”. PiS po prostu odzyskuje swoich dawnych wyborców, którzy częściowo odeszli do Konfy, a po części do politycznej poczekalni. Z kolei pewien spadek notowań KO i jednoczesny istotny wzrost liczby „niezdecydowanych” – co widać w ostatnich sondażach – świadczy o tym, że z jakiegoś powodu nastąpiła tu demobilizacja.

Nasz sondaż pokazuje, że pewna grupa elektoratu opozycji tkwi w specyficznym politycznym półśnie: może by i chcieli, aby PiS stracił władzę, ale się przy tym nie upierają. Stale trzeba im wysyłać nowe impulsy, uzmysławiać ekscesy władzy (ostatnio afery wizowa), aby wyrwać ich z przekonania, że „jest tak jak zawsze i lepiej nie będzie”. PiS obudził swoich wyborców-śpiochów, teraz przed tym zadaniem stoi Platforma i inne opozycyjne partie. Przecież nie jest tak, że PiS i PO podbierają sobie wyborców. Te dwa główne zasoby są rozłączne, każdy czerpie z innego worka, pytanie tylko, jak głęboko uda się sięgnąć. Kaczyński ostatnio uzyskał tu przewagę, ale Tusk może jeszcze nadgonić. Podobnie Trzecia Droga może sięgać po wyborców jednak Konfederacji, a nie Platformy, i widać w tej mierze pewne programowe i marketingowe starania. W sumie

Kto Pana\Pani zdaniem ponosi w większym stopniu odpowiedzialność za brutalizację polskiej polityki i język nienawiści?



największą zagadką jest Lewica, która przy swoich socjalnych i prokibiecyh postulatach powinna wysoko szybować, a wciąż pozostaje na lotnisku w hangarze.

Zbliżające się wybory nie są ani uczciwe, ani równe, tym samym nie są w istocie wolne. Ale wciąż wolno mobilizować potencjalnych zwolenników. Ostatni sondaż IPSOS w szczegółowych danych pokazał, że Platforma ma tu duże możliwości, według tego badania sufit jest ustawiony wysoko, sięga ponad 40 proc. To, co ujawnia nasz sondaż, czyli dużą pulę poglądów pół na pół, trochę tak, trochę tak, może irytować, kiedy gra toczy się o przyszłość państwa. Ale jest też dla opozycji szansą, wciąż można tych wyborców pozyskać dla odbudowania liberalnej demokracji i przerwania rządów PiS. Niewykluczone, że im się zechce na zasadzie: dlaczego nie?

Pozytywna wiadomość dla przeciwników obecnej władzy jest taka, że wzrosty PiS na razie wyhamowały. Pojawiła się afery wizowa, jeszcze będzie wybrzmiewało „100 konkretów”, potem marsz 1 października. Słowem, nadchodzi czas na ripostę opozycji.

MARIUSZ JANICKI

Badanie przeprowadziła pracownia Opinia24 (m.in. dawny zespół Kantar Public) za pomocą wywiadów telefonicznych CATI na reprezentatywnej próbie ogółu Polaków w wieku 18 lat i więcej, liczebność próby 1001, w dniach 9–11 września 2023 r.

Trzy M

T

MALWINA DZIEDZIC

Trwa już pierwsza połowa tego swoistego meczu o wszystko. I to opozycja jest przy piłce. Obóz władzy, co wyraźnie widać, nie był przygotowany na wybuch afery wizowej; nie zadziałały sprawdzone dotąd metody rozbrajania skandali – początkowe milczenie, a dalej: wytypowanie kozła ofiarnego, próba wyciszenia kryzysu, no i tradycyjne zamydlenie sprawy i przerzucanie winy na Platformę. W szeregach PiS widać więc nerwowość, rozjeżdżające się narracje, nawet wysługiwanie się dziennikarzami jest nad wyraz czytelne – trudno wszak uznać za standard rozkolportowanie treści „listu pożegnalnego” Piotra Wawrzyka, zwłaszcza mając w pamięci metody manipulowania przez rządzących opinią publiczną, ujawnione w tzw. mailach Dworczyka.

Ale do jakiego stanu klasę polityczną doprowadziło osiem lat rządów PiS, najlepiej widać w kulaarowych rozmowach z politykami opozycji. Wszyscy nasi rozmówcy są przekonani, że to największa afera PiS, skandal na międzynarodową skalę, coś, po czym żaden rząd w normalnym demokratycznym kraju by się nie podniósł. Zarazem wielu z nich chwilę potem dodaje: – *No tak, ale tyle już było afer, które miały pogrzyźć PiS, i niewiele z tego wynikało.* Jakby gdzieś z tyłu głowy także politykom wdrukowało się przekonanie o zubożeniu społecznym i niezatapialności PiS. Podobna emocja udziela się również komentatorom i obserwatorom życia publicznego. „Wiara, że jakkolwiek afera może jeszcze wpłynąć na spadek notowań PiS, świadczy o głębokiej religijności Polaków” – dowcipkowano ostatnio w mediach społecznościowych.

Są jednak i optymiści, jak Dariusz Joński, jedynek KO w Łodzi, poseł, który wraz z Michałem Szczerbą tropi nadużycia PiS: – *Ta afera jest inna niż poprzednie. Po pierwsze: timing kampanijny. Ta sprawa przenosi się na emocje i nawet do wyborców PiS dociera, że coś się wydarzyło, bo jednak są aresztowania, a w TVP usłyszeli orędzie marszałka Grodzkiego. Po drugie, to afera, która nie dotyczy tylko korupcji, ale i bezpieczeństwa. A ten temat – jak wynika z wielu badań – jest dla ludzi najważniejszy. Tymczasem PiS bez żadnej kontroli i ochrony kontrywiadowniczej wpuścił do Polski 250 tys. ludzi. Więc skutki tej afery mogą być dla rządzących poważne.*

I można byliby to uznać za myślenie życzeniowe, gdyby nie to, że afera wizowa godzi w dwa filary, na których władza opiera swoją narrację: bezpieczeństwo i wiarygodność. Trudno bowiem traktować poważnie kampanijne hasło PiS: „Bezpieczna przyszłość Polaków”, antyimigracyjne wzmoczenie Morawieckiego i Kaczyńskiego czy pomysł urządzania referendum dotyczącego m.in. kwestii migracji, kiedy pod auspicjami pisowskiej władzy kwitł proceder odpłatnego przerzucania przybyszów z Azji i Afryki. A – jak zapowiada poseł Joński – niebawem KO ujawni kolejne wątki afery i nazwiska osób zamieszanych w kupczenie wizami.

Polityk zwraca przy tym uwagę na istotną cechę tej afery: – *Jest prosta do opowiedzenia.* A to o tyle istotne, że bezpośrednio przekłada się to na nośność tematu. Wystarczy spojrzeć na aferę

Plan Donalda Tuska jest prosty i streścić go Marsz, Mijanka. I choć powakacyjne sondaże potrzeba będzie sporo wysiłku, to opozycja



z Saudi Aramco – czyli sprawę narażenia na szwank naszego bezpieczeństwa energetycznego – ta zajmowała głównie dziennikarzy specjalistycznych, nie emocjonowała symetrystów, bo była trudniejsza do komentowania niż choćby utrata prawa jazdy przez Donalda Tuska. Tu zaś stopień skomplikowania nie jest wielki, a niektóre wątki są wręcz filmowe, jak ujawniona przez Onet historia „filmowców z Bollywood”.

Zadyszka po sparingu

Dla KO najważniejsze jest więc teraz dotarcie z informacjami o aferze wizowej do wyborców PiS. – *Oczywiście do tych dwudziestu kilku procent twardego elektoratu PiS ta sprawa nie trafi albo będą powtarzali przekaz TVP. Ale nam chodzi o te 7–9 proc. wyborców labilnych, wahających się. To do nich musimy się przebić – słyhać w KO.* O tym też mówił pod koniec ubiegłego tygodnia Donald Tusk, apelując do zgromadzonych na wiecu w Skarżysku-Kamiennej: „To wy jesteście rycerzami prawdy. Jeśli będziecie ją powtarzać, to ta prawda będzie silniejsza od prawdy Kurskiego,

można w trzech hasłach: **Mobilizacja**, pokazywały, że do przeskoczenia PiS dostała właśnie szansę na mocne odbicie.



Konwencja KO w Tarnowie.

Kaczyńskiego, rządowej telewizji, kłamstw, Rydzyka”. I nie tyle w tym chodzi o przeciągnięcie głosów, bo te przepływały tak nie działają, ile o zdemobilizowanie bazy wyborczej PiS, ewentualnie – przekierowanie tych głosów „light PiS” na inne ugrupowanie.

Demobilizacja wyborców przeciwnika to jedno, ale mobilizacja swoich to równie wymagające zadanie. Szczególnie że emocje, które wywołał sukces marszu 4 czerwca, kiedy ulicami Warszawy przeszło pół miliona osób, przez wakacje opadły. – *Jeszcze na początku lata ludzie podchodzili do mnie na ulicy i z takim entuzjazmem mówili: jeszcze kilka miesięcy i wygramy! A teraz podchodzą i raczej pytają: damy radę?* – relacjonuje jeden z ważnych polityków PO. Nie tylko on spostrzegł tę niekorzystną zmianę nastrojów. Czerwcowy marsz wywindował emocje prodemokratycznych wyborców, ale potem nastąpiło rozprężenie, także po stronie samej partii, którą pochłonęło tworzenie list wyborczych i domykanie paktu senackiego. Przy braku wspólnej listy opozycji do Sejmu pakt na wybory do Senatu był oczekiwanym minimum międzypartyjnej współpracy, załączkiem

przyszłej rządowej koalicji. Niestety, negocjacje się przeciągały, towarzyszyły im publicznie widoczne zgrzyty, na końcu zaś okazało się, że nawet nie wszystkim kandydatom udało się zarejestrować, a w niektórych okręgach złamano wzajemne ustalenia (np. w okręgu ostrołęckim wystartuje i kandydat Polski 2050, i kandydat PSL – z tego powodu ma zostać wykluczony z partii). Stąd stopniały szacunki mandatów, które są w zasięgu dzisiejszej opozycji – jeszcze kilka tygodni temu mowa była o 65, teraz po przeczkę obniżono o pięć mandatów.

I choć te wakacyjne sparingi były opozycji potrzebne – trzeba było szlifować formę, zgrywać i ustawiać drużynę – i towarzyszyła im prekampanijna aktywność, to ich efekt pozostawił wiele do życzenia. Wyniki – przynajmniej te sondażowe – były poniżej oczekiwań. Specjaliści opracowujący dla partii wewnętrzne badania tłumaczyli to swoistym letnim rozkojarzeniem: ludzie byli w trybie wakacyjnym, chcieli się odciąć od polityki, nie odbierali telefonów od ankierów albo odmawiali rozmowy z nimi – może także w obawie przed tym, kto i po co dzwoni. Bo ten strach – zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, gdzie ludzie się znają, wiedzą, kto i gdzie pracuje, od kogo jest zależny – jest widoczny. Co ma także znaczenie w kontekście połączonego z wyborami referendum. – *Jest taki nastrój późnej komuny. Ludzie bardziej niż cztery lata temu boją się ujawniać swoje poglądy. Przychodzą na dożynki lub inne spotkania z nami, ale unikają zdjęć i przyznawania się do swoich sympatii, jakiegokolwiek by one były, jakby miała ich z tego powodu spotkać jakaś nieprzyjemność* – opowiada jedna z posełek KO, kandydująca z trudnego, piśmowskiego regionu. Jej zdaniem to może się odbijać na sondażach.

Jednak w opinii lewicowego komentariatu – i jednego posła KO z osobistych powodów niezadowolonego z kształtu list – winny niesatysfakcjonujących notowań Koalicji Obywatelskiej jest Roman Giertych. Tyle że ten zjazd do poziomu 27 proc. wychwycił już IBRiS jeszcze przed ogłoszeniem przez Tuska kandydatury Giertycha. No i nie podbudowała się na tym Lewica – naturalny, wydawałoby się, beneficjent buntu przeciwko konserwatywnemu i kontrowersyjnemu kandydatowi. To zatem zbyt prosta interpretacja.

Trening marszowy

Jeden z doradców Donalda Tuska tę utrzymującą się kilkupunktową różnicę w notowaniach KO i PiS tłumaczy ogromną dysproporcją sił i środków: zaangażowaniem w kampanię obozu władzy państwowych instytucji i spółek. – *Musimy się mierzyć z ogromną machiną propagandową* – podkreśla. I przywołuje metaforę... ogórka konserwowego: – *Masz dwa: jeden pełen chemii, skróci ci życie o 10 lat, z toporną agresywną reklamą, ale powtarzaną w kółko, bo stoi za tym ogórkiem ogromny koncern. I drugi: zdrowy, z ciekawą reklamą, ale rzadko puszczaną z uwagi na mniejszy budżet. Który lepiej się sprzeda?* – pyta retorycznie.

Jednak sporo z naszych rozmówców kandydujących w tych wyborach zwraca uwagę, że sondażowe wyniki nie pokrywają się z ich obserwacjami. – *Mój prywatny sondaż społeczny wcale nie jest taki zły. Reakcje ludzi są lepsze niż przy poprzednich wyborach: podchodzą, zagadują, chcą się zaangażować, pomóc* – opowiada startujący do Senatu Rafał Grupiński. Ale jego kolega z władz PO widzi to trochę inaczej: – *To taka dziwna kampania, emocjonuje tę samą zaangażowaną grupę, ale reszta jest w jakiejś magmie, widać apatię, zobojętnienie. Jakby jeszcze ta kampania się nie rozchylała.*

Dlatego Tusk i jego ludzie przez najbliższe dni będą przede wszystkim mobilizować do uczestnictwa w „marszu miliona serc” (1 października). To ma być mocne wejście w drugą, decydującą połowę kampanii. A afera wizowa – podobnie jak w czerwcu lex Tusk – może pomóc Platformie wyciągnąć ludzi na ulice ▶

► i przekonać, że ten kolejny raz trzeba zmanifestować sprzeciw wobec skompromitowanej władzy. – *Żadne konwencje, programy nie będą miały takiego efektu jak ogromny marsz. Ludzie muszą się zobaczyć* – podkreśla jeden z posłów KO.

Marsz ma mieć tym razem trochę inną trasę niż poprzednio – aby łatwiej było się pomieścić i policzyć. – *Nasz elektorat jest bardziej wrażliwy, wymaga „znaków widzialnych”: ludzie muszą się zobaczyć, żeby uwierzyć. Wiedzy zryw jest możliwy* – tłumaczy kandydujący z Legnicy Piotr Borys. Zresztą o tym też mówił Tusk w Gdańsku, w rocznicę porozumień sierpniowych: „Odrobiłem lekcję Solidarności i wiem, że wstępem do każdego zwycięstwa jest ta zdolność zobaczenia siebie nawzajem, policzenia się i pokazania władzy, że nas są miliony, że nie jesteśmy pogubieni, osamotnieni, że idziemy razem, ręka w rękę”.

To wówczas też lider PO apelował, aby „nie zmarnować wysiłków tamtego pokolenia”, i mówił, że opozycji potrzeba 10 mln głosów – to tyle, ile w drugiej turze wyborów prezydenckich zdobył Rafał Trzaskowski. Stratedzy KO próbują więc uruchomić grupy elektoratu, które mają potencjał, ale są dość bierne. Zaktywizować trzeba przede wszystkim kobiety. Bo z biernego prawa wyborczego skorzysta w tych wyborach wiele z nich – to KO spośród wszystkich komitetów dała najwięcej „jedynek” na listach kobietom (41,5 proc., dla porównania: Nowa Lewica – 34 proc., PiS – 24, TD – 20 proc.), ma suwak, niemal tyle samo kandydatek co kandydatów i kobietę na czele sztabu (Wioletę Paprocką, ocenianą przez wszystkich jako bardzo sprawną). Niedosyt pozostawia jednak prognoza uczestnictwa kobiet – zwłaszcza młodych – w wyborach, czyli skorzystania z czynnego prawa wyborczego. – *Wśród części z nich widać poczucie rezygnacji. Była wielka mobilizacja jesienią 2020 r., dziewczyny wyszły na ulice, ale PiS przeczął te protesty. Kobiety, zwłaszcza te młode, niewciągnięte politycznie, uznały, że im się nie udało. I teraz my musimy przywrócić im wiarę w ich siłę i siłę ich głosu* – tłumaczy Barbara Nowacka, zaangażowana w zainaugurowaną w ubiegłym tygodniu profrekwencyjną akcję KO „Kobiety na wybory”.

Z aktywnością najmłodszych wyborców, wbrew pokładanym nadziejom, i w tej kampanii jest kłopot. – *Taka prawda, że wielu z nich nawet nie chciało się podpisać, kiedy zbieraliśmy podpisy pod listami kandydatów. Bo się spieszyli, bo mieli coś ważniejszego – zżyma się jeden z polityków KO. – A przecież to o ich przyszłość chodzi.*

W tandemie

Szansą na pobudzenie kobiet i młodych do większej aktywności wyborczej ma być nie tylko podnoszenie haseł typu: świeckie państwo czy legalna aborcja do 12. tygodnia ciąży, ale też włączenie się w kampanię Rafała Trzaskowskiego. Również prezydent Warszawy ruszył w Polskę, spotyka się z ludźmi; wystąpi u boku Tuska na marszu 1 października. – *Będziemy pokazywać, że mamy dwóch liderów, którzy podzielili się zadaniem* – słychać we władzach PO. – *Rafałowi udało się przekonać Donalda, że musi się od niego odróżniać. Musi być inny, nie może mówić, a nawet wyglądać jak Donald, bo tylko tak mamy szansę poszerzyć elektorat* – opowiada osoba z otoczenia Trzaskowskiego.

To odróżnianie się dało się zauważyć już podczas tarnowskiej konwencji KO, kiedy wicelider PO jako jeden z nielicznych wystąpił w niebieskiej koszuli (z kolei na wiecu w Radomiu postawił na granat). To niby drobiazg, ale symboliczny. Jak słyszymy,

Koalicja musi iść szeroką ławą – tak Tusk konstruował listy wyborcze. Ma być różnorodnie, dynamicznie i ofensywnie.

Trzaskowski buduje własną markę polityczną, głównie z myślą o wyborach prezydenckich – ewentualnie: jeśli na jakimś etapie po najbliższych wyborach parlamentarnych trzeba byłoby wymienić premiera lub kandydata na ten urząd. Bo po 15 października najpewniej zaczną się „zapasy w błocie” – jak to obrazowo opisuje jeden z członków władz PO. To, co będzie po wyborach, zależy nie tylko od wyników, ale i układu sił, rozkładu mandatów, postawy konfederatów i Andrzeja Dudy.

Wszystko może się zdarzyć, dlatego Tusk – jak sam przyznaje – ma „plan wielowariantowy” i jest „przygotowany na każdą okoliczność”. Jedno jest jednak pewne: wbrew zwyczajowo już pojawiającym się spekulacjom oraz apelowi niektórych publicystów o zastosowanie manewru Kaczyńskiego i schowanie się za innym politykiem, Tusk nie przekaze przed wyborami pałeczki Trzaskowskiemu. Ten zabieg Platforma już zresztą ćwiczyła w 2019 r., kiedy pod naciskiem oczekiwań opinii publicznej Grzegorz Schetyna wskazał Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydatkę na przyszłą premier. I nic to nie dało. – *Donald nie ustąpi, inaczej zakwestionowałby sens swojego powrotu. Zresztą Rafał to ani Morawiecki, ani Szydło* – podkreśla nasz rozmówca z władz PO.

Trzaskowski nie będzie więc występował w roli człowieka Tuska ani politycznego suportu przewodniczącego. Ma być drugim liderem, wspierającym, ale i wyróżniającym się, nawet pod względem ubioru na tle „białej drużyny Tuska”. Bo Platforma w tej kampanii mocno dba także o oprawę wizualną. Platformerzy dostali więc przykaz, aby występować w białych (ewentualnie jasnych) ubraniach i nie zapominać o charakterystycznych naklejkach z biało-czerwonymi serduszkami – to ma być znak rozpoznawczy, ale i symbol. – *Pomysł serduszek wzorowanych na tych Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy podrzucił Igor Ostachowicz, a szef go rozwinął* – zdradza osoba z otoczenia Tuska. – *Te serduszka to był świetny pomysł! Ludzie na ulicy od razu widzą, że nie jesteśmy pisowcami, podchodzą, pytają, jak pomóc* – opowiada Marta Golbik, trójka na gliwickiej liście.

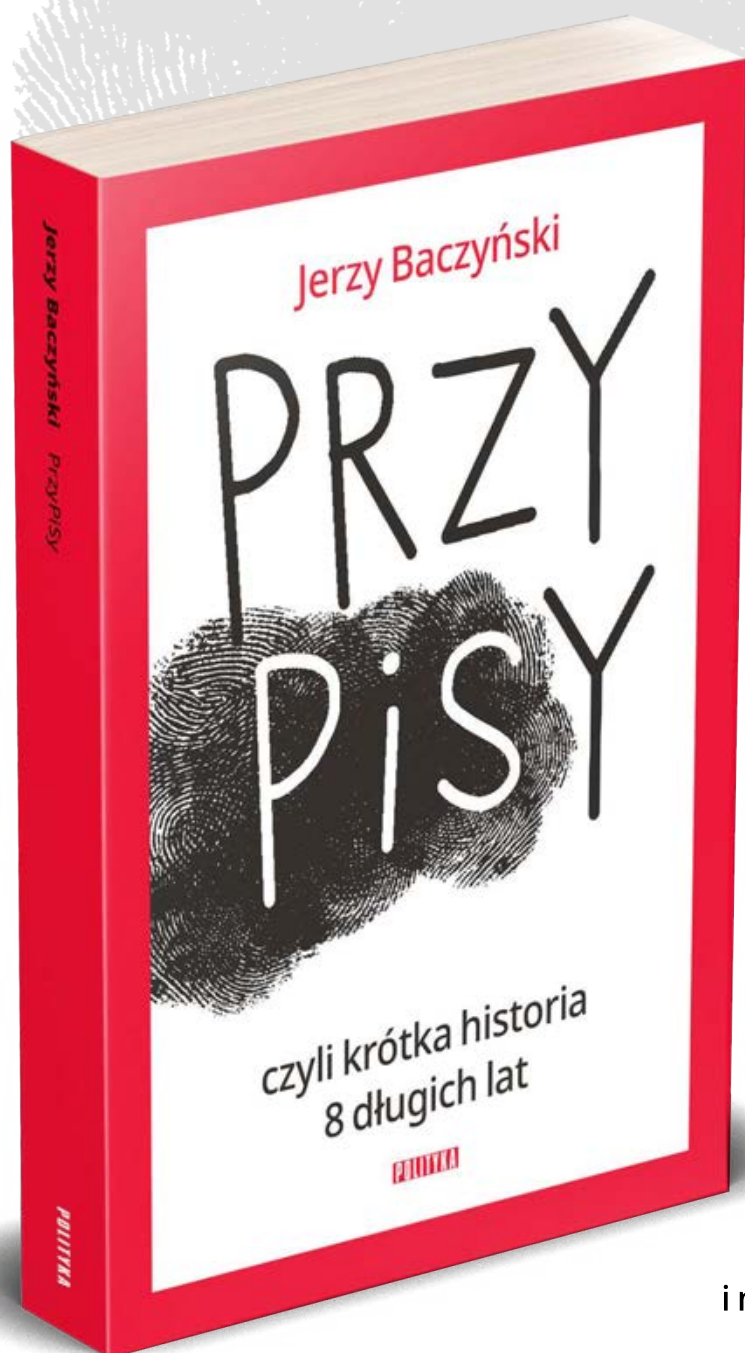
Pomysł się sprawdził, więc nawet scena ustawiona podczas niedawnej konwencji KO w Tarnowie przypominała owo serduszko z naklejki. To tam zaprezentowano „100 konkretów na 100 dni”. To baza programowa PO: szeroki wachlarz propozycji, w których każdy ma znaleźć coś dla siebie. Wszak elektorat opozycji – poza twardym prodemokratycznym jądrem – jest kapryśny, labilny, rozproszony, ma inne potrzeby i oczekiwania. Na jednych więc być może podziała obietnica uwolnienia handlu w niedzielę, podwyższenia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł lub 600 zł dopłaty do wynajmu mieszkania dla młodych, na innych zaś – wprowadzenie ustawy o statusie artysty, likwidacja tzw. pułapki rentowej bądź obniżka VAT dla sektora beauty do 8 proc., bo podobne szczegółowe propozycje znalazły się w programie KO.

Koalicja musi iść szeroką ławą – tak zresztą Tusk konstruował listy wyborcze, na których jest i konserwatywny (ale też mocno antypisowski) Roman Giertych, i ludowy Michał Kołodziejczak, i choćby aktywistyczne ekologiczne i LGBT San Kocoń z Zielonych, numer 9 na krakowskiej liście. Ma być różnorodnie, dynamicznie i ofensywnie. – *Donald musi być cały czas w ruchu, nie może się zatrzymywać ani odpuszczać* – mówi jeden z bliskich współpracowników przewodniczącego. Bo choć opozycja gra na wyjątkowo nierównym boisku, to w polityce jak w sporcie: „Dopóki piłka w grze, wszystko jest możliwe”.

MALWINA DZIEDZIC

„PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”

– najnowsza książka Jerzego Baczyńskiego,
redaktora naczelnego tygodnika POLITYKA.



Osobisty dziennik
podróży przez Polskę
pod rządami PiS

Historia 2015-2023
w zbliżeniach

Przenikliwa krytyka
populistycznej władzy

Z rysunkami Janka Kozy

Do 3 października w sprzedaży
w salonach prasowych
z tygodnikiem **POLITYKA**

Dostępna także w księgarniach
i na sklep.polityka.pl oraz jako e-book.



Cichy marsz

Skrajnie ostrożna, minimalistyczna, pozbawiona błysku. Byle nie stracić zbyt wiele i pozostać w Sejmie. Tegoroczna kampania Lewicy jest na miarę realnych możliwości i chyba też aktualnych ambicji ugrupowania, które jeszcze niedawno marzyło o zmieniaaniu Polski.

RAFAŁ KALUKIN

To jedna z najmniej typowych kampanii, zresztą nie tylko w tym rozdaniu. Właściwie wbrew logice okresu godowego, kiedy to partie ochoczo stroszą piórka, wdzięcząc się do wyborców. W kampanii Lewicy zaś niemal wszystko wydaje się stonowane, wręcz do przesady poprawne. Założenie jest takie, żeby konsekwentnie robić swoje, ale bez zbędnego rabanu i ryzykanckich manewrów.

Trochę to wygląda jak w niesławnej pamięci futbolowym *catenaccio*, którego jeden z teoretyków twierdził, że idealny mecz piłkarski powinien zakończyć się wynikiem bezbramkowym. Podobnie podchodzi do wyborczej rozgrywki formacja Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia, stawiając w pierwszej kolejności na zabezpieczenie sobie tyłów. Orientuje się na 8–10 proc. wyborców, których już ma i po prostu chce ich przy sobie utrzymać. Trzeba im więc zaoferować sprawdzony już towar. O docieraniu do nowych grup przynajmniej w tym cyklu

raczej nie ma już mowy. To zbyt duże ryzyko, że pojawią się narracyjne szumy, demobilizujące dysonanse. Najważniejsze to po prostu jak najmniej stracić.

Od pamiętnej klęski koalicyjnego komitetu Zjednoczonej Lewicy w 2015 r., kiedy zabrakło ułamka procentu do przekroczenia progu 8 proc., obowiązuje zasada maksymalnego bezpieczeństwa. Już cztery lata temu faktyczną koalicję SLD, Wiosny i Razem wciśnięto na partyjne listy Sojuszu, co pozwoliło obniżyć próg do 5 proc. Skądinąd okazało się to zbyt dużą asekuracją, gdyż ostatecznie

Lewica dosyć niespodziewanie zdobyła aż 12 proc. Tyle że w trakcie kadencji obniżyła jednak loty, co wymusiło teraz powrót do logiki przetrwania.

Ale po drodze zmieniła się również konstrukcja nośna całej formacji, która nieco przypomina pierwsze SLD z lat 90., zanim jeszcze zostało skonsolidowane w jedną partię przez Leszka Millera. Na początku był to bowiem konglomerat niewielkich partijek i organizacji społecznych, które krążyły wokół partyjnego jądra SdRP. Dziś takim jądrem jest Nowa Lewica, powstała dwa lata temu z połączenia SLD i Wiosny. Co zrazem pogłębiło satelicki status partii Razem, chociaż (jako Lewica Razem) to wciąż najważniejszy satelita w lewicowym układzie, z konkretną reprezentacją na listach wyborczych i znaczącym wpływem na program. W przypadku wysłużonych kanap w rodzaju UP, PPS i SDPL można mówić już tylko o symbolicznej reprezentacji, a do tego jeszcze doszły pojedynczo porozrzucane rodzynki, czyli związkowcy, działacze ruchów miejskich, aktywiści i aktywistki LGBT, Strajku Kobiet, Kongresu Kobiet, Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, Kongresu Świeckości, a nawet KOD i Obywateli RP.

Mogłoby się wydawać, że to przepis na mozaikowo zróżnicowaną, a przez to interesującą listę. Tak się jednak nie stało, gdyż rodzynki zaległy najczęściej w głębszych warstwach ciasta, tymczasem góra jest niemal wyłącznie partyjna. Czuwający nad kształtem list Czarzasty zadbał o to, żeby dotychczasowy układ sił w jego formacji nie został naruszony. W praktyce polegało to na utrzymaniu uprzywilejowanej pozycji dotychczasowych posłów, z których niemal wszyscy w komplecie zachowali jedyńki w swoich okręgach. Z paroma wyjątkami, ale też przeważnie silną gwarancją utrzymania się w Sejmie (jak np. Anna Maria Żukowska na drugim miejscu w Warszawie). To przy obecnym poparciu praktycznie zamyka rywalizację, gdyż w zdecydowanej większości okręgów Lewica nie ma szans na więcej niż jeden mandat, a w niektórych nie może liczyć nawet na to. Na krótką metę zapewnia to utrzymanie wewnętrznej sterowności, ale w dłuższym horyzoncie może się okazać źródłem frustracji. Kanały awansu są bowiem pablokowane, co z kolei grozi stopniowym wykruszaniem się ambitniejszych postaci z drugiego szeregu. Ma to znaczenie, bo legendarna przed laty sprawność organizacyjna struktur dawnego SLD należy już do przeszłości.

W tej kampanii w bardzo wielu okręgach akcja zbierania podpisów szła jak po grudzie i zdarzało się wyrabiać wymaganą pulę z najwyższym trudem. I chociaż próbowano to tłumaczyć wyjątkową w tej kampanii niechęcią wyborców do deklarowania czynnego poparcia, zresztą inne komitety również miały podobny problem (co skądinąd może zapowiadać niską frekwencję wyborczą), niemniej test zdolności mobilizacyjnych aparatu wypadł raczej blado. A w najślabstych okręgach wręcz trzeba było organizować łapanki na same listy, gdyż początkowo nie było kim wypełnić dalszych miejsc.

Całość prezentuje się zatem przewidywalnie i dosyć nudno. Bo też ogólnie rozpoznawalnych osobistości w lewicowej formacji jest dzisiaj nie za wiele. Na samym finiszu najwyraźniej się zresztą zorientowano, że brakuje wyrazistych przypraw i przydałoby się zorganizować jakiś przykuwający uwagę transfer. Tylko jak wpasować solistę do żelaznej dyscypliny *catenaccio*? Przypadek prof. Jana Hartmana, któremu zaproponowano jedynekę w trudnym dla Lewicy okręgu nowosądeckim, w pełni ujawnił kwadraturę koła. Znany z wyrazistych sądów filozof od razu wdał się w twitterowy spór z prawicą o prawa obywatelskie osób skazanych za przestępstwa pedofilskie i już nazajutrz został z listy wycofany. Jak tłumaczono w kuluarach, nawet nie za ten konkretny wpis, tylko za ogólną predylekcję do prowokowania opinii publicznej. Tego bowiem Lewica wystrzega się teraz jak diabeł święconej wody. Dużo mniej kontrowersyjny, bo też osadzony głównie w społecznościowej bańce, okazał się za to pisarz Jacek Dehnel, znany z zaangażowania w promowanie praw LGBT. Wystartuje z ostatniego miejsca w Warszawie.

Najwięcej, bo aż 19, jedynek przypadło dawnym działaczom Wiosny, którzy obecnie są zorganizowani w osobnej frakcji Nowej Lewicy. Sam Robert Biedroń mimo nalegań nie zdecydował się jednak kandydować do Sejmu, chociaż obiecywał do niego wrócić z europarlamentu już cztery lata temu. Jego życiowy partner Krzysztof Śmiszek otwiera teraz listę wrocławską, chociaż – jak mówi się w kuluarach – też ma już zaklepane w przyszłorocznych wyborach europejskich uprzywilejowane miejsce w batalii o Brukselę. Co wywołuje wewnątrz kwaśne uwagi o wyprzedzaży politycznych ambicji na życiowe apanaże obydwu zasłużonych dla emancypacji społeczności LGBT postaci. Inne znane nazwiska z „wiosennej” puli to Krzysztof Gawkowski (Bydgoszcz),

Joanna Scheuring-Wielgus (Toruń), Maciej Gdula (Kraków) i Katarzyna Kotula (Gdańsk).

Drugi z przywódców Włodzimierz Czarzasty podobnie jak cztery lata temu kandyduje z „czerwonego” Sosnowca. Jemu akurat nie brakuje energii, chociaż coraz częściej podkreśla, że zbliża się już do schyłku politycznej kariery. Początkowo ten 63-latek z trudną biografią, łatką skrajnego cynika i poważnymi problemami zdrowotnymi prezentował się nieco osobliwie na tle młodolewicowego wianuszka. Przez lata był zresztą politykiem typowo gabinetowym, ostatnio zaczął jednak ujawniać pewne talenty sceniczne i można wręcz zaryzykować tezę, że stał się najważniejszą twarzą swojej formacji. Jego współpracownicy podpowiadają, że to efekt ogromu indywidualnej pracy nad sobą, a patrząc z perspektywy afery Rywina, wyłania się z tego obraz jednej z najbardziej niezwykłych karier politycznych ostatnich dwóch dekad.

Ale już kadry Czarzastego z frakcji SLD wyglądają dużo mniej imponująco, gdyż przeważają na jedynekach bezbarwni partyjni biurokraci, którzy nawet mając możliwość wykazania się w Sejmie, nie zapisali się niczym szczególnym. Do tego wciąż niemało twarzy z rodowodem w PZPR (ale też postkomunistyczny elektorat ciągle jeszcze coś znaczy), również spory zaciąg samorządowy. Niektóre nazwiska mogą jednak zaskakiwać, szczególnie jak na ogólnie niekontrowersyjną linię. To chociażby Piotr Gadzinowski na piątym miejscu w Warszawie, przed laty znany z barwnych wypowiedzi poseł, a w ostatnich latach naczelny niszowej „Trybuny”.

Z kolei dwójkę w Gorzowie Wielkopolskim dostał były prezydent tego miasta Tadeusz Jędrzejczak: polityk po przejściach, z uchylonym przez sąd wyższej instancji wyrokiem sześciu lat więzienia za niegospodarność. Na takim tle najjaśniejszą gwiazdą otwierającej gdyńską listę Agnieszki Bąk-Dziemianowicz, która zaliczyła już środowiska Razem i Wiosny, trochę z konieczności zakotwicząc niedawno w eseldowskiej frakcji Nowej Lewicy.

Lewica Razem po cichu liczy na utrzymanie sześciu sejmowych mandatów, chociaż może być to trudne. Szczególnie że okoliczności wymusiły przesunięcie współprzewodniczącej partii, Magdaleny Biejat, do paktu senackiego. A to ona w mijającej kadencji cieszyła się w swoim środowisku opinią najbardziej kompetentnej i zarazem pracowitej posłanki. Na warszawskiej liście zrobiło się jednak zbyt gęsto, żeby mieć pewność ►

► przedłużenia mandatu. Otworzy ją oczywiście Adrian Zandberg, który cztery lata temu uzyskał w stolicy jeden z najlepszych wyników w Polsce. A kiedy jeszcze w inauguracyjnym sejmowym wystąpieniu spektakularnie wypunktował exposé premiera Morawieckiego, pisano mu wielką polityczną przyszłość. Tyle że do końca kadencji przeważnie już tylko snuł się sejmowymi opłotkami, nawet nie podejmując próby zbudowania realnego przywództwa. Dzisiaj bardziej jest symbolem antyliberalnego nurtu społecznej lewicy niż realnym punktem odniesienia.

Jego mandat jest oczywiście pewny, podobnie jak otwierających również listy Macieja Koniecznego (Katowice) i Marceliny Zawiszy (Opole); raczej też nie powinna mieć z tym problemów Paulina Matysiak (Sieradz). „Razemki” będą też inwestować w kampanię swojej rzeczniczki Doroty Olko (czwarta w Warszawie) oraz Marty Stożek (druga we Wrocławiu). Przy optymalnych warunkach są więc w stanie odtworzyć dotychczasowy stan posiadania. Co okaże się istotne, jeśli opozycja zdoła zbudować po wyborach kruchą większość. Przedstawiciele Razem zapowiadają, że swoje wejście do koalicji będą uzależniać od uwzględnienia paru istotnych dla Lewicy postulatów.

Bo też wpływ liczbowo wątego środowiska Zandberga na hasła i program Lewicy jest w tej kampanii ponadprzeciętny. Biegnie ona swoim spokojnym torem, rozpisana na kilka segmentów: usługi publiczne, tanie budownictwo mieszkaniowe, prawa kobiet, święckie państwo. Ale już bez żadnego licytowania się na socjal z PiS i KO, bo ma być na poważnie i blisko ziemi. W tradycyjnych mediach, które najchętniej obsługują polaryzujące kwestie, nie jest łatwo się z takimi tematami zmieścić, ale też Lewica najbardziej w tym roku inwestuje w mikrotargetowanie przekazu wprost do swoich zwolenników poprzez internet.

Trochę życia w kampanię wniosła w ostatnim okresie strategiczna decyzja, żeby budować alternatywną polaryzację na linii Lewica–Konfederacja. Wcześniej tego unikano, żeby się nie kojarzyć ze skrajnościami, populizmem, ogólną niepewną rywalizacją po drugiej stronie. Sukcesy sondażowe Konfy nieco jednak zmieniły perspektywę i dziś kandydaci Lewicy chętnie przyjmują zaproszenia do medialnych pojedynków z ludźmi Mentzena, często też odbijają się od haseł Konfederacji w swoich wystąpieniach.

Ich z natury skomplikowana opowieść o reformie służby zdrowia albo edukacji od razu nabiera rumieńców, kiedy wychodzi się od postraszenia skutkami wcielenia w życie konfederackiej fantazji o zastąpieniu państwa przez rynek.

A poza tym skupienie się na Konfie jest sposobem podkreślania odrębności Lewicy od KO.

To z kolei kwestia w tej kampanii wręcz kluczowa. Bo lewicowy wyborca na badaniach fokusowych jest niezłe skołowany. Emocjonalnie utożsamia się ze swoją formacją, docenia siłę jej przekonań, konsekwencję programową. Trochę gorzej bywa z oceną przywództwa: w sumie akceptuje liderów Lewicy, chociaż jako premiera wolałby Rafała Trzaskowskiego. Natomiast kiedy włącza mu się zdrowy rozsądek, który skłania do poparcia siły realnie zdolnej odebrać władzę PiS – co jest potrzebą niezmiennie dominującą w tym elektoracie – konkluzja dla Lewicy robi się wręcz dramatyczna. Oznacza to bowiem, że jeśli Tusk na finiszu kampanii wezwie do poparcia najsilniejszej formacji, żeby nie marnować głosów na maluchy, taki apel niemal bez pudła spadnie na bardzo podatny grunt.

Wniosek z tego jest taki, że Lewica musi się od KO umiejętnie odróżniać. Bez wchodzenia we frontalne zwracania, bo to tylko drażnienie niedźwiedzia, które może go sprowokować do sięgnięcia po ostateczne środki. Politycy Lewicy chwytają się więc każdego sposobu, żeby podkreślać swoje pełniejsze przywiązanie do wspólnych obu formacjom wartości. Jak tylko więc KO usunęła ze swoich list Janę Shostak za radykalnie proaborcyjne stanowisko, Lewica natychmiast ją przytuliła na swoje listy. Co miało znaczyć mnie więcej tyle, że popiera aborcję bez żadnego „tak, ale”. Nieprzypadkowo też Czarzasty tak chętnie teraz powtarza, iż podstawowa różnica pomiędzy jego formacją i obozem Tuska wyraża się tym, że na lewicowej liście nie znajdzie się nigdy Roman Giertych. Ale najświeższe badania pokazują, że lewicowego wyborcę najbardziej jednak zniechęca do przerzucenia głosu na KO sugestia ewentualnej koalicji Tuska z Mentzenem po wyborach. Bo z jego punktu widzenia Konfederacja to zło jeszcze większe niż PiS. Stąd też z dużą konsekwencją Lewica lubi teraz podkreślać, że jej wejście do Sejmu to gwarancja nowego układu bez prawicowych radykałów.

Ostatnie doniesienia są dla formacji Czarzastego dosyć krzepiące. Wiele bowiem wskazuje, że Tusk raczej nie ulegnie

pokusie zatopienia małych partii. Liderzy Lewicy właśnie mieli dostać zaproszenie na Marsz miliona serc 1 października – i to nie na osobnej ciężarówce, jak na marszu 4 czerwca, tylko na jednej scenie z szefem KO. Co sugeruje, że w ostatniej fazie kampanii opozycyjny hegemon postawi na jednoczący przekaz, podkreślający konieczność szerokiej współpracy po wyborach. W kuluarach sporo się zresztą mówi o nieformalnych spotkaniach Tuska z Czarzastym, w trakcie których omawiane są przyszłe scenariusze.

Z naszych informacji wynika też, że warunkiem niedawnego wejścia na listy KO Andrzeja Rozenka było wycofanie jego pozwu sądowego przeciwko Czarzastemu. Wyrzucony dwa lata temu z szeregow SLD polityk zaskarżył bowiem nielegalny jego zdaniem sposób przeprowadzenia fuzji Sojuszu z Wiosną, co w razie potwierdzenia tego przez sąd mogło przynieść całej formacji destrukcyjne skutki. Wciąż jest to co prawda niewykluczone, bo takich skarg zostało złożonych więcej, ale przynajmniej wiadomo, że Tusk ogólnie akceptuje przywództwo Czarzastego, być może nie chcąc robić miejsca dla „antylibkowej” alternatywy po lewej stronie.

W ogólnie niepewnej sytuacji przed wyborami akurat Lewica cieszy się zatem względny spokojem.

Chociaż patrząc z perspektywy mijającej kadencji, ogólna konkluzja powinna być raczej gorzka. Przynajmniej jeśli pamięta się chępliwe deklaracje towarzyszące jej powrotowi do Sejmu cztery lata temu. Mówiono wtedy po lewej stronie, że to dopiero początek drogi, która wiedzie do unieważnienia polaryzacji PO–PiS, wielkiego przesunięcia biegunów, może nawet ukształtowania się nowej dominującej świadomości w oparciu o progresywne wartości. Rzeczywistość brutalnie zweryfikowała takie plany, a momentem politycznej klęski były podjęte przez Czarzastego negocjacje z premierem Morawieckim przy okazji ratyfikacji unijnego funduszu odbudowy. Po przekroczeniu świętej linii polaryzacji Lewica znalazła się pod politycznym i medialnym pręgierzem; odtąd nie żywi już mocarstwowych planów i w zasadzie akceptuje swój status, który pozwala jedynie trochę się odróżnić od liberalnego sąsiada, ale bez napinania muskułów, podkreślenia regulatora głośności, a już zwłaszcza bez przesuwania płotów. Stąd taka właśnie jest ta kampania, ugodowa i minimalistyczna. Ale, przy skromnych celach, całkiem skuteczna.

RAFAŁ KALUKIN



WYBORY 2023

WYBORY 2023

WYBORY 2023

WYBORY 2023

WYBORY 2023

POSŁUCHAJ,
ABY WYBRAĆ

Maciej Kluczka

GABINET CIENI

Nowe odcinki codziennie na tokfm.pl/wybory
lub w aplikacji mobilnej TOK FM



Wojny bez końca

Adam Daniel Rotfeld o trudnych sprawach polsko-rosyjskich, raszyzmie i naszyzmie oraz o tym, że świat wszedł w epokę ciągłego konfliktu.

ADAM KRZEMIŃSKI: – Co za czasy! Współautorem nowego kłamiwego podręcznika historii Rosji jest ten sam akademik Anatolij Torkunow, z którym pan w 2010 r. wydał znakomitą dokumentację polsko-rosyjskich „spraw trudnych” z lat 1918–2008.

ADAM DANIEL ROTFELD: – Ten podręcznik jest zbiorem bezwartościowych, zakłamanych i szkodliwych tez o wielkim imperium stworzonym przez carów i Stalina, zniszczonym przez chaos pierestrojki Gorbaczowa i knowania Zachodu, który w 2014 r. spowodował faszystowski przewrót na Ukrainie. Podręcznik edytorski sprawia wrażenie nowoczesnej publikacji, która ma zachęcać nauczycieli i uczniów do krytycznej analizy dokumentów i zrozumienia przeciwstawnych argumentacji...

...ale niemal wyłącznie na poziomie wielkich mocarstw.

Uczeń ma przedstawić argumenty strony radzieckiej, a następnie amerykańskiej. Argumentacji sąsiadów: fińskiej, norweskiej, litewskiej, polskiej czy dziś ukraińskiej, tu nie ma.

Bo jego celem nie jest nauczanie partnerstwa z sąsiadami, lecz propagowanie mocarstwowości jako fundamentu rosyjskiej tożsamości. Ten podręcznik nie uczy zasad demokracji przedstawicielskiej, dialogu społecznego, równorzędnego partnerstwa z sąsiadami. Stąd negatywna ocena pierestrojki Gorbaczowa, po części także reform Jelcyna oraz czysto propagandowy wykład agresywnej fazy putinizmu – aneksji Krymu i zbrojnej secesji na wschodzie Ukrainy w 2014 r. – po „specjalną operację wojskową” z lutego 2022 r., czyli jawny i pełnowymiarowy najazd na Ukrainę. Oczywiście złamanie prawa międzynarodowego jest przedstawione jako przywracanie „sprawiedliwości dziejowej”...

...to znaczy odzyskiwania terytoriów podbitych przez imperium Romanowych, a potem Stalina. Każdy rosyjski podbój jest prezentowany jako słuszny i sprawiedliwy.

A każdy prozachodni wybór sąsiadów był zdradą lub skutkiem knowań Polaków, Szwedów, Francuzów, Niemców, a dziś Amerykanów. Podręcznik, o którym mówimy, zaczyna się od 1945 r., od Jałty i Poczdamu. Za wybuch zimnej wojny obwinia wyłącznie amerykańską ekspansję w Europie. A narzucenie przez Stalina środkowo-wschodniej Europie rządów komunistycznych jest nazywane „rewolucją ludowo-demokratyczną”. Autorzy – na dowód

Prof. **Adam Daniel Rotfeld** – były dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI), były minister spraw zagranicznych w rządzie Marka Belki. Współprzewodniczący Polsko-Rosyjskiej Grupy ds. Trudnych, uczestnik grup roboczych ONZ, NATO, OBWE i debat w sprawie przyszłości międzynarodowego systemu bezpieczeństwa. Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim na wydziale Artes Liberales. Ostatnia publikacja: „Wojna o wartości a porządek międzynarodowy” (UMCS-Lublin 2023).

agresji Zachodu – wspominają tajne studium zlecone przez Churchill'a w kwietniu 1945 r., mające przeanalizować szanse militarnego wyzwolenia Polski spod rządów komunistycznych, ale odrzucone jako nie do pomyślenia. A potem prezentują fałszywą wykładnię słynnego „długiego telegramu” George’a Kennana z 1946 r. jako zachętę do agresji przeciwko ZSRR. Podczas gdy amerykański dyplomata namawiał do „powstrzymania” komunizmu poprzez pomoc gospodarczą oraz amerykańską obecność militarną w zachodniej Europie. Z kolei plan Marshalla interpretują jako przejaw agresji, przemilczając fakt, że rządy Czechosłowacji i Polski były skłonne przyjąć pomoc amerykańską. To Stalin wymusił na nich odwrócenie się od Zachodu.

Dalej czytamy, że relacje ZSRR z państwami bloku były równoprawne i nie ma nic o „doktrynie Breżniewa” – ograniczonej suwerenności państw Układu Warszawskiego. Podręcznik wspomina gdański strajk w 1980 r. i popularność Lecha Wałęsy, ale akcentuje, że Solidarność była wspierana przez zachodnie tajne służby. W kalendarium odnotowano wybór Benedykta XVI i Franciszka na papieży, ale Jana Pawła II pominięto...

W sprawach polsko-rosyjskich jest więcej luk i zafałszowań. Prawda jest taka, że na postrzeganie Polski przez Rosjan wciąż wpływa fakt, że ponad połowa dawnej Rzeczypospolitej przez 123 lata należała do Rosji, a Rosjanie carskie nabytki terytorialne przywykli uważać za swoje.

Kiedyś mawiano: kurica nie ptica, Polska nie zagranica, dziś w tym zwrocie Polskę zastępuje Ukraina.

Nie bez znaczenia jest też zderzenie mentalności. Negatywne cechy przypisywane narodom Zachodu nasilają się, gdy mowa o Polsce. W rosyjskiej propagandzie Polacy to naród odwiecznie wrogi, podstępny, a przy tym cyniczny, zakłamany, dwulicowy. A równocześnie nie miała część rosyjskiej inteligencji ceniła polską kulturę, nie tylko ze względu na bliskość językową.

Obie wojny światowe oraz sowieckie zbrodnie i represje pozostawiły głębokie rany i urazy w pamięci kilku pokoleń Polaków. Natomiast „nieudana” – jak pisze się dziś w Rosji – wojna z Polską w 1920 r. pozostawiła w pamięci historycznej Rosjan piętno upokorzenia. Ma ono – w rosyjskich komentarzach – usprawiedliwiać swoisty odwet, którym były zarówno tajne protokoły paktu Ribbentrop-Mołotow i zawłaszczenie w 1939 r. niemal połowy terytorium II RP, jak i zbrodnia katyńska. Potrzebą rewanżu uzasadnia się próbę ponownego wymazania Polski z mapy Europy, którego drukowanym świadectwem był wydany w Leningradzie w 1940 r. kieszonkowy atlas świata jako pomoc do nauczania historii w szkołach...

...likwidacja sąsiedniego państwa znów w imię „sprawiedliwości dziejowej”. Jak zatem przebiegały prace w Grupie do spraw Trudnych?

W grudniu 2007 r. zadzwonił do mnie minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, pytając, czy nie podjąłbym się ożywienia tej grupy, istniejącej od 2001 r., ale uśpionej. Odpowiedziałem, że pomyślę i przedstawię zarys składu uczestników i metodologię pracy. Uważałem, że autorom przyszłego raportu należy zapewnić pełną niezależność, że grupa nie może się składać z urzędników, lecz z cieszących się autorytetem historyków, prawników, socjologów, politologów czy ekonomistów. Rozdział raportu nie powinny być pisane wspólnie przez polskich i rosyjskich autorów, bo to wymagałoby negocjacji, prowadziłyby do niekończących się sporów o sformułowania, których ofiarą byłaby prawda historyczna.

Torkunowa poznałem nieco później. Wymienił kilka nazwisk ewentualnych rosyjskich uczestników – amerykańscy, sinolodzy, sam Torkunow jest ekspertem do spraw koreańskich. Gdy

zapytał, czy znam może odpowiednich specjalistów, wymieniałem kilka nazwisk. Po tygodniu powiadomił mnie, że wszyscy zostali włączeni do naszej grupy. To był swoisty gest dobrej woli. W rezultacie większość rosyjskich uczestników potwierdziła swoje kwalifikacje naukowe i moralne. Bez nich nie byłibyśmy w stanie dotrzeć do niepodważalnych dokumentów.

Czy opierał się pan na doświadczeniach polsko-niemieckiej komisji podręcznikowej, mającej od lat 70. ogromny dorobek i metodologię?

Oczywiście. Ale rozmach i głębia obu przedsięwzięć były nieporównywalne. Z historykami i geografami z Republiki Federalnej rozmowy były prowadzone w sprawdzonych już ramach instytucjonalnych, na wzór komisji niemiecko-francuskiej. Myśmy wytyczyli sobie zadanie skromniejsze i bardziej ograniczone ramy: określiliśmy 15 trudnych problemów z lat 1918–2008, naświetlonych – podobnie jak w komisji polsko-niemieckiej – osobno przez polskich i rosyjskich autorów. Prawda historyczna z zasady nie powinna być przedmiotem rokowań.

Więcej gorących debat było między samymi Rosjanami, ale z naszym udziałem. „Liberałowie” bronili prawdy historycznej, naukowej rzetelności i zwykłej przyzwoitości. Ale byli też tacy, którzy uważali, że reprezentują wielkie mocarstwo i niezależnie od tego, jak było w przeszłości, są zobowiązani bronić dobrego imienia imperium, którego zbrodniczej polityki nie kwestionowali w prywatnych rozmowach.

Pamiętam, jak w trakcie polsko-niemiecko-rosyjskiego sympozjum w Twerze wyższy przedstawiciel rosyjskiej Cerkwi zgasił nas, mówiąc, że doświadczenie polsko-niemieckiego pojednania jest dla dialogu Rosjan z sąsiadami nieprzydatne, bo wprawdzie Stalin był ludobójcą, ale Rosja jest święta i przed nikim nie ma się za co kajać.

W filmie Barei padają słowa: „Jest prawda czasu i prawda ekranu”. Z dzisiejszej perspektywy wygląda na to, że Putin dialog z Polską traktował jako element destabilizacji Zachodu. 14 lipca 2009 r. na raucie w ambasadzie francuskiej radca ambasady rosyjskiej w rozmowie ze mną wyraził opinię, że nasza grupa nie ma sensu, bo te problemy można by szybko rozwiązać, gdyby Polska podjęła taką współpracę z Rosją jak Węgry. Odpowiedziałem, że do głowy by mi nie przyszło pouczać na przyjęciu w Moskwie Rosjan, że taka czy inna grupa jest bez sensu.

Był to dla mnie wyraźny sygnał, że Rosja nie uznaje państw „bliskiej zagranicy” za w pełni suwerenne, wciąż uważając je – jak kiedyś Rzymianie swoje pogranicze – za państwa-limotrofy. Pseudoreligijna i pseudohistoryczna doktryna Moskwy jako „trzeciego Rzymu” wciąż jest filarem narracji historycznej Władimira Miedwiediewa, putinowskiego ideologa, byłego ministra kultury...

...też współautora nowego podręcznika.

A oto inny przykład rosyjskiej „prawdy czasu”. W marcu 2014 r. szef Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji wysłał do prezydenta RP, premiera, marszałków Sejmu i Senatu oraz ministra spraw zagranicznych list, którego kopię otrzymałem. Władimir Żyrynowski otwartym tekstem składał Polsce ofertę odzyskania pięciu przedwojennych województw (wołyńskiego, rówieńskiego, lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego), z uzasadnieniem, że przecież są to „odwieczne polskie ziemie”. Przepuszczam, że nigdy nie wysłałby tego pisma bez aprobaty prezydenta Rosji.

A potem grzmiał w „Wieczorze z Sołowjowem”, że Polska dąży do rozbioru Ukrainy.

Polska tamtą prowokację zignorowała. Ale ma ona swój ciąg dalszy. Latem 2023 r. Putin aluzyjnie przypomniał, że po drugiej wojnie światowej w zamian za utratę wschodnich województw Stalin „podał Polsce” ziemie zachodnie i północne. ►



Europa Środkowa według kieszonkowego atlasu świata wydanego przez ZSRR w 1940 r.

► **Kreml granicą na Odrze i Nysie grał także w czasach ZSRR. Zawieszenie jej uznania przez Bonn było Moskwie na rękę, bo przywiązywało rząd warszawski do Kremla jako gwaranta.**

Dlatego Gomułka w maju 1969 r. publicznie wystąpił z propozycją, by „bez żadnych warunków wstępnych” podjąć rozmowy z rządem Willy’ego Brandta. Uznał, że ten socjaldemokrata i antyfaszysta jest pierwszym kanclerzem w powojennych Niemczech, któremu może zaufać. Kilka lat później Józef Cyrankiewicz opowiadał mi, że Gomułka nie konsultował swej inicjatywy z Breżniewem. A na sugestię premiera, by mimo wszystko poinformować Rosjan, Gomułka miał gniewnie zareagować: „Moskwa także nie konsultowała się z nami, podejmując tajne rozmowy z Egonem Bahrem. Ale jeśli chcesz, to możesz im mój tekst wysłać”.

Fakt, że powojenne granice Brandt uznał najpierw w traktacie moskiewskim, a dopiero potem w warszawskim, demonstrował ówczesny „porządek dziobania”. Klucz był w Moskwie...

Ale też w Moskwie rozumiano, że Gomułka chce „poluzować smycz”, czyli zależność od ZSRR jako jedyne gwaranta granicy z Niemcami. Nie wierzył w trwałość NRD. W kwestii granicy – kluczowej dla polskiej racji stanu – wszystkie obozy polityczne były zgodne. Gdy w 1990 r. w czasie konferencji „dwa plus cztery” strona radziecka zadeklarowała gotowość gwarancji nienaruszalności polskich granic, minister Skubiszewski odparł, że chcemy z Niemcami normalnej granicy i żadne gwarancje nie są nam potrzebne. Potem w Sejmie to doprecyzował: kto daje gwarancje, ten spodziewa się wzajemności. Nic za darmo. A my chcemy niezależności, niepodległości i suwerenności. Znamiennie: Gomułka, Jaruzelski, Wałęsa, Kwaśniewski, Lech Kaczyński, Komorowski. Każdy z innej parafii, ale dla nich wszystkich ważna była ciągłość interesów państwa i jego bezpieczeństwa.

W takim razie jak ocenić antyniemiecką propagandę partii rządzącej: jej roszczeniowość, żerowanie na historycznych traumach i sztucznie podsycanych fobiach, pouczenie, wyśmiewanie, odpychanie?

To bardzo niebezpieczna, irracjonalna gra na pozyskanie w kraju poparcia ludzi niezdolnych do dialogu z kimkolwiek. A przecież trzeba mieć politykę nie tylko „na dobrą pogodę”, również na burze z piorunami, na zmiany klimatyczne w każdym rozumieniu tego słowa. Dotychczasowa dobra koniunktura dla Polski się kończy. Wojna w Ukrainie wchodzi w tę fazę, w której obok pomocy militarnej coraz bardziej liczy się nasza obecność i respekt w międzynarodowych gremiach i środkach przekazu. Polska powinna prowadzić politykę, która uczyni nas państwem niezbędnym w Europie i na świecie.

W 1939 r. Polska dla Stalina i Hitlera była zbędna. Okazało się jednak, że jest – jak mówił Norman Davies – sercem Europy.

Czego dowodem może być fakt, że w Teheranie, Jałcie i Poczdamie kwestii polskiej poświęcono najwięcej czasu. Polska w XVIII w. została uznana za państwo zbędne i rozdrapana przez zaborców. Jednak w korzystnej koniunkturze 1918 r. się odrodziła. Aby była niezbędna na dziś i jutro, nie wystarczą werbalne deklaracje. Miarą niezbędności nie są pretensje i pocuzania, ale pozyskanie sąsiadów i partnerów, przekonanie ich, że dobre relacje z Polską są dla nich, dla regionu, dla sojuszników i wszystkich partnerów w UE wartością dodaną. Tylko taka strategia zapobiegnie marginalizacji i osamotnieniu państwa w czasach trudnych.

Jakie warianty dla tej części Europy bierze pod uwagę pan – były minister spraw zagranicznych, negocjator międzynarodowy i człowiek do spraw trudnych, doświadczony własną biografią?

Cóż, w historii szczeliny możliwości i zagrożeń otwierają się i zamykają. Sądzę podobnie jak w „Foreign Affairs” napisał Andriej Kolesnikow, „zagraniczny agent” z Carnegie Center, że ewentualna kolejna odwilż w Rosji, jak po śmierci Stalina i gerontokracji Breżniewa, Andropowa i Czernienki, nie doprowadzi do przeorania mentalności „głębokiej Rosji”. W grudniu 2000 r. zapytałem byłego premiera Jewgienija Primakowa, dlaczego władze Rosji nie podejmą fundamentalnej decyzji, która skierowałaby państwo na drogę demokratycznego rozwoju. Wspólnota demokratycznych państw z pewnością by to doceniła, udzielając Rosji wsparcia. Odpowiedział, że w Rosji nie ma tradycji demokracji. Chłopi przez wieki byli własnością ziemian. Nie znali własności prywatnej, a jedynie wspólnotę obszczyzny.

Nawet bojarzy nie byli pewni swego, bo car w każdej chwili mógł im wszystko odebrać, jak Putin Chodorkowskiemu.

Dlatego obecny konflikt Rosji z Ukrainą to w rozumieniu milionów Rosjan kwestia egzystencjalna. Gdyby w Ukrainie zwyciężyła opcja prozachodnia, europejska, to miliony Rosjan zadałyby sobie pytanie: skoro to się sprawdza w Ukrainie, to dlaczego nie w Rosji? Mamy przecież nieporównanie większe zasoby, nie tylko surowcowe, także kapitał ludzki, osiągnięcia naukowe. „Foreign Affairs” poddał też pod rozwagę przydatność modelu koreańskiego dla Ukrainy. W 1945 r. Korea została podzielona na dwie strefy wpływów, które następnie zabetonowała wojna koreańska. Południowa znalazła się praktycznie pod amerykańską kuratelą. Demokratyczny sposób sprawowania władzy został jej narzucony. Dziś jest to jedno z najbardziej dynamicznych państw świata, przykład udanej modernizacji i demokracji. Natomiast totalitarna północna Korea jest jednym wielkim obozem koncentracyjnym. Bliższym przykładem jest Finlandia – do 1917 r. zapomniana przez Boga i ludzi prowincja imperium. Gdyby Ukraina nie stała się obiektem napaści rosyjskiej, to Rosjanie po jakimś czasie zapytaliby: dlaczego Ukraina po 10 latach jest nieporównanie bogatsza niż my? W tym konflikcie wartości upatruję główny motyw i powód rosyjskiego najazdu na Ukrainę. Rosyjskie elity uznały, że Ukraina to wyzwanie.

Kłamstwo powtarzane codziennie miliony razy staje się fałszywą prawdą. Rosyjska propaganda uznaje Ukrainę za przeżartą przez „bänderowski faszyzm” i uznaje, że należy ją zniszczyć, a jeśli to się nie uda, to przynajmniej tak okaleczyć, by nie była w stanie odnieść cywilizacyjnego sukcesu, który byłby atrakcyjnym przykładem i wyzwaniem dla Rosji. Taka Ukraina nie byłaby zagrożeniem dla rosyjskiej tożsamości, jak ją pojmują elity polityczne dzisiejszej Rosji. Są one zainteresowane nie tyle rozwojem kraju, co przetrwaniem i zachowaniem władzy.

Kissinger twierdzi, że kryzys elit to niestety problem światowy.

I ma rację. To nie tylko kwestia wykształcenia. Przywództwa nie można nikogo nauczyć. Są to cechy przyrodzone, łączące charyzmę, zasady moralnej odpowiedzialności za podejmowane decyzje i zdolności przeciwstawiania się populizmowi. Były takie postaci w historii najnowszej Europy i świata, jak Roosevelt i Churchill, de Gaulle i de Gasperi, Harmel i Brandt. Myśliciele, ale zarazem ludzie honoru, którzy byli gotowi położyć na szali swój polityczny los. Na krótko przed śmiercią Madeleine Albright napisała ważną książkę „Faszyzm. Ostrzeżenie”. Nie ostrzegała przed faszyzmem w Niemczech czy w Rosji. Jej troską było zapobieżenie faszyzmowi w Stanach Zjednoczonych. Miała odwagę nazywania rzeczy po imieniu, a nie szukania prostych odpowiedzi na trudne pytania. Nie była populistką. Nie można wykluczyć, że także w świecie zachodnim może dojść do takich przemian wewnętrznych, które będą sprzyjać pojawieniu się rządów już nie tylko populistycznych i autokratycznych, ale nowej odmiany rządów parafaszystowskich. To może być coś w rodzaju rosyjskiego „rasyzmu”, a u nas postendecykowego „naszyzmu”.

A Ukraina?

Trudno mówić krytycznie o kraju i społeczeństwie walczącym z najeźdźcą o przetrwanie. Ta wojna nie zakończy się szybko. W publicystyce światowej toczą się spory, czy możliwy jest wariant „ziemia za bezpieczeństwo” – oddanie przez Ukrainę części okupowanych terytoriów w zamian za wejście do NATO i Unii. Obie strony wykluczają kompromis. Kreml, dokonując formalnej inkorporacji okupowanych terytoriów, postawił na wojnę na wyniszczenie. Dla Kijowa nie do przyjęcia są negocjacje, których wynikiem byłoby okrojenie terytorium. Moskwa ma nadzieję na zmianę władzy w USA. Ukraina – na odbicie okupowanych terytoriów.

Zatem wojna nieustająca? To byłby absurd.

Po drugiej wojnie światowej przez moment uważano, że oto zakończyła się wojna raz na zawsze kończąca epokę wojen traktowanych – za Clausewitzem – jako instrumenty polityki realizowanej innymi środkami. Blisko 10 lat temu wybitny amerykański analityk David Rothkopf opublikował dzieło o przywództwie amerykańskim w epoce strachu, w którym postawił tezę, że weszliśmy w okres wojen, które się nigdy nie kończą.

Mamy takie przykłady w świecie: podzielona od blisko 80 lat Korea, wojny indyjsko-pakistańskie o Kaszmir, konflikt bliskowschodni. Nie jest wykluczone, że wojna ukraińsko-rosyjska należy do tej właśnie kategorii konfliktów. To nie wojna o terytorium czy o zasoby naturalne. To wojna o wartości. A takie wartości, jak tożsamość, godność, sprawiedliwość i solidarność, nie są negocjowalne.

ROZMAWIAŁ ADAM KRZEMIŃSKI

Obszerniejsza wersja wywiadu na www.polityka.pl

REKLAMA

NIERUCHOMOŚCI Z POTENCJAŁEM

Likwidatorzy FOBOS INVEST sp. z o.o. w likwidacji z siedzibą w Sztumie, ul. Żeromskiego 6, 82-400 Sztum

ogłaszają:

ustny przetarg nieograniczony na sprzedaż następujących nieruchomości:

A – Komplex nieruchomości zabudowanych budynkami produkcyjno-magazynowymi umożliwiającymi wysokie składowanie, z zapleczem biurowo-socjalnym; ogrodzony, o łącznej powierzchni użytkowej **3.521,10 m²**, usytuowany na działkach gruntu o łącznej powierzchni **10.206 m²** w miejscowości Sztum, ul. Żeromskiego 6;

cena wywoławcza wynosi **6.579.000 zł** (sześć milionów pięćset siedemdziesiąt dziewięć tysięcy złotych), kwota wadium wynosi **300.000 zł** (trzysta tysięcy złotych), postąpienie będzie wynosiło **100.000 zł** (sto tysięcy złotych); sprzedaż jest zwolniona z podatku VAT na podstawie art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy o podatku od towarów i usług w zakresie kwoty 6.484.000,- zł, natomiast w zakresie kwoty 95.000,- zł podlega opodatkowaniu stawką podstawową.

Informujemy, że sprzedający dopuszcza możliwość poddania opodatkowaniu podatkiem od towarów i usług sprzedaży całego kompleksu nieruchomości na podstawie art. 43 ust. 10 ustawy o podatku od towarów i usług.

B – Nieruchomość gruntowa niezabudowana o powierzchni gruntu **18.549 m²** usytuowana przy ul. Żeromskiego w Sztumie;

cena wywoławcza wynosi **1.417.000 zł** (jeden milion czterysta siedemnaście tysięcy złotych), kwota wadium wynosi **100.000 zł** (sto tysięcy złotych); postąpienie będzie wynosiło **50.000 zł** (pięćdziesiąt tysięcy złotych); sprzedaż podlega w całości opodatkowaniu stawką podstawową.

Część ustna przetargu odbędzie się w dniu **19 października 2023 r.** w kancelarii notarialnej Piotra Lisa działającej pod adresem: 80-221 Gdańsk, ul. Romualda Traugutta 111

- 1) o godzinie 13:00 dla kompleksu nieruchomości zabudowanej,
- 2) o godzinie 14:00 dla nieruchomości gruntowej niezabudowanej.

Warunkiem udziału w przetargu jest wpłata wadium do dnia **17 października 2023 roku** oraz złożenie oświadczenia o zapoznaniu się i akceptacji regulaminu. Treść oświadczenia znajduje się w regulaminie, który wraz z dodatkowymi informacjami o przedmiocie przetargu znajduje się na stronie Fobos Invest sp. z o.o. w likwidacji pod linkiem: <https://fobosinvestwlikwidacji.com.pl/blog/przetargi>



Kontakt w sprawie przetargu:

jbogacz@fobosinvestwlikwidacji.com.pl, tel.: +48 504 165 934
wbuchalski@fobosinvestwlikwidacji.com.pl, tel.: +48 603 053 532

Grubszy problem

Czy nowe leki na odchudzanie, które właśnie zalewają zachodnie rynki, to największa rewolucja w medycynie od czasów antybiotyków? Jeśli tak, to może nas czekać również rewolucja społeczna.



ILUSTRACJA BASIA POSPISCHIL

Zaraz po pierwszym zastrzyku Małgorzata, od 15 lat w Chicago, czuła się dziwnie. Jakby dopadła ją choroba lokomocyjna. Kilkakrotnie wymiotowała po tym, jak z przyzwyczajenia zjadła dużo i szybko. Wszystko to minęło, poza sporadyczną biegunką. – *Nauczyłam się unikać pewnych potraw, szczególnie tych tłustych, pizzy – mówi. – Ale nie żałuję, o nie! Te zastrzyki zmieniły moje życie.*

Owe zastrzyki, czyli lek o nazwie Wegovy, sprawiły, że Małgorzata (43 lata, 165 cm wzrostu) w ciągu czterech miesięcy kuracji schudła z 73 do 64 kg. Porównywalne wyniki uzyskali niedawno Elon Musk i Jeremy Clarkson. Kim Kardashian kłuta się ponoć Wegovy, aby zmieścić się w sukienkę po Marilyn Monroe. Magazynowi „Vouge” pochwaliła się, że schudła ponad 7 kg w trzy tygodnie. A podczas ostatniej uroczystości wręczenia Oscarów gospodarz tej imprezy, znany komik i prezenter Jimmy Kimmel, rozejrzał się po sali i powiedział: „Wszyscy wyglądają tak świetnie. Gdy patrzę na salę, zastanawiam się, czy Ozempic jest również dla mnie?”.

A może dla nas wszystkich? Wegovy i bratni Ozempic analitycy szwajcarskiego banku UBS nazwali już „najważniejszymi lekami w historii”. Oba powstały z myślą o leczeniu cukrzycy typu 2, ponieważ bezpiecznie obniżają poziom glukozy, nie wywołując groźnych niedocukrzeń. Ale pomagają też w redukcji wagi. Zawarta w nich substancja czynna jest analogiem hormonu fizjologicznie produkowanym przez jelito cienkie podczas jedzenia. I gdy sztucznie podnosimy jego poziom, dochodzi do tak silnej stymulacji ośrodka łaknienia, że pacjent w połowie posiłku odczuwa sytość i przestaje odczuwać głód. W efekcie cotygodniowe zastrzyki prowadzą do utraty nawet kilkunastu kilogramów w ciągu sześciu miesięcy.

Czy więc przemysł farmaceutyczny, nieco przypadkiem, odnalazł właśnie swój Święty Graal? Czy – jak twierdzi Walter Willett, profesor dietetyki z Uniwersytetu Harvarda – Wegovy i Ozempic wywołają rewolucję porównywalną z wynalezieniem prezerwatywy, która umożliwi przyjemność (w tym wypadku z jedzenia) pozbawioną konsekwencji? Już dziś wielu diabetologów i kardiologów jest przekonanych, że mamy do czynienia z największą rewolucją w historii medycyny od wynalezienia antybiotyków.

1 Przez większą część historii ludzkości duży obwód w pasie był oznaką zdrowia i dobrobytu, ale dziś otyłość zagraża zdrowiu mieszkańców – jak na ironię – najbogatszych krajów świata. W latach 70. słynna była historia mieszkańców Nauru, wyspy na zachodnim Pacyfiku. Otóż jej rodowici mieszkańcy szybko się wzbogacili dzięki gigantycznym złożom fosforytów, przez kilka lat wyspa miała nawet najwyższe PKB per capita na świecie. Opiływający w zbytki wyspiarze przestali pracować fizycznie, zaczęli dużo jeść i pić, a potem zapadać na cukrzycę i wcześniej umierać. Można to uznać za metaforę tego, co współcześnie dzieje się na bogatym Zachodzie.

Uśredniając lokalne statystyki, ponad połowa mieszkańców Zachodu spełnia kryteria klinicznej definicji choroby otyłościowej. Według amerykańskiego Narodowego Instytutu Zdrowia 75 proc. (!) dorosłych obywateli USA ma nadwagę lub jest otyłych. Z kolei najszybciej na świecie tyją – dane Światowej Organizacji Zdrowia – bogaci Arabowie znad Zatoki Perskiej. W Emiratach już 31 proc. mężczyzn i 44 proc. kobiet jest otyłych, w Katarze – odpowiednio 36 i 46 proc. A biorąc rzecz globalnie, według organizacji pozarządowej World Obesity Federation w 2023 r. 1,1 mld ludzi na świecie (ok. 14 proc.) można już uznać za otyłych.

Kolejne 1,6 mld (24 proc.) ma nadwagę. W prognozie w 2035 r. otyły będzie co drugi człowiek na Ziemi.

To oczywiście ogromny problem zdrowotny. – *Otyłość i nadwaga sprzyjają rozwojowi ponad dwustu chorób – mówi prof. Piotr Dobrowolski z Narodowego Instytutu Kardiologii w Aninie. – Za ich sprawą trzy główne czynniki ryzyka sercowo-naczyniowego, a więc nadciśnienie, zaburzenia gospodarki lipidowej oraz cukrzyca, występują zdecydowanie częściej, narażając tych chorych na zawały serca i udary mózgu.*

Farmakologiczne sposoby leczenia nadwagi były jednak dotąd pasmem porażek. Żaden nie był wystarczająco skuteczny, a jeśli nawet nieznacznie obniżał wagę, to zazwyczaj jego stosowanie miało niebezpieczne skutki uboczne. Meridia, Isolipan, Fen/phen, Belviq, Acomplia – kto dziś jeszcze pamięta tę listę farmaceutycznych odkryć, które wzbudzały ogromne nadzieje? Miały być wygodniejsze od lewatyw, bezpieczniejsze niż arsenik albo rekomendowana jeszcze w latach 70. XX w. amfetamina. A jednak zniknęły z powodu działań niepożądanych, gdy wychodziły na jaw ich powiązania z chorobami serca lub nowotworami.

Chwilową nadzieję w latach 90. dał dr Jeffrey Friedman z nowojorskiego Uniwersytetu Rockefellera, który zidentyfikował hormon – leptynę – kontrolujący poziom tłuszczu w organizmie, pozbawiona go zupełnie mysz jadła bez końca i wkrótce przez otyłość nie mogła już chodzić. Okazało się, że regulując ten hormon, można kontrolować wagę. Ale ta prawidłowość, jak się wkrótce okazało, dotyczyła głównie myszy, nie ludzi.

2 Trudno się zatem dziwić, że kariera Wegovy i Ozempiku w ostatnich miesiącach tak gwałtownie przyspieszyła. I to zanim jeszcze zakończono badania umożliwiające rozszerzenie wskazań z cukrzycy na leczenie otyłości. Co bardziej pomysłowi zaczęli wymuszać na lekarzach tzw. recepty „off label”, na których można wypisać specyfiki do stosowania we wskazaniach, które nie są oficjalnie zatwierdzone w ulotce i tzw. charakterystyce produktu.

Tak jest np. w Polsce, gdzie Ozempic wciąż jest zarejestrowany wyłącznie do leczenia cukrzycy typu 2, a jego odmiana z licencją do leczenia choroby otyłościowej, czyli właśnie Wegovy, do naszych aptek powinna trafić w przyszłym roku. Co nie znaczy, że leku nie można dziś na swój użytek ściągnąć z USA, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Danii i Norwegii, gdzie jest już w sprzedaży.

Niestety, od kiedy Wegovy stał się ulubionym przez celebrytów młotem na otyłość, dla amatorów modnego odchudzania nie liczy się ani jego cena (od 400 do 900 zł za miesięczną kurację), ani działania niepożądane. W dodatku taki popyt już ogranicza dostępność leku dla tych, którzy dużo bardziej go potrzebują. – *To niebezpieczne i nieetyczne, jeśli leku brakuje dla chorych na cukrzycę i otyłość, bo wykupują go ci, którzy chcą mieć talię osy – ostrzega prof. Dobrowolski.*

W odpowiedzi na gwałtowny wzrost popytu na początku roku Novo Nordisk, duński producent Wegovy i Ozempiku, zapowiedział ograniczenie eksportu do Kanady. W maju 2023 r. firma wstrzymała telewizyjne reklamy swoich leków na odchudzanie. Przy czym problemem dla Novo Nordisk nie tyle jest nawet pozyskiwanie substancji czynnej, ile wytwarzanie wstrzykiwaczy, bo mówimy tu nie o wygodnych do łykania tabletkach, lecz lekach wymagających podskórnych wstrzyknięć w brzuch.

3 Całe to szaleństwo dobrze widać właśnie z duńskiej perspektywy. W zeszłym tygodniu, krótko po wprowadzeniu Wegovy na rynek brytyjski (w USA jest od czerwca 2021 r.), Novo Nordisk była przez chwilę najwyżej wycenianą firmą w Europie, wyprzedzając francuskiego giganta LVMH, producenta dóbr luksusowych. ▶

► Samą Danię dopadło coś w rodzaju gorączki tulipanowej. Rekordowy popyt na Wegovy i Ozempic sprawił, że tylko w ciągu ostatniej dekady eksport farmaceutyczny z tego kraju podwoił się, a dziś jest główną siłą napędową wzrostu gospodarczego w Danii – wszystko to za sprawą jednej firmy. Sprzedaż Wegovy w USA w pierwszym półroczu tego roku wzrosła o 344 proc. A dochody firmy, które w 2022 r. wyniosły 23,7 mld euro, w tym roku mają być co najmniej o 30 proc. wyższe. W rezultacie kapitalizacja giełdowa firmy – ok. 301 mld euro – kilka dni temu przebiła roczne PKB Danii.

Są z tego oczywiste plusy. Gdy wszyscy w Europie się zadłużają, Duńczycy w ostatnich latach notują rekordowe nadwyżki budżetowe. Żeby kupić Wegovy od Novo Nordisk, chętni muszą najpierw kupić korony, co sprawia, że kurs duńskiej waluty od kilku tygodni szybuje w niebiosach. Efekt uboczny jest taki jak przy klasycznej gorączce tulipanowej – bardzo droga korona sprawia, że nikt nie chce kupować innych niż leki duńskich produktów eksportowych. Duńska prasa ekonomiczna jest więc pełna ostrzeżeń przed losem Finlandii, która na początku XXI w. stała się „państwem jednej firmy” – Nokii. Finom wiele lat zajęło odbudowywanie gospodarki po upadku tego telekomunikacyjnego giganta.

Na tym duńskim przykładzie dobrze widać również problemy z finansowaniem przełomowych odkryć medycznych. Ponieważ zbijanie wagi poprzez diety i ćwiczenia sprawdza się u mniejszości pacjentów, finansowanie badań w tych dziedzinach nigdy nie było priorytetem firm farmaceutycznych. Podczas gdy na badania tylko nad substancją aktywną Wegovy i Ozempiku poszły już miliardy dolarów, temat otyłości wśród dzieci, choć wywołuje społeczne emocje, nie budzi adekwatnego zainteresowania kapitału. Według Centers for Disease Control and Prevention, badających publiczną politykę zdrowotną, w latach 2015–22 wszystkie kraje UE nie wydały na ten cel nawet miliarda. Dzieje się tak dlatego, że inwestowanie w dobrze zapowiadające się leki, a szczególnie w kosztowne testy kliniczne, może przynieść rekordowe zwroty. A nowe pomysły dietetyczne po prostu nie roją.

Choć więc w ostatnich czterech dekadach problem otyłości wzrósł w zasadzie we wszystkich zachodnich społeczeństwach, naukowe zainteresowanie jego źródłami nie przyciąga inwestorów. Wielki biznes mógłby dużo stracić, gdybyśmy jedli zdrowiej i więcej się ruszali. Z drugiej strony ten sam wielki biznes widzi w badaniach nad lekami zwalczającymi otyłość obietnice krociowych zysków, możliwych do uzyskania dzięki gigantycznej bazie potencjalnych klientów.

4 Pojawienie się tak skutecznych leków powodujących spadek wagi wywołało dyskusję o tym, jak współczesne społeczeństwa postrzegają otyłych. Tu widać wyraźne zmiany. Jeszcze w XIV w. Dante Alighieri rezerwował dla nich trzeci krąg piekieł. I choć mimo upływu siedmiu wieków o otyłości wiadomo dużo więcej, chorujących na nią wciąż oskarża się o biblijne obżarstwo czy lenistwo – widoczny dowód na brak samokontroli. Wielu pytanych jest przekonanych, że otyli muszą po prostu wziąć się w garść. I że branie leków odchudzających to moralnie wątpliwe pójście na skróty.

Dochodzi tu jeszcze kwestia języka. W kontekście współczesnej otyłości i nadwagi często pojawia się termin „epidemia”, uzasadniony definicyjnie, ale specyficznie nacechowany, z pewnością nieneutralny. Bo przecież epidemię trzeba zwalczyć. I tu zaczyna się problem, bo przecież Wegovy nie leczy z otyłości. Bez wątplenia dziesiątki tysięcy – albo i więcej – ludzi straciły dzięki niemu już tony tłuszczu, ale będą musieli brać ten kosztowny lek dożywotnio albo wrócą do pierwotnej wagi (tak stało się u 97 proc. pacjentów, którzy odstawili lek) lub nawet ją przekroczą.

Z drugiej strony pada jednak argument, wsparty setkami badań klinicznych, że otyłość to choroba wywołana przez niezależne od nas czynniki. Na półkach sklepowych jest coraz więcej produktów, które z premedytacją zostały stworzone, aby jeść ich za dużo. Są tak skonstruowane, aby złamać naszą wolę, co im się coraz lepiej udaje. Zawodzi tu system, który kontroluje przepływ energii przez nasze ciało i działa podobnie jak nasz popęd seksualny czy mechanizm kontrolujący temperaturę ciała – niezależnie od naszej woli.

Dla tego systemu kluczowe znaczenie ma właśnie środowisko, w jakim funkcjonujemy, a konkretniej „jakość” przyjmowanej energii i zdolność do jej odrzucenia. W słynnym badaniu z 1990 r. przelizowano przypadek bliźniaków ze Szwecji, rozdzielonych zaraz po porodzie i adoptowanych przez dwie różne rodziny. Po latach okazało się, że ich biometryczne wskaźniki, przede wszystkim BMI, *body mass index*, są do siebie zbliżone, natomiast wyraźnie odmienne od tych odnotowanych w rodzinach, które ich przyjęły.

5 Najprostszy sposób na odchudzanie to jeść mniej i więcej ćwiczyć. Ale w XXI w. dla wielu to już nieosiągalna ścieżka. Obrona przed niezdrową konsumpcją – już od lat szkolnych – po prostu przekracza możliwości coraz większej liczby osób. Dzieci są kuszone przez automaty z batonami i napojami gazowanymi w szkołach, mają tanią czekoladę i chipsy. Dorośli nie mają łatwiej – coraz sprawniejsze dostawy żywności do domu, praca zdalna, auto zawsze pod ręką – wszystko to zapewnia niebywały komfort, ale jednocześnie sprawia, że tyjemy, przegrywając walkę z wielkim biznesem, który próbuje uzależnić swoich klientów, zrobić z nich „spożywczych narkomanów”.

Czy zatem takie leki jak Wegovy i Ozempic mogą zapoczątkować medyczną rewolucję, która uwolni nas nie tylko od własnych słabości, ale też wyzwoli ze swoistej spożywczej niewoli? – *Nie ma diety cud, żaden doraźny lek nikogo trwale nie odchudzi* – mówi prof. Magdalena Olszanecka-Glinianowicz, prezes Polskiego Towarzystwa Badań nad Otyłością. Wytwórcy tych „cudów” są jednak mądrzejsi od pacjentów i z dotychczasowych niepowodzeń wyciągnęli wnioski, by przy każdej kolejnej próbie masowego odchudzania jak najszybciej sprzedać z zyskiem jak największej nowego specyfiku, zanim przyjdzie rozczarowanie lub pojawią się powikłania, które zmuszą do wycofania go z aptek.

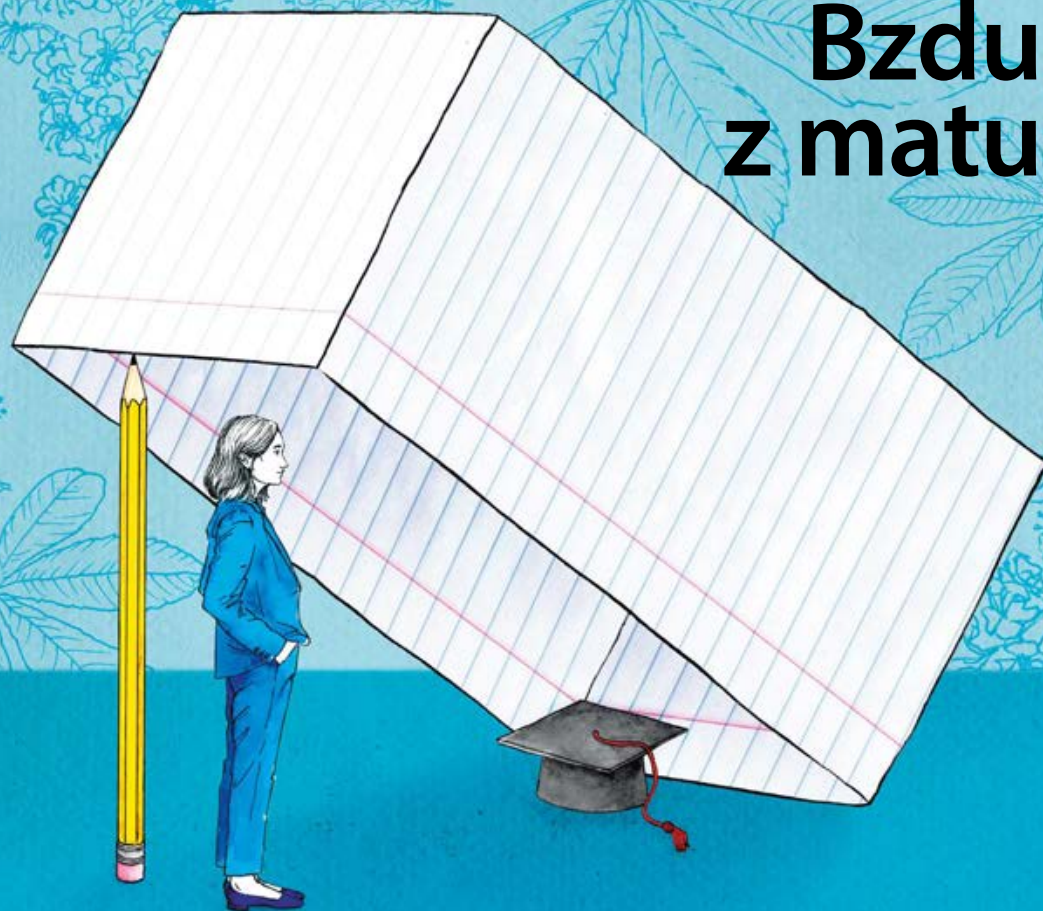
– *Mam nadzieję, że tak się nie stanie i nie gruchnie bomba, która zmiecie te nowe leki z rynku* – mówi dr hab. Mariusz Wyleźo, chirurg z Centrum Kompleksowego Leczenia Otyłości i Chirurgii Bariatrycznej w Szpitalu Czerniakowskim w Warszawie. – *Trzeba sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństw, ale nie mając dziś alternatywy i opierając się na dotychczasowych badaniach, powinniśmy je stosować, by ratować naszych chorych.*

Opcje są dwie: albo te nowe leki pomogą otyłym stracić kilogramy, co ułatwi im powrót do zdrowego stylu życia, albo będą po prostu osłoną dla rozwiąłości spożywczej i leżenia na kanapie. W tej drugiej opcji stan zdrowia zainteresowanych nie poprawi się, bo nie zmienia się ich styl życia.

A wówczas – jak wskazuje cytowany już dietetyk Walter Willett – może się pojawić kolejne zagrożenie: że Wegovy i Ozempic staną się elementem świadomej biopolityki, nakierowanej również na prewencyjne zwalczanie otyłości. Przy czym tu produktem – niekoniecznie ubocznym – może być stworzenie odrębnej klasy ludzi majątnych i szczupłych, obsesyjnie kontrolujących swoją wagę oraz promujących wzorce piękna nieosiągalne dla uboższej większości skazanej na śmieciowe jedzenie.

PAWEŁ WALEWSKI, ŁUKASZ WÓJCİK

Bzdury z matury



ILUSTRACJA ADELA PODGÓRSKA

Rozmowa z prof. Krzysztofem Konarzewskim, pedagogiem, o tym, komu i do czego jest potrzebna masowa matura.

JOANNA CIEŚLA: – Od ogłoszenia rezultatów matur minęły ponad dwa miesiące, a co rusz spływają doniesienia o kolejnych dziwnych rozstrzygnięciach odwołań od wyników, błędnych kluczach i niejasnych kryteriach oceniania. Jak się panu tego słucha?

KRZYSZTOF KONARZEWSKI: – Chwila – mi włosy stają mi dęba. Utwierdzam się w przekonaniu, że masowa matura ma sens ograniczony. Pozwala porównać wyniki między osobami, które do niej przystąpiły w tej samej sesji – przynajmniej z matematyki. Ale trudno mi pojąć, czemu może służyć egzamin, który zalicza 94,6 proc. zdających, jak w przypadku tzw. nowej matury w tym roku. Jeśli dodać do tego ujawnione błędy egzaminatorów, to trudno nie dojrzeć symptomów upadku systemu egzaminacyjnego.

Współtwórca polskiego systemu egzaminów zewnętrznych nie widzi sensu w masowej maturze...

Od lat uważam, że matura sama w sobie do niczego nie jest potrzebna. Kiedyś

nasunęło mi się skojarzenie, że to rytuał podobny do bierzmowania. Wielu ludzi go przechodzi, ale nie wie, po co. Gdy pod koniec lat 90. w gronie ekspertów związanych z ówczesną Unią Wolności obmyślaliśmy zmiany w systemie edukacji, które miałyby nastąpić po wygraniu wyborów w 1997 r., dużo uwagi poświęciliśmy dwóm egzaminom: maturze i egzaminom wstępnym na studia. Zgadaliśmy się, że oba mierzą to samo i oba mają poważne wady, więc należy je zastąpić jednym, a dobrym. Przeważył pogląd, żeby utrzymać maturę, bo to ona zamyka okres kształcenia w szkole średniej, a tym samym podnosi jej prestiż i poziom nauczania. Ja miałem wątpliwości i w następnych latach utwierdzałem się w przekonaniu, że były słuszne.

Chciał pan zlikwidować maturę, a utrzymać egzaminy wstępne?

Dokładniej: uważałem i uważam, że lepiej byłoby, aby egzamin – w podobnej formule do dzisiejszej matury, jednolity w skali kraju i przygotowany przez

zewnętrznych ekspertów – odbywał się na uczelniach.

Co by to dało?

Oszczędność pieniędzy, czasu i nerwów. Dziś maturę zdaje ok. 80 proc. uczniów liceów i techników, a na studia idzie połowa z nich. Po co drugiej połowie ten papier? Niech ją zdają ci, którzy chcą się dalej kształcić, i tylko z przedmiotów, które są potrzebne na wybranym kierunku studiów. Absolwenci, którzy po jakimś czasie nabiorą chęci na studiowanie, mogliby do egzaminu podejść w dowolnym roku. Niech prace oceniają nauczyciele akademicy, a odwołania rozpatrują uczelnie. Gdy egzaminowanych będzie o połowę mniej, pójdzie to sprawniej. No i szkoły średnie nie musiałyby zawieszać nauczania w niższych klasach na trzy majowe tygodnie. Same plusy.

Idźmy dalej. Trudno panu pojąć, co to za egzamin, który zdaje 94,6 proc. uczestników. A to akurat jasne: egzamin na zamówienie polityczne. Władza chciała przekonać

► **Polaków, że reforma Anny Zalewskiej, likwidująca gimnazja i wprowadzająca czteroletnie licea, przysłużyła się wykształceniu uczniów. A przy okazji poprawiono nastrój 19-latkom debiutującym jesienią przy urnach wyborczych.**

Decyzja o tym, jaki ma być odsetek sukcesów, zawsze jest polityczna, a jej wykonanie leży w rękach autorów testów. W ramach każdej podstawy programowej można zbudować test, którego nie zda nikt, albo taki, który zda 94,6 proc. egzaminowanych. Tylko że robi się z tego granda.

Maturę w technikach, jeszcze według starej formuły, zdało 81,5 proc. egzaminowanych.

No i minister Czarnek może teraz powiedzieć: Zobaczcie, w szkole wymyślonej za Tuska i minister edukacji Katarzyny Hall nie zdawał co piąty albo co czwarty – a u mnie jest tak dobrze!

Wyniki egzaminów, w tym matur, nie dają rzetelnej informacji o tym, ile nauczyli się egzaminowani?

Nie dają rzetelnej informacji o tym, jak sobie radzi cały system oświaty. Dają natomiast o tym, kto ze zdających w tym samym roku umie więcej, a kto mniej. Z matematyki udaje się ułożyć dobre zadania. Rozkład wyników z egzaminu ósmoklasisty z tego przedmiotu jest adekwatny do rzeczywistości.

Mimo że nie jest to tzw. krzywa Gaussa, czyli górka pokazująca, że najczęstsze są wyniki średnie, a znacznie rzadsze najlepsze i najgorsze, tylko raczej „koleina”, wskazująca, że najwięcej uczniów uzyskało ok. 20 proc. punktów, a nieco mniejsza grupa ok. 90 proc.?

Tak. Polskie dzieci uczą się matematyki albo bardzo dobrze, albo bardzo słabo. Stało się coś podobnego jak z egzaminem angielskiego, który od lat jest łatwy, ale wyniki od początku dzieliły się na poziom „miejski” i „wiejski”.

Lepiej radzą sobie miejskie dzieciaki, którym rodzice opłacają korepetycje?

To wymagałoby zbadania, ale moim zdaniem to raczej nie jest sam efekt korepetycji, tylko wymagań części szkół, które sprawiają, że te korepetycje są przydatne. Ale wiemy to tylko na podstawie wyników egzaminu ósmoklasisty. Wykresów obrazujących rozkłady wyników matur CKE nie podaje, czego nie rozumiem i nie pochwalam.

Nową maturę z polskiego zdało 98 proc. egzaminowanych...

Niebywałe!

...ale za to na poziomie rozszerzonym średni rezultat wyniósł 50 proc., najmniej od lat. W jaki sposób można

porównać wiedzę zdających ten egzamin, zważywszy na to, ile spłynęło medialnych doniesień o różnych błędach przy sprawdzaniu?

Błędy ujawnione przy sprawdzaniu matur należą do różnych kategorii. Sprawdzenie testu niewłaściwym kluczem, co wzbudziło gorące emocje, ma dotkliwe konsekwencje dla ucznia, ale uznałbym to za wypadek przy pracy. W tym roku liczba egzaminowanych była ogromna. Ponad pół miliona ósmoklasistów, ćwierć miliona maturzystów – przy tej skali tu i ówdzie coś musi się rozjechać.

Ta kumulacja to też skutek decyzji politycznych.

To nie podlega dyskusji. Ale chcę się trzymać samego systemu egzaminów. Rozpatrywanie odwołań trwało za długo, utrudniając rekrutację do szkół średnich i na studia. Jednak mimo wszystko sytuacja zmienia się na lepsze. Przejawem tego jest możliwość zwracania się – po odrzuceniu odwołania przez Okręgową Komisję Egzaminacyjną – do kolejnej instancji, Kolegium Arbitrażu Egzaminacyjnego, której początkowo nie było. Kilka lat temu w trakcie wglądu do pracy egzaminacyjnej nie można jej było nawet fotografować. No i jeśli spojrzeć na statystyki: na 250 tys. maturzystów 41,6 tys. wniosków o wgląd do prac, 12 tys. wniosków o weryfikację sumy punktów i 2,6 tys. zmienionych świadectw maturalnych – to nie są wielkie proporcje. Do 24 sierpnia br. do kolegium arbitrażu zgłoszono zastrzeżenia do oceny 668 zadań, z czego uwzględniono zaledwie 16.

Nie uspokajają mnie te liczby. Procedury odwołań wciąż są nieprzyjemne, wniosek o weryfikację oceny trzeba złożyć w dwa dni po obejrzeniu pracy. Do tego wysłuchałam co najmniej kilkunastu opowieści o tym, że w wyniku odwołania zdającym przyznano niesłusznie odjęte punkty, ale znalaziono inne błędy, tak że ostatecznie świadectwo zostało takie, jakie było. Zastanawiam się, jaka to część z tych 8,5 tys. niezmienionych prac.



Prof. dr hab. **Krzysztof Konarzewski** – naukowiec, wykładowca, związany m.in. z PAN, UW i Wszechnicą Świętokrzyską, szef licznych projektów edukacyjnych i badawczych, były dyrektor Centralnej Komisji Egzaminacyjnej.

Czy to znaczy, że przy ich sprawdzaniu pomyłono się aż dwa razy?

Raczej widziałbym w tym małą złośliwość, „żeby wyszło na nasze”. Bardziej ciekawi mnie praca arbitrów analizujących głośną sprawę maturzystki z Lublina.

Chodzi o sytuację opisaną przez polonistę Pawła Łęckiego – osoby, która pisząc pracę na poziomie podstawowym na temat „Człowiek – istota pełna sprzeczności”, powołała się na „Treny” Jana Kochanowskiego, podczas gdy w poleceniu zawarto zastrzeżenie, że należy się powołać na utwór epicki lub dramatyczny. Jednocześnie „Treny” były na liście lektur dołączonej do arkusza egzaminacyjnego, a dziełeczyna oprócz tego odwołała się do „Graniczy” Zofii Nałkowskiej. Nie zdała matury, ale już po napisaniu poprawki dowiedziała się, że komisja arbitrażowa jednak oceniła jej pracę na 72 proc. i zaliczyła egzamin.

No właśnie – kolegium uznało, że „Treny” można zaliczyć jako lekturę obowiązkową, bo podobno mają cechy utworu dramatycznego. Uważam to za decyzję dżwaczoną, ale prawdopodobnie to gremium nie mogło napisać po prostu: „Polecenie ułożono niemądrze i w sposób mylący zdających”, dlatego uciekło się do uników. A to, że dobrą pracę – na temat, logiczną, spójną, dobrze uargumentowaną – od początku należało uznać, jest dla mnie oczywiste.

Cały egzamin z polskiego jest słusznie krytykowany. Nie do przyjęcia jest uznawanie za błąd sztyku przestawnego, bo egzaminatorowi „źle to brzmi”. W wydanictwach nad takimi wątpliwościami pracuje się całymi dniami. Tu mamy teksty pierwszej redakcji, które w kilkadziesiąt minut tworzą nastolatki. Przez lata mówiłem moim współpracownikom polonistom, że jeśli chcą oceniać poprawność językową, powinni dodać do matury dyktando albo jakieś ćwiczenia stylistyczne, a nie rozliczać wypracowania pisane na gorąco z tego, że w sąsiadujących zdaniach powtarza się ten sam czasownik. Ale dzieje się tak dlatego, że egzaminatorzy są dobierani w sposób przypadkowy, powierzchownie szkoleni i źle nadzorowani.

Zdarza się też, że „idą na ilość”.

Ze względu na niskie stawki – niecałe 50 zł brutto za jedną pracę – sprawdzają ich jak najczęściej, siedząc nad nimi np. od godz. 9 do północy.

Mnie się to kojarzy raczej z życiem w reżimie autorytarnym. W takich warunkach ludzie budują swoje kariery zawodowe nie na unikatowych kompetencjach, tylko na postawach: zobaczcie, jaki jestem pryncypialny! Minister i jego

ludzie mówili, że koniec z liberalizmem Platformy, podnosimy poziom, młody Polak ma być gruntownie wykształcony. To co robi egzaminator, który chce się pokazać od najlepszej strony? Ciśnie.

Problem nie leży wyłącznie po stronie egzaminatorów. „Nieuzasadnione powtórzenia” są jasno wymienione w „Zasadach oceniania rozwiązań zadań” wydanych przez CKE jako błąd językowy, jeden z licznych, za które bezdyskusyjnie traci się punkty. Swoją drogą nie wiem, czy sama nie polegåłabym na pracy na temat „Człowiek – istota pełna sprzeczności”, bo mógłby mnie najść pomysł, by napisać, że człowiek jest istotą pełną sprzeczności nie jest. Kiedyś taką argumentację pod prąd doceniają, jeśli była logiczna, spójna i przekonująca. Teraz z kryteriów wynika jasno: kto napisze, że człowiek nie jest istotą pełną sprzeczności, nie może dostać maksimum punktów.

Ja w ogóle nie pisałbym takiej pracy, bo co to za temat? Czy ktoś z pani znanych zastanawia się przy grillu nad pytaniem, czy człowiek jest istotą pełną sprzeczności?

A trzeba przy grillu?

Chodzi mi o to, że tematy maturalne powinny być chociaż trochę związane z życiem. Można zapytać, czy człowiek jest istotą racjonalną, czy uczy się na błędach albo czy umie je naprawiać – to są bardziej naturalne tematy rozmowy.

Pytanie robi wrażenie, że można napisać cokolwiek, byleby się wykazać znajomością lektur.

No właśnie – znajomością kilkudziesięciu lektur obowiązkowych, a nie zdolnością do wykorzystania ich potencjału. Ale klucz oceniania rozstrzyga, że wcale nie przejdzie „cokolwiek”. Czytamy np., że egzaminowany powinien wymienić przynajmniej dwie sprzeczności, choć sygnału o tym nie ma w poleceniu, że opisane sprzeczności mogą należeć tylko do pięciu kategorii, m.in. cech charakteru i postaw, ale – co ciekawe – emocji już nie. Że sprzeczności w człowieku mogą zachodzić między grupami, np. pokoleniami, czego już całkiem nie rozumiem.

Kryteria oceny z polskiego są zbyt sztywne czy zbyt subiektywne?

W pewnych obszarach – jak poprawność językowa – zbyt sztywne i rozbudowane, a w innych – jak np. spójność czy funkcjonalność – subiektywne. Egzaminowany ma się domyślić, czego oczekuje sprawdzający. W moich oczach nie tylko egzaminatorzy, ale też cały ten system pokazał, jak bardzo jest konformistyczny.

System czy jednak ludzie, którzy stworzyli kryteria?

Ludzie, którzy stworzyli system.

Dyrektor Centralnej Komisji Egzaminacyjnej Marcin Smolik?

Zawsze miałem dla niego dużo zrozumienia, a nawet podziwu, bo jest mądrym i rzetelnym urzędnikiem. A ja wiem, z czym trzeba się mierzyć, pracując w CKE, niby tylko formalnie nadzorowanej przez ministra edukacji, a w istocie podporządkowanej całemu ministerstwu. Ale z niektórymi decyzjami CKE trudno mi się zgodzić, zwłaszcza z rozstrzygnięciem dotyczącym tematu na rozszerzonej maturze „Realizm i fantastyka” – że nie mogą zostać pozytywnie ocenione prace opisujące elementy fantastyczne w tekstach religijnych, jak mitologia czy Biblia.

Te zalecenia przekazano egzaminatorom bezpośrednio przed sprawdzaniem prac, na mocy decyzji ekspertów CKE.

Zawsze tak było, że po sprawdzeniu pierwszej próbki prac eksperci w CKE zastanawiali się, czy zasady oceniania są ade-

W ramach każdej podstawy programowej można zbudować test, którego nie zda nikt, albo taki, który zda 94,6 proc. Ale to granda.

kwatne w odniesieniu do tych konkretnych tematów, czy coś trzeba dodać albo wyjaśnić egzaminatorom w komisjach w całym kraju. Ale żeby na takim forum zdecydować, że w tekstach religijnych nie występują elementy fantastyczne, i zerować prace, jeśli ktoś napisze, że występują? Przecież to ma ogromne konsekwencje – CKE powinna to wcześniej ogłosić w Informatorze, bo skąd uczeń miał o tym wiedzieć?

Zwłaszcza jeśli taki uczeń np. dwa lata wcześniej pomagał młodszemu bratu z podstawówki przygotować się do kuratorskiego Konkursu Kultury Klasycznej w województwie mazowieckim. Tam jeden z podtematów brzmiał „Fantastyczne stwory mitologiczne i biblijne”. Według regulaminu trzeba było się nauczyć m.in. o Lewiatanie, Behemocie, Feniksie i Gorgonach.

Gdybym był egzaminatorem, tobym takie wytyczne CKE po prostu puścił mimo uszu. Słyszę, że część egzaminatorów tak robiła. Chylę czoła.

Namawia pan do obywatelskiego nieposłuszeństwa. Wokół tego kryterium było też mnóstwo niejasności, bo egzaminatorom powiedziano, że nie można

traktować jako fantastyki opowieści, które uznawano za prawdę, gdy powstawały. Ale punkty zalecano obcinać również za odwołania do „Iliady” czy piękny wywód o tym, jak fantastyczność wpływała na odbiór opowieści zawartych w Biblii, „uznawanej przez niektórych za teksty święte”, jak pisała pewna dziewczyna. Jest tyle sposobów, na jakie można sprawdzić znajomość literatury i poprawność języka polskiego – po co wymyślać tak grzaskie tematy, które wyglądają jak pułapki na piszących?

Ja w tym widzę kolejny przejaw przypochlebiania się Kościołowi katolickiemu, który nieustannie wystawia rachunek za to, że powstrzymuje się od krytyki rządzących. Moim zdaniem autorka pracy, o której pani wspomina, stała się ofiarą dyskryminacji z powodów religijnych, wprost zakazanej przez konstytucję. Na przykładzie tej dziewczyny system mówi: o religii wypowiadajcie się ostrożnie. A wskazówka, żeby zerować takie prace, powinien przyjąć się rzecznik praw obywatelskich.



Z wnioskami do RPO oraz do NIK o kontrolę w sprawie CKE i egzaminów zgłosił się poseł Tomasz Zimoch.

Mam nadzieję, że te wnioski zostaną przyjęte. Jeśli chodzi o zadania z polskiego, niedokładnie wiadomo, co one zmierzyły w tej postaci. Jeśli nałoży się na to błędy egzaminatorów, to jest podważona i porównywalność, i społeczne zaufanie do egzaminów, a jednocześnie otwiera się furta dla ideologów i polityków, by załatwiać swoje sprawy.

Może to jest odpowiedź na pana początkowe pytanie: do czego jest potrzebna matura na masową skalę, organizowana w szkołach ustawianych w rankingi według jej wyników? Sprawdza się głównie jako narzędzie kontroli – i młodszych, i starszych – straszak, pod który ustawia się lata nauki.

Tak, a jako narzędzie pomocnicze świetnie się sprawdza rozdęta lista obowiązkowych lektur. Żeby Polacy nie myśleli, że literatura to teren, po którym można swobodnie hasać.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

Podróże zdarzeń

W tym roku wakacje za granicą spędziło 9 mln Polaków. Kilkadziesiąt tysięcy miało samochodowe wypadki, kłopoty ze zdrowiem.

Niemal wszyscy byli ubezpieczeni, ale często źle. Oto parę historii i przestróg.

RYSZARDA SOCHA

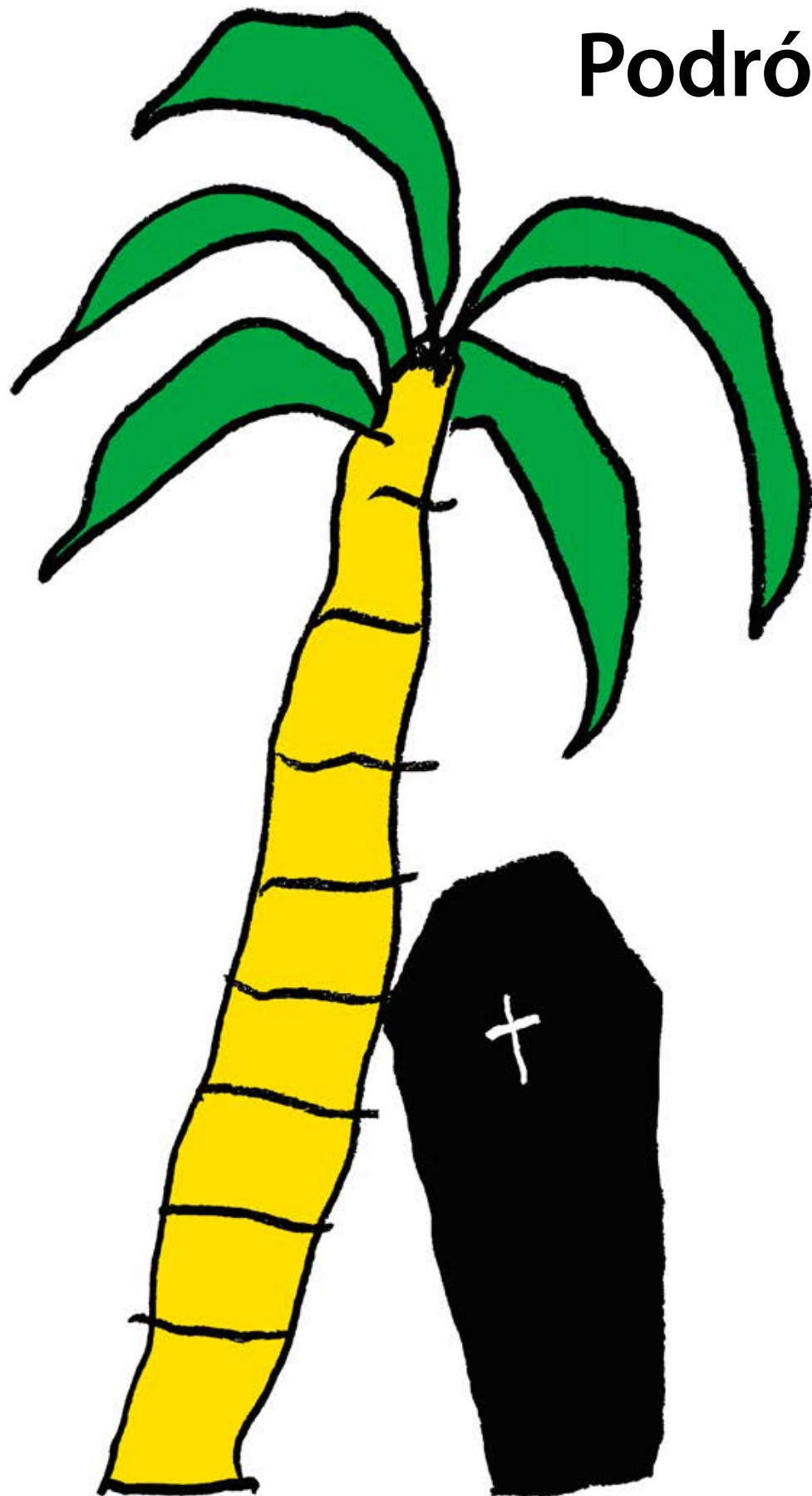
W Annie Pacholskiej jest energia gniewu. Pobyt w Egipcie miał jej dać frajdę, a skończyło się trzytygodniowym pobyt w szpitalu, bliznami, traumą, rehabilitacją, która wciąż trwa, stanem zdrowia wymuszającym zmianę życiowych planów. A na dokładkę musi walczyć w sądzie z biurem podróży o odszkodowanie i zadośćuczynienie.

Elżbieta Bansleben, adwokatka Pacholskiej, myślała, że po drugiej stronie będzie miała firmę ubezpieczeniową, dla której likwidacja szkód to oczywistość. Nie myślała, że duże biuro podróży, wysyłające do dziesiątków krajów tysiące ludzi, może nie mieć ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej (OC). Nie myślała, że nie jest ono obowiązkowe. I pewnie nie ona jedna.

Wypadek w Egipcie

W ubiegłym roku o zestawienie zagranicznych katastrof polskich autokarów od 2001 r. do sierpnia 2022 r. pokusił się „Dziennik Gazeta Prawna” – po wypadku pielgrzymów jadących do Medjugorie (12 zmarłych, 32 rannych, w tym 19 ciężko). Aż 27 osób poniosło śmierć, a 15 zostało ciężko rannych, gdy 22 lipca 2007 r. w Alpach Francuskich w okolicy Grenoble autokar z polskimi pielgrzymami runął ze skarpy w dolinę rzeki, a następnie się zapalił. W 2002 r. 20 osób zginęło, a 31 zostało rannych na Węgrzech niedaleko Balatonu. 14 ofiar śmiertelnych, 28 rannych to pokłosie wypadku w 2010 r. pod Berlinem (w polski autokar uderzył samochód osobowy).

ILUSTRACJE ŁUKASZ RAYSKI



Rzadko trafia się rok bez katastrofy, a są lata z dwiema, trzema, a nawet czterema. W ubiegłym roku były trzy – Egipt, Rumunia i Chorwacja. Ten Egipt to wypadek, w którym ucierpiała właśnie Anna Pacholska. 7 kwietnia 2022 r. jechali autokarem na lotnisko w Hurghadzie, skąd mieli odlecieć do Polski. Kierowca pędził jak szalony, nie reagował na prośby, by zwolnił. Autokar wywrócił się i bokiem szorował po jezdnii. Dwie osoby, w tym 13-letnia dziewczynka, wróciły do Polski w trumnach. Trzecią ofiarą śmiertelną był ów egipski kierowca. Kilkanaścioro turystów wylądowało w szpitalach z różnymi obrażeniami – „bez całych ramion, bez kawałka czaszki, bez skóry na twarzy, z poszarpanymi ranami na plecach, ciele, z połamanyimi nogami, skręconymi biodrami, zerwanymi ścięgnami, które pod wpływem uderzenia eksplodowały poza powierzchnię skóry” – raportowała później na Facebooku Pacholska.

Media obiegły wtedy zdjęcia Pauliny Mroncz, która chciała pracować jako kosmetyczka. „To miały być cudowne wakacje – pisze na portalu siepomaga.pl jej ojciec. – W wyniku wypadku Paulina straciła prawą rękę... Lewa została poważnie uszkodzona. Ma liczne rozcięcia na twarzy i całej głowie. To tragiczne wydarzenie odebrało jej tak wiele... Gdy tylko o tym myślę, łzy same napływają mi do oczu. Paulina ma dopiero 20 lat! Świadomość, że już nigdy nie odzyska sprawności, mrozi mi krew w żyłach. Mimo potwornego wypadku pragnę zrobić wszystko, by zapewnić jej jak najlepszą przyszłość”.

Zbiórkę na nowoczesną protezę prawej ręki (koszt ponad 350 tys. zł), na leczenie i rehabilitację młodej kobiety, rozpoczętą w maju 2022 r., wsparły 7492 osoby. Efekt – 355 tys. zł (stan na 15 sierpnia 2023 r.). Na innym portalu na rehabilitację zbiera sama Paulina (504 zł wpłaciło 13 osób). Píše, że ma rehabilitację tylko dwa razy w tygodniu, bo godzina kosztuje 150 zł, a to i tak niezła cena, bo za wizytę u lekarza trzeba zapłacić 200–350 zł. Dodaje: „Biuro podróży Coral Travel nie zwraca mi pieniędzy za faktury ani nie chce mi ich opłacać, ubezpieczenie jest do momentu powrotu do Polski, później radź sobie sam. Nie wiem, jak można tak traktować ludzi”.

Jak można? Są dwie szkoły. Jedna: „Trzeba być przezornym i trzeba się ubezpieczać”. Te słowa padły w 1997 r. podczas wielkiej powodzi, z ust ówczesnego premiera Włodzimierza Cimoszewicza. Jemu zaszkodziły, a Polaków

chyba niespecjalnie przekonały do ubezpieczenia. Druga szkoła sprowadza się do formuły: „Ktoś powinien o to zadbać”. Tylko kto?

Był okres, kiedy biura podróży padały jak muchy, pozostawiając turystów na lodzie. To zostało skutecznie załatwione. Każde legalnie działające biuro na wypadek bankructwa musi mieć gwarancje ubezpieczyciela lub banku. A gdy pieniądze z gwarancji nie starczą, do akcji wkracza Turystyczny Fundusz Gwarancyjny, tworzony ze składek tych biur. Zarządza nim Ubezpieczeniowy Fundusz Gwarancyjny (UFG). Turysta otrzyma zwrot pieniędzy, jeśli biuro upadnie, nim wykupiony wyjazd dojdzie do skutku. Jeżeli plaża nastąpi podczas jego pobytu za granicą, może liczyć na pomoc w powrocie do kraju.

UFG obsługuje też budowany od niedawna ze składek Turystyczny Fundusz Pomocowy zwany katastroficznym. Jednak nie chodzi o katastrofy takie jak ta w Egipcie, ale o sytuacje trudne do przewidzenia, jak np. pandemia, z powodu której trzeba było odwoływać wyjazdy. – *W Polsce działa ponad 4,5 tys. organizatorów turystyki. W 2022 r. niewypłacalne okazały się dwa biura, w 2021 r. – 8 i tyle samo w 2020 r., ale były to lata dotknięte pandemią* – mówi Damian Ziąber, rzecznik prasowy UFG.

Z polisą i bez

Co jednak z większymi i mniejszymi nieszczęściami, które dadzą się przewidzieć? Same biura podróży nie muszą posiadać polis OC, ale w przypadku wyjazdów zagranicznych są ustawowo zobowiązane (ustawa o imprezach turystycznych) do zawarcia na rzecz klienta umowy ubezpieczenia dotyczącej kosztów ewentualnego leczenia za granicą oraz następstw nieszczęśliwych wypadków. Czyli każdy klient, który wykupuje wycieczkę zagraniczną (przezorny i nieprzezorny), razem z wycieczką nabywa także podstawowe ubezpieczenie.

Niby wszystko gra, ale nie do końca. – *Zapis w ustawie, niestety, jest bardzo ogólny* – mówi Magdalena Oszczak, dyrektor działu ubezpieczeń turystycznych Unią Towarzystwo Ubezpieczeń SA. – *Biura muszą zaoferować ubezpieczenie. I tyle. Żeby chociaż było słowo, że na „wystarczającą” sumę. Tego nie ma. I jest różna praktyka na rynku. Są biura podróży zapewniające minimum w przypadku poważnych zdarzeń, które jest za niskie, zarówno jeśli chodzi o koszty leczenia, jak i NNW.*

Piotr Henicz, wiceprezes Polskiej Izby Turystyki, skupiającej firmy z tej branży,

a zarazem wiceprezes Itaka Holdings, uważa, że mimo braku szczegółowych wytycznych co do zakresu ochrony organizatorzy wywiązują się z tego obowiązku bardzo solidnie, bo sumy ubezpieczenia na koszty leczenia zaczynają się od kilkudziesięciu tysięcy złotych do nawet 100 tys. zł. Jego zdaniem są to kwoty, które w większości miejsc na świecie powinny wystarczyć do zapewnienia doraźnej czy podstawowej opieki zdrowotnej.

Tej bardzo podstawowej może i tak, ale w przypadku poważniejszych zdarzeń już niekoniecznie. Takie sygnały płyną z branży ubezpieczeń. Unią wraz z firmą ISON Care świeżo przeprowadziła analizy. Otóż koszty leczenia za granicą tylko od początku 2023 r. wzrosły średnio o prawie 20 proc. Ten wzrost szczególnie widoczny jest w takich krajach, jak Grecja, Hiszpania, Turcja czy Egipt. Dwa razy więcej trzeba płacić np. za pobyt w szpitalu w Grecji czy wizytę lekarską w hotelu w Egipcie. W Meksyku, Dominikanie i Peru nastąpiła „amerykanizacja” stawek medycznych – podniesienie do poziomu porównywalnego z kosztami leczenia w USA, które – jak czytamy w komunikacie – „nie tylko uchodzą za jedne z najwyższych w świecie, ale też rosną zwykle w tempie dwu- lub trzykrotnie wyższym niż inflacja”. W Grecji doba na IOIM-ie to prawie 2 tys. euro, w krajach skandynawskich nawet 10 tys. euro. – *Z doświadczenia rekomendujemy podróżującym przy wyjazdach do Europy ubezpieczenia w przedziale od 50 tys. do 100 tys. euro, a poza Europą powyżej 150 tys. euro* – mówi dyrektor Magdalena Oszczak.

Podstawowe i dodatkowe

Zatem to dużo więcej niż kwoty, które za wystarczające uznaje branża turystyczna. One pojawiają się, i owszem, ale w wariantach rozszerzonych (dodatkowych), które turysta może wykupić niezależnie od ubezpieczenia podstawowego. Biura podróży jak i PIT rekomendują wyjeżdżającym te dodatkowe opcje. – *Organizatorzy* – konstatuje prezes Henicz – *powinni zapewnić kompleksowy wybór polis, a ostateczna decyzja co do zakresu ochrony leży po stronie klienta i powinna wynikać z jego potrzeb, stanu zdrowia, planowanych aktywności w trakcie wyjazdu itp. Jako organizatorzy wyjazdów musimy wyważyć odpowiedni zakres ochrony, jednocześnie nie obciążając nadmiernie cen imprez poprzez dodawanie ochrony, która nie wszystkim klientom jest potrzebna, np. dotyczącej ►*

► *chorób przewlekłych lub sportów wysokiego ryzyka.*

Dodatkowe ubezpieczenia na przyzwolite sumy kosztują niewiele w porównaniu z cenami wykupowanych wyjazdów. Kilka lat temu głośno było o 65-latku z licznymi chorobami przewlekłymi, który dostał udaru podczas wakacji w Meksyku. Okazało się, że tydzień pobytu w szpitalu, a potem transport do Polski samolotem medycznym (pacjent pod respiratorem) kosztuje prawie 800 tys. zł. A turysta miał najtańsze ubezpieczenie, wystarczające na refundację jednego dnia pobytu w szpitalu.

Zgoda, że nie ma powodu, by każdego ubezpieczać od wszelkich rodzajów ryzyka. Niemniej ubezpieczenie podstawowe osób, którym nic nie dolega i nie jadą nurkować z rekinami, powinno nadążać za zmieniającymi się kosztami. Czy sprzedawanie wyjazdów ze słabą polisą w cenie nie jest sprzedawaniem usypiającego czujność złudzenia bezpieczeństwa?

– *Namawiamy biura, żeby w umowach, które zawierają na rzecz swoich klientów, przyjmowały adekwatne sumy ubezpieczenia* – mówi Magdalena Oszczak. – *Bo to one są organizatorami i powinny mieć rozeznanie, jeżeli wysyłają do Albanii, Turcji, Grecji czy do Meksyku, jakie mogą być tam koszty leczenia. Więc jeżeli nie ma opcji dodatkowej, tylko jest takie minimum, podstawa: 10, 20 tys. euro na koszty leczenia, to jest zdecydowanie za mało.*

W przypadku Egiptu z tragicznym finałem ubezpieczenie podstawowe obejmowało koszty leczenia, transportu medycznego i repatriacji do 20 tys. euro, a NNW – 10 tys. zł w przypadku trwałego uszczerbku na zdrowiu i 5 tys. zł z tytułu śmierci. Anna Pacholska i jej dwie znajome Kamila i Klaudia Derda, matka z nastoletnią córką, miały wykupione polisy dodatkowe od ubezpieczyciela brytyjskiego na kwotę do 5 mln funtów (Anna mieszka i pracuje na wyspie Jersey, to protektorat brytyjski). Po wypadku przez chwilę były zadowolone z własnej przezorności. Pocięły się, że pojedą do specjalistycznej kliniki, przejdą rehabilitację, pousuwają laserowo blizny, nie będzie źle. Rychło jednak zorientowały się, że ubezpieczenia podróżne działają tylko do momentu powrotu do kraju. Że po powrocie pozostaje im NFZ ze wszystkimi jego mankamentami lub kosztowne leczenie prywatne.

– *Poszkodowani potrzebują pieniędzy szybko, żeby móc podreperować zdrowie, więc często przyjmują ugodę na małe kwoty, byle tylko ruszyć z leczeniem* – mówi Elżbieta Bansleben, adwokatka Pacholskiej.

Udało jej się uzyskać w sądzie od Coral Travel tzw. zabezpieczenie – blisko 10 tys. zł miesięcznie na koszty leczenia klientki.

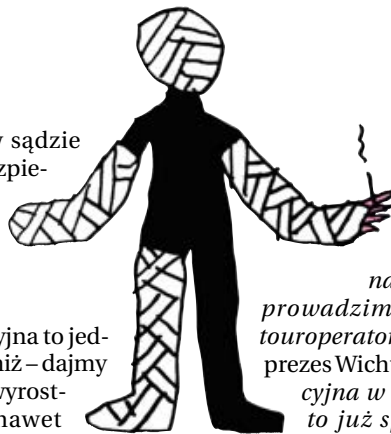
Z OC sprawcy?

Katastrofa komunikacyjna to jednak trochę inna historia niż – dajmy na to – nagłe zapalenie wyrostka robaczkowego czy nawet zawał. Ludzie umawiali się z biurem turystycznym na przyjemną imprezę, nie na śmierć czy kalectwo, które odmieniło ich życie. I nie oni prowadzili ten nieszczęsny autokar. Trudno się dziwić, że chcą odszkodowań i zadośćuczynień za cierpienie. Nie tylko turysta powinien być przeczony, ale biura podróży też. Może są takie, które OC mają. Nawet jeśli nie jest obligatoryjne. – *Z pewnością duża część branży się na nie decyduje* – uważa Piotr Henicz. – *ITAKA posiada polisę ubezpieczeniową OC, obejmującą roszczenia szkód osobowych i rzeczowych.*

Jak duża część branży coś takiego ma, nie wiadomo. – *Rozmawiałam z brokerami; wydaje się, że biura podróży bardzo rzadko to ubezpieczenie wykupują* – przyznaje Aleksandra Leszczyńska z Towarzystwa Ubezpieczeniowego Europa.

Jednak nawet w kręgu ubezpieczycieli nie brak osób przeświadczonych, że OC biurom podróży nie jest potrzebne, bo ofiary wypadków drogowych za granicą mogą dochodzić odszkodowania z OC sprawcy, który musi mieć swój pojazd ubezpieczony. Wskazują na Polskie Biuro Ubezpieczeń Komunikacyjnych (PBUK) jako organizację pomocną w tego typu sprawach. Reprezentuje ona Polskę w działającym od 1953 r. Systemie Zielonej Karty. Ma on zapewnić poszkodowanym w wypadkach drogowych należną rekompensatę, jeśli sprawcą szkody jest kierowca pojazdu zarejestrowanego za granicą.

Biuro rocznie ma do czynienia z 65 tys. wypadków spowodowanych za granicą przez Polaków, z 15 tys. przez obcokrajowców w Polsce oraz z podobną liczbą za granicą, gdzie poszkodowanymi są Polacy. Mariusz Wichtowski, prezes PBUK, podaje też przykłady naprawdę dużych katastrof, przy których był zaangażowany PBUK, m.in. wspomniany już ubiegłoroczny wypadek w Rumunii czy w 2002 r. na Węgrzech (20 zabitych, 31 rannych). Wszystkie szkody na ogromne kwoty zakład ubezpieczeń pokrył z OC pojazdu. Jednak to były polskie autokary, wypadki w europejskich krajach, obowiązywało prawo polskie.



– *Jeżeli wypadek miał miejsce w Europie czy innym kraju objętym Systemem Zielonej Karty, można się do nas zgłosić i poprowadzimy za rękę, pozywanie touroperatorów jest zbędne* – mówi prezes Wichtowski. – *Suma gwarancyjna w UE wynosi 6 mln euro, to już spore pieniądze. A niektóre kraje, jak Francja, w ogóle nie mają limitu. System działa tak, żeby maksymalnie ułatwić ludziom dochodzenie odszkodowań.*

Spoza Europy są w tym systemie Azerbejdżan, Iran, Maroko, Tunezja, Turcja, ale Egiptu nie ma. Zatem nie jest to droga dla poszkodowanych przez pojazdy z tego kraju.

Boje z biurem

Prezes PBUK ma świadomość, że inaczej jest, gdy szkody są naprawiane z ubezpieczenia, a inaczej, gdy płacić ma biuro podróży ze swego majątku. Toczą się wtedy zażarte boje. I u poszkodowanych nierzadko pojawia się poczucie wtórnej krzywdy – pierwsza jest związana z wypadkiem, druga z traktowaniem po wypadku.

Anna Pacholska na Jersey pracowała w restauracji i prowadziła treningi personalne. Teraz jej zarobki miesięczne nijak się mają do tych sprzed Egiptu. – *Nawet ciężko mi ocenić* – mówi – *co jest gorsze: ograniczenia fizyczne, ból czy PTSD. Chyba najgorsze jest, że sprawa się tak ciągnie. Podwójny szok. Nie mogę zamknąć tego etapu i pójść dalej.*

– *Rozumiemy, że sytuacja jest wyjątkowa, dlatego prowadzimy rozmowy ze wszystkimi poszkodowanymi, którzy się do nas zgłosili. W niektórych przypadkach potrzebne są jednak dodatkowe dokumenty, na które czekamy* – deklaruje Izabela Jurczewska z Coral Travel.

– *Kwestionuję każde moje słowo* – mówi Pacholska. – *Gdybym nie miała nagrań, dokumentów, świadków, byłabym w sądzie bez szans.* Rozumie poszkodowanych, którzy nie mając pieniędzy, ratują się zbiórkami publicznymi. Jednak bardzo by chciała, aby biura podróży koniec końców, w ramach ugody czy na mocy wyroku sądowego, musiały wpłacać kwoty odpowiadające tym ze zbiorów na jakiś ogólny fundusz pomocowy. By nie korzystały na tym, że poszkodowani nie mają wiary i siły, by walczyć o odszkodowania, które i tak nie skompensują tego, co stracili.

RYSZARDA SOCHA

POLITYKA

WYDANIE SPECJALNE NR 04/2023
CENA 16,99 ZŁ (W TYM 8% VAT)
INDEKS: 381-055

ARTSALON

PRZEWODNIK PO POLSKICH GALERIACH SZTUKI I WYSTAWACH

Nº1



**TWIERDZA
HAND MADE**

Dom pracy twórczej
w Chile. Monumentalny
obiekt z betonu, dzieło
architektów wizjonerów.

**NIELUDZKA
SZTUKA**

Sztuczna inteligencja
jako ulepszona wersja
pędzla. Czy pozbawi
nas kreatywności?

**KULISY
WYSTAW**

Kuratorzy galerii
i muzeów o nowych
wyzwaniach
w swojej pracy.

**MIEDZIANKA
DLA ODWAŻNYCH**

Wieża działań
artystycznych. Budynek
poświęcony historii
pogórniczego miasteczka.

Do kupienia w dobrych kioskach i na sklep.polityka.pl

**PRZEWODNIK PO POLSKICH
GALERIACH SZTUKI I WYSTAWACH**

CEZARY KOWANDA

Dziki Zachód

To jest dziś prawdziwy Centralny Port Komunikacyjny: Warszawa obsługujący transport z Ukrainy, plus trwający od lat chaotyczny remont,

Trwający już trzy lata remont Warszawy Zachodniej przerósł kolejarzy, za to państwowy PKS wciąż jeszcze swojego remontu nie zaczął. Większość stanowisk odjazdowych dla autobusów straciła już zadaszenia, a oczekiwanie w starym budynku dworcowym wymaga tolerowania tłoku, mieszających się zapachów stęchlizny i kebabów. O klimatyzacji można tylko pomarzyć. Za to bezpłatny jest dostęp do propagandy TVP Info, płynącej z ustawionych na maksymalną głośność telewizorów. Wewnątrz i na zewnątrz dworca ustawiono gigantyczne reklamy polskich sieci komórkowych – wszystkie w języku ukraińskim. Dzięki przewoźnikom z Ukrainy Dworzec Zachodni przeżywa prawdziwy boom. Do samego Kijowa rozkład jazdy pokazuje średnio 12 kursów dziennie.

Państwowa spółka PKS Polonus od lat zapowiada wielką przebudowę, przedstawia ambitne wizualizacje i na tym się kończy. PKS Polonus twierdzi teraz, że czeka na zgodę warszawskiego ratusza. Obiecuje nie tylko połączenie dworca przejściem podziemnym z częścią kolejową, ale także przyjazną przestrzeń publiczną na zewnątrz, z roślinnością i miejscami do siedzenia.

Pociąg do chaosu

Najgorzej, że te plany nie są skoordynowane z pracami, jakie prowadzi tu inna państwowa spółka – PKP Polskie Linie Kolejowe. Za prawie dwa miliardy złotych firma Budimex, na zlecenie PKP PLK, wykonuje właśnie przebudowę stacji kolejowej o skali dotąd w naszym kraju nieznaną. Nie tylko remontuje perony, ale także kładzie dodatkowe tory, stawia imponujące wiadukty, poszerza podziemny tunel, który ma stać się nowym dworcem, a nawet przygotowuje Zachodnią na obiecane przez rząd Kolej Długich Prędkości. Aby było lepiej, najpierw jednak musi być gorzej, choć pytanie – czy naprawdę musi być aż tak źle?

Na razie pasażerowie muszą w drodze na perony korzystać z prowizorycznej, niewygodnej kładki, pozbawionej w większości wind. Aby do niej dotrzeć, trzeba przejść obok niepozornego dworca, przed którym niewielki parking jest zastawiony

ukraińskimi busami czekającymi na pasażerów. Teoretycznie powinny one korzystać z części autobusowej, ale przecież takimi błahostkami nikt się tam nie przejmuje. Tak samo jak nieuczciwymi taksówkarzami, właściwie taksówkową mafią, czyhającą tu na swoje ofiary, najchętniej oczywiście Ukraińców, którym za krótkie kursy każą płacić nawet kilkaset złotych.

Spółka PKP PLK może pochwalić się tym, że jako pierwsza spośród licznych zarządców węzła Warszawa Zachodnia zdobyła inwestycyjne pieniądze. Dzięki nim na poważnie wzięła się do przebudowy swojej części komunikacyjnego potwora, którego stolica słusznie wstydiła się przez lata. Natomiast zarządzająca dworcami PKP SA spoczęła na laurach po zbudowaniu w 2015 r. małej hali zwanej przez złośliwych dworczykiem. Dziś to wyjątkowo duszne miejsce, dysponujące kilkoma kasami i barem McDonald's. Z powodu remontów została odcięta od peronów, więc lepiej do niego nie schodzić w drodze na pociąg.

Kolejny partner, czyli miasto Warszawa, któremu władze centralne potężnie obcięły dochody, dotąd wyremontowało tylko fragment zalewanego przez lata deszczami przejścia podziemnego, którym zarządza. Należące do miasta Tramwaje Warszawskie



Od lewej: nowy dworzec w budowie i wejście do starego nowego dworca zwanego dworczykiem.



Zachodnia. Setki pociągów dalekobieżnych i lokalnych na dobę, plus dworzec autobusowy plus: brak informacji, męka dla pasażerów, grożące katastrofą awarie...



Stara hala dworcowa przy ul. Tunelowej. Na dole po lewej: droga na peron 9, nazywany żartobliwie peronem 9¾, znanym z Harry'ego Pottera. Po prawej: hala dworca PKS.

zapowiadają podziemną linię tramwajową pod Zachodnim, ale prac jeszcze nie zaczęły. Zresztą tramwaj dotrze w optymistycznym wariantcie pod perony dopiero za ponad dwa lata, podczas gdy przebudowa dworca ma się zakończyć za rok. Co gorsza przez długi czas do dyspozycji pasażerów będzie tylko przystanek końcowy jednej linii, bo nie ma pieniędzy na budowę dalszej części podziemnej trasy tramwajowej na północ od Zachodniego.

Ryzyko w kablach

W zasadzie zatem to PKP PLK powinny zbierać same pochwały za swoją gigantyczną inwestycję, ale niestety, kolejarze wydają się zupełnie nie przejmować losem pasażerów, którzy wciąż muszą korzystać z tej stacji. Wiele utrudnień wydaje się oczywistych i trudno mieć o nie pretensje. Przed remontem przez Zachodnią przejeżdżało prawie tysiąc pociągów w ciągu doby – pod tym względem stacja ta nie miała sobie równych w Polsce. Teraz połączeń jest mniej, bo część torów i peronów trzeba było zamknąć. Na przykład w wakacje pociągi regionalne nie kursowały przez centrum stolicy między Dworcem Zachodnim i Wschodnim,

a od września przez rok ogromne utrudnienia dotyczą pasażerów Warszawskiej Kolei Dojazdowej, która do Zachodniej w ogóle nie dociera i kończy kursy jedną stacją wcześniej. Ogromnego pecha mają też wszyscy wysiadający na peronie dziewiątym Zachodniej, z którego dojeżdżenie do reszty stacji zajmuje teraz 15–20 minut. Trzeba odbyć wycieczkę krajoznawczą korytarzem wygrodzonym na placu budowy.

Jednak do utrudnień zaplanowanych dochodzi jeszcze wiele przykrych niespodzianek, które nie powinny się zdarzać. Pierwsza z nich to częste awarie spowodowane uszkodzeniem kabli przez wykonawcę. Wówczas przestaje działać system sterowania ruchem, co powoduje ogromne opóźnienia pociągów. Część kursów regionalnych trzeba odwoływać.

– *Kolejarze mają poważny problem z przygotowywaniem inwestycji. W dokumentacji brakuje często danych o podziemnych urządzeniach. W czasie prac łatwo przerwać kabel, który nie został zinwentaryzowany. Tymczasem nawet teraz przez Zachodnią przejeżdża ok. 700 składów na dobę. Konsekwencje awarii są odczuwane w całej Polsce, bo połowa pociągów dalekobieżnych w naszym kraju jedzie do stolicy albo przez* ►



► *niq* – tłumaczy Piotr Malepszak, były dyrektor Biura Dróg Kolejowych w PKP PLK, dziś pełnomocnik prezydenta Miasta Gdańska ds. Kolejowych.

Na torach i beztorzach

Drugi grzech główny kolejarzy to niewłaściwe przygotowanie tras objazdowych. Wiadomo było od dawna, że po rozkopaniu Zachodniego znacznie wzrosnie w stolicy znaczenie Dworca Gdańskiego, przez lata obsługującego głównie pociągi regionalne. – *Pierwotny projekt zakładał budowę na Gdańskim drugiego tunelu dla pieszych i dodatkowych peronów. Niestety, w ramach oszczędności ograniczono inwestycje. Powstały dwie kładki, z których mało kto korzysta, bo nie prowadzą do stacji metra. Tymczasem pasażerowie nie mieszczą się w zejściach do jedyne tunelu. Efekt? Kolejarze wrócili do wcześniejszych założeń i obiecują drugi tunel. Szkoda, że dopiero teraz* – mówi Jakub Majewski, prezes Fundacji ProKolej.

PKP PLK chwaliły się też w ostatnich latach reaktywacją nieużywanego długo Dworca Głównego, zlokalizowanego koło placu Zawiszy, bardzo blisko centrum stolicy. Niestety, Dworzec Główny, który nawet nie doczekał się poczekalni i kas, jest wykorzystywany w niewielkim stopniu, bo aby do niego dotrzeć, trzeba najpierw przejechać przez... Zachodni. A tam przecież plac budowy.

Jednak te dwa problemy wydają się wręcz błahostką w porównaniu z trzecim. To zjawisko wyjątkowo niepokojące, które może skończyć się tragedią: kierowanie pociągów na niewłaściwe tory. Spółka PKP PLK tak często zmienia rozkład jazdy, że nie nadążają za tym jej pracownicy, czyli dyżurni ruchu. Ostatnio popełniają wyjątkowo dużo błędów, chociaż tłumaczą się przepracowaniem i ogromnymi brakami kadrowymi. Dziennikarze „Rynku Kolejowego” od marca naliczyli już 12 przypadków wyprawienia składu na tor niezgodny z rozkładem jazdy. Większość z nich dotyczy stolicy i jest efektem chaosu potęgowanego przebudową dworca.

Na przykład skład zostaje skierowany do Warszawy Gdańskiej zamiast Zachodniej albo do Głównej zamiast do Centralnej. Potem scenariusz okazuje się zawsze ten sam: kolejarze twierdzą, że nie było żadnego zagrożenia dla pasażerów, i powołują wewnętrzną komisję do wyjaśnienia sytuacji. Pociąg niewłaściwie skierowany musi wrócić na prawidłową trasę, ale to wymaga czasu i powoduje ogromne utrudnienia, bo inne składy czekają na normalizację sytuacji. Ostatnio zresztą błędy PKP PLK doprowadziły do poważnej awarii – skład Kolei Mazowieckich został skierowany na tor bez sieci trakcyjnej i uszkodził pantograf.

Biuroczyk przed dworczykiem

Teoretycznie szefowie PKP PLK – ci sami od 2016 r., powinni obawiać się zwierzchników, ale oni bagatelizują sytuację. Zdaniem wiceministra infrastruktury Andrzeja Bittela kierowanie na niewłaściwe tory pociągów to jak skręt przez kierowcę samochodem w lewo zamiast jazdy prosto, a uszkodzonymi kablami nie ma się co oburzać, bo i w czasie remontu łązienki też zdarzają się niespodzianki. Politycy PiS nie zareagowali nawet, gdy w marcu PKP PLK stworzyła rozkład jazdy, który trzeba było natychmiast zmieniać, bo znalazło się w nim za dużo pociągów jak na możliwości Warszawy Zachodniej. Kolejarze wówczas winę zrzucali na samorządowych przewoźników, Koleje Mazowieckie i warszawską Szybka Kolej Miejską, które zgłosiły do rozkładu ich zdaniem za dużo połączeń. Tymczasem to PKP PLK w naszym kraju tworzy rozkład i bierze za niego pełną odpowiedzialność.

Kolej ma teoretycznie apolityczny nadzór, czyli Urząd Transportu Kolejowego, który remont Zachodniego może obserwować bardzo łatwo, bo tuż obok stacji ma swoją siedzibę w dużym

kompleksie biurowym. Powstawał on na gruntach kolei równoległe z dworczykiem. Zderzenie wielkich biurowców z malutkim miejscem dla pasażerów nie pozostawiało wątpliwości, jakie były priorytety. Teraz UTK rzeczywiście kontroluje i wyjaśnia, a jego lista zarzutów jest długa, bo obejmuje nie tylko kierowanie pociągów na niewłaściwe tory, ale też nieprawidłowe informowanie pasażerów o zmianach w rozkładzie jazdy. Teoretycznie PKP PLK grożą ogromne kary finansowe, sięgające 2 proc. rocznych obrotów. Pytanie retoryczne, czy państwowy urząd będzie miał odwagę, by nałożyć na państwowego molocha takie sankcje.

Teoretycznie remont powinien się skończyć w tym roku. Wiadomo, że to się nie uda, a z przecinania wstęg przed 15 października trzeba było zrezygnować. Według najnowszych planów w połowie przyszłego roku zakończą się prace na torach, a na otwarcie nowego podziemnego dworca w poszerzonym tunelu trzeba będzie poczekać zapewne do kolejnej zimy. Biorąc pod uwagę doświadczenia PKP PLK, to i tak opóźnienie bardzo niewielkie. Wiele inwestycji ma poślizg trzy-, czteroletni, co zresztą nie prowadzi do jakiegokolwiek reakcji Ministerstwa Infrastruktury. Niestety, koniec przebudowy Zachodniej nie oznacza końca męczarni pasażerów kolei w stolicy. Przeciwnie, najgorsze dopiero przed nimi.

Zachodnia to przedsmak przebudowy linii średnicowej, która według najnowszych planów ma potrwać drugą połowę tej dekady. Dokładnych dat nikt nawet nie chce podawać. Wówczas na kilka lat zostaną zamknięte Aleje Jerozolimskie w centrum stolicy, a tą ważną arterią komunikacyjną nie przejadą tramwaje ani być może nawet autobusy. To oznacza paraliż centrum stolicy. – *Tymczasem PKP PLK na razie nie wyciąga żadnych wniosków z porażek na etapie budowlanym. Do tego jednak potrzebujemy zmiany władzy i wielkiego inwestycyjnego resetu* – podsumowuje Piotr Malepszak.

Czas na PKS

A na samej Zachodniej pasażerowie jeszcze długo nie doświadczą normalności. PKP SA i PKP PLK nie potrafiły stworzyć wspólnej koncepcji remontu, w efekcie szeroki tunel pieszy z nowym dworcem podziemnym nagle ma się zwięzać, bo nieruszony pozostanie istniejący dworzec. Obie części nie będą ze sobą płynnie zintegrowane, co wydaje się absurdem, ale pokazuje, że każda kolejowa spółka to wciąż udzielne królestwo. Jeśli swoje inwestycje znacznie wreszcie PKS, czekają nas kolejne lata utrudnień. Nie wiadomo, dokąd wówczas przeniesie się dworzec autobusowy, z którego dziś przewoźnicy korzystają, bo po prostu nie mają wyboru. Warszawa dysponuje dla autobusów dalekobieżnych tylko niewielkimi stanowiskami odjazdowymi koło dworca Wschodniego czy stacji metra Młociny. Na pewno nie pomieszczą one dziesiątek ukraińskich autokarów.

Zmarnowano wielką szansę na koordynację odnowy części kolejowej i autobusowej, chociaż przecież obie zarządzają spółki państwowe. Nie ma też mowy o żadnej cywilizowanej pętli autobusów miejskich ani o wspólnym stanowisku informacyjnym, integrującym wszystkie środki transportu – od pociągów przez autobusy dalekobieżne, podmiejskie, miejskie po tramwaje, a w dalekiej przyszłości nawet metro (linia M5 w śmiałych wizjach stołecznego ratusza).

Zachodni pozostanie prowizorką i placem budowy wystawiającym jak najgorsze świadectwo państwu, które rozłącza przeciw futurystyczne wizje ultranowoczesnego Centralnego Portu Komunikacyjnego kilkadziesiąt kilometrów dalej. Tymczasem w praktyce nie potrafi nawet w ciągu kilku lat i bez nadmiernego chaosu stworzyć nowoczesnego kolejowo-autobusowego dworca dla dwumilionowej stolicy.

CEZARY KOWANDA

Ceny detaliczne prądu należą w Polsce do najniższych w Europie, a ceny hurtowe do najwyższych. Jak to możliwe? Rząd sztucznie mrozi ceny dla gospodarstw domowych. Po wyborach mogą wzrosnąć nawet o 80 proc.

ADAM GRZESZAK

Pod prąd



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Polacy płacą za energię znacząco poniżej średniej dla całego kontynentu, a w porównaniu z niektórymi państwami ceny w Polsce są niższe nawet kilkakrotnie” – zapewniał Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej, inaugurując najnowszą kampanię marketingową koncernu „Stop manipulacji!”. Ta manipulacja, zdaniem szefa PGE, polega na wprowadzających w błąd przekazach o „wysokich cenach energii w Polsce”. Tymczasem „rachunki odbiorców są i pozostaną niskie dzięki rządowej Tarczy Solidarnościowej, wspieranej przez polskich sprzedawców energii”.

PGE oraz inne państwowe koncerny energetyczne od dawna pełnią funkcję rządowej agencji marketingu politycznego. Nie szczędzą na to pieniędzy. Organizują i finansują kampanie, przekonując Polaków, że co złego w energetyce, to nie rząd. A już z pewnością nie minister aktywów państwowych Jacek Sasin, któremu spółki energetyczne podlegają. Temu służyły wcześniejsze kampanie, takie jak słynna antyunijna, z żarówką, dowodząca, że drożące ceny energii to w 60 proc. skutek polityki klimatycznej UE. A teraz mamy kampanię, że ceny energii wcale takie wysokie nie są, a wszystko to zasługa troskliwej władzy. Każda okazja promocji jest dobra i każdy sojusznik. Dlatego energetycy sfinansowali nawet zakup zabytkowego wczesnośredniowiecznego miecza, by minister Sasin mógł go uroczystie na Jasnej Górze подарować ojcu dyrektorowi Rydzyskiowi.

Kto tu manipuluje?



Kampanie energetyków budzą emocje i spotykają się z zarzutami o manipulacje. Podobnie jest z najnowszą, sierpniową, prowadzoną pod przewrotnym hasłem „stop manipulacji!”. Ceny prądu dla odbiorców domowych (taryfy G11, G12) w przeliczeniu na euro należą u nas rzeczywiście do jednych z niższych w Europie. Według Eurostatu w połowie roku najtańsza energia była na Węgrzech, w Bułgarii i na Malcie, gdzie za kilowatogodzinę (kWh) płaci się 0,10 euro, cena w Holandii i Chorwacji oraz Polsce to 0,15 euro. Najdroższa była Dania (0,60 euro). PGE, posługując się nieco innymi danymi, podaje, że Holandia ma jedne z najwyższych cen, a Polska w dziedzinie niskich cen ustępuje jedynie Chorwacji i Słowenii.

Nie to jednak jest najważniejsze. Większy problem polega na tym, że tu chodzi o ceny samej energii, a my płacimy rachunki obejmujące także dystrybucję, ►

► czyli usługę dostarczenia nam prądu do domu. Rachunek zawiera też podatki, które w tym roku wróciły do dawnego poziomu, oraz szereg innych pozycji, w tym np. tajemniczą „opłatę handlową”, które sprawiają, że mało kto ma poczucie, że jest tanio. Zwłaszcza że my nie zarabiamy w euro i w stosunku do siły nabywczej naszych zarobków prąd obiektywnie taki tani nie jest. Eurostat, który robi i takie zestawienia, lokuje nas w środku unijnej stawki.

Oczywiście dziś wszystkie wyliczenia dotyczą dotowanych cen energii dla gospodarstw domowych zużywających rocznie nie więcej niż 2000 kWh. Ta dotacja to efekt ustawy „o szczególnych rozwiązaniach służących ochronie odbiorców energii elektrycznej w 2023 r. w związku z sytuacją na rynku energii elektrycznej”. Ma ona zamortyzować rynkowy wstrząs, jaki wywołał światowy postpandemiczny kryzys energetyczny w 2021 r., do którego w następnym roku dołożyły się skutki wojny w Ukrainie. Skłoniło to niemal wszystkie rządy krajów w UE do wprowadzenia programów chroniących odbiorców, zwłaszcza tych najbardziej wrażliwych. W Polsce Tarcza Solidarnościowa zamroziła w całym 2023 r. ceny energii na poziomie z 2022 r.

Tani, tańszy i najdroższy



Z czasem wytwórcy energii nieco opanowali sytuację, spadło też jej zużycie (także w Polsce), więc i ceny prądu zaczęły spadać. Na powrót do dawnego poziomu nie ma jednak co liczyć. Dziś rynkowe ceny utrzymują się na dwukrotnie wyższym poziomie niż przed pandemią. Zamortyzowanie tak potężnego skoku jest więc kosztowne, dlatego konieczna była selekcja beneficjentów i ustalenie dotacyjnego limitu, po przekroczeniu którego nawet odbiorcy domowi muszą płacić znacznie drożej. Ustalono więc 2000 kWh, gospodarstwa z zasobami niepełnosprawnymi dostały przydział 2600 kWh, a posiadacze Karty Dużej Rodziny oraz rolnicy 3000 kWh.

Przedwyborcze wzmocnienie szerzej otworzyło państwową kieszeń. Ostatnio Jacek Sasin obiecał obniżyć o 12 proc. cenę energii elektrycznej dla gospodarstw domowych wstecznie od początku 2023 r. Także przemysł energochłonny dostał energetyczny parasol. Ochronę dostały też samorządy i mikrofirmy. Najbardziej po kulach oberwał mały i średni polski biznes. Musiał wziąć na siebie ciężar podwyżek. „Každą polską rodzinę oszczędza rocznie na wydatkach za prąd średnio od 2000 do nawet 3000 zł” – zapewnia prezes PGE. Oczywiście wszystko

to dotyczy tylko tego roku. Co będzie w przyszłym?

PGE w swej kampanii deklaruje, że chce zwalczać „działania dezinformacyjne, kwestionujące realnie niskie koszty energii elektrycznej w Polsce”. Brzmi groźnie, ale kto i co kwestionuje? Można się domyślić, że chodzi o coraz częściej pojawiające się informacje, że hurtowe ceny energii są w Polsce jednymi z najwyższych w Europie. Czyli że prąd wytwarzany przez państwowe koncerny jest rekordowo drogi. „W lipcu 1 MWh (megawatogodzina) energii elektrycznej na rynku spot (z dostawą następnego dnia) kosztowała 342 zł w Niemczech i 551 zł w Polsce. Nigdy w historii różnica tych cen nie była aż tak niekorzystna dla Polski. Był to już kolejny miesiąc z rzędu, w którym energia elektryczna w bieżących dostawach była w Polsce najdroższa w Europie” – alarmuje Bartłomiej Derski z branżowego portalu WysokieNapiecie.pl.

Trudno uznać to za dezinformację, bo każdy może sprawdzić, jak kształtują się ceny na Towarowej Giełdzie Energii (TGE). Niektórzy eksperci przekonują jednak, że to może być mylące, gdyż transakcje spot zawierane na TGE między producentami energii a firmami nią handlującymi stanowią niewielką część rynku. Większość jest sprzedawana w ramach umów długoterminowych poza giełdą. Prąd, który dociera dziś do naszych domów, najczęściej kontraktowany był w ubiegłym roku albo wcześniej. Na rynku spot dystrybutorzy dokupują na bieżąco jedynie megawatogodziny brakujące do pokrycia zapotrzebowania albo upłynniają nadwyżki, jeśli popyt spada.

Ile tak naprawdę kosztuje energia? – *Ceny ustalają dziś politycy. Zniesienie obliża giełdowego sprawiło, że nie ma transparentnych mechanizmów zapewniających wszystkim odbiorcom informacje na temat tego, jaką jest rzeczywista cena energii* – wyjaśnia Grzegorz Onichimowski, twórca i pierwszy prezes Towarowej Giełdy Energii, a dziś ekspert Instytutu Obywatelskiego. Obliżenie giełdowe, czyli obowiązek sprzedaży energii za pośrednictwem Towarowej Giełdy Energii, był sposobem na wprowadzanie konkurencyjnych mechanizmów w handlu prądem. Pojawiło się w 2010 r. Oddzielono spółki handlowe od produkcyjnych, zakupów dokonywano w anonimowych transakcjach giełdowych, tak by nie dochodziło do skrytego przekładania pieniędzy z kieszeni do kieszeni między spółkami produkcyjnymi i handlowymi, wchodzącymi w skład tych samych koncernów energetycznych.

PiS z dużą nieufnością podchodzi do mechanizmów rynkowych, dlatego

najpierw zniósł obliżo, przekonując, że dzięki temu ceny spadną. Kiedy okazało się, że jest wręcz przeciwnie, obliżo przywrócono. W ubiegłym roku w ramach działań antykryzysowych znów obliżo zniesiono. Ponoć na żądanie górniczych związków, którym zależy, by elektrownie płaciły kopalniom za węgiel jak najwięcej.

– *Sądzę, że dziś rynkowa cena energii kształtuje się na poziomie 600–700 zł za megawatogodzinę. Decydują o tym wysokie ceny uprawnień do emisji CO₂ i zaskakująco drogi węgiel stanowiący podstawowe paliwo polskich elektrowni* – wyjaśnia Maciej Bando, były prezes Urzędu Regulacji Energetyki.

Groźny węgiel



Okazuje się, że krajowy węgiel, traktowany przez polityków jak świętość i okrzyknięty naszą polisą bezpieczeństwa energetycznego, jest dziś sprawcą poważnego zagrożenia dla polskiej gospodarki. Mimo transformacji energetycznej jego udział w wytwarzaniu prądu utrzymuje się na poziomie 70 proc. To za jego sprawą polski prąd tak drożeje i staje się dużo droższy niż u sąsiadów, co prowadzi do wzrostu jego importu. Bartłomiej Derski pisze: „Wszędzie, poza Polską, węgiel tanieje. Jego cena w lipcu w portach ARA [Amsterdam–Rotterdam–Antwerpia – red.] wyniosła 450 zł/t, a po sprowadzeniu tej stawki do poziomu kaloryczności polskiego węgla (niższej niż w ARA) węgiel w Europie sprzedawano już po 396 zł/t. W tym czasie indeks polskiego węgla – a więc paliwa wydobywanego w polskich kopalniach i dostarczanego polskim elektrowniom – osiągnął najwyższy poziom w historii: niemal 739 zł/t. Koszt wytworzenia prądu z polskiego węgla jest więc dziś o ok. 150 zł/MWh wyższy niż z węgla importowanego z Afryki czy Ameryki Południowej i przekracza nawet 330 zł/MWh”.

Ile więc kosztuje tania energia, o której przekonuje nas PGE? „Zgodnie z wyliczeniami rządu przedstawionymi w Programie Konwergencji z kwietnia 2023 r. koszt wszystkich działań osłonowych wyniósł w ub.r. 2,4 proc. PKB” – piszą eksperci NBP w prognozie inflacyjnej. W tym roku – ich zdaniem – łączna wartość rekompensat z tytułu regulacji taryf dotyczących gazu, węgla, energii cieplnej i elektrycznej pochłonie 1,7 proc. PKB. Eksperti OECD szacują ten wydatek na 2,35 proc. PKB, co sprawi, że Polska w 2023 r. będzie piąta pod względem interwencji na rynku energetycznym.

Szef PGE podkreśla, że tani prąd, z jakiego korzystamy, finansuje między innymi Polska Grupa Energetyczna, która przeznaczą na obniżenie rachunków Polaków aż 10 mld zł”. Oczywiście to nie filantropia, ale efekt wprowadzenia podatku od nadzwyczajnych zysków, jakie na kryzysowym wzroście cen osiągnęły wszystkie firmy energetyczne. Rozwiązanie, zwane składką solidarnościową, zostało zarekomendowane przez Unię Europejską jako źródło pieniędzy koniecznych do tymczasowego (do czerwca tego roku) wspierania wrażliwych odbiorców energii i paliw. W Polsce wydłużono działanie tego mechanizmu do końca roku, a środki trafiają na konto Funduszu Wypłaty Różnicy Ceny (FWRC).

PGE odprowadzi w 2023 r. na FWRC rzeczywiście 10 mld zł. Prezes Dąbrowski zapomniał jedynie dodać, że z tego samego funduszu PGE otrzyma rekompensatę za sprzedaż energii i paliw po obniżonej cenie, niewiele niższą od tej wpłaconej. W przypadku innych koncernów energetycznych te wypłaty będą nawet wyższe niż wpłaty. Orlen wpłaci 4,16 mld zł, a dostanie rekompensaty w sumie wysokości blisko 9 mld zł. Wygląda na to, że tylko Jastrzębska Spółka Węglowa, która w tym roku zapłaci 1,6 mld zł daniny solidarnościowej, nie może liczyć na refundację.

Skąd więc pochodzą pieniądze przeznaczane na subsydiowanie cen prądu? Idą one ze słynnego funduszu covidowego, a także ze sprzedaży przez rząd uprawnień do emisji CO₂. W 2021 r. handel uprawnieniami przyniósł 25 mld zł, w 2022 – 23 mld zł. Zgodnie z unijnymi regulacjami przynajmniej połowa tych pieniędzy powinna być przeznaczana

na inwestycje w transformację energetyczną, ale u nas tradycyjnie wpływy to traktowane są jako dochód budżetowy służący do łatania różnych dziur. A dziś wydawane są na subsydiowanie cen węglowego prądu.

Niebawem obciążenie budżetu wzrosło, gdy powstanie Narodowa Agencja Bezpieczeństwa Energetycznego (NABE). Wbrew nazwie to nie rządowa agencja, ale państwowa spółka, która odkupi od giełdowych koncernów energetycznych ich elektrownie węglowe i kopalnie (łącznie 70 bloków). Będzie prowadziła produkcję brudnej energii do czasu, gdy PGE i pozostałe grupy energetyczne, uwolnione od czarnego balastu, zapewnią nam wystarczającą ilość czystej i taniej energii z wiatru, słońca i atomu. Budżet będzie musiał sfinansować te zakupy, spłacić długie ciężące na węglowych elektrowniach, a potem łożyć na drogi węgiel i coraz droższe uprawnienia do emisji, które NABE musi zakupić. A potem sprzeda nam swój prąd. Ile za niego zapłacimy?

Marzenia prezesa



– Powstanie gigantyczny gracz rynkowy, faktyczny monopolista, dysponujący połową mocy wytwórczych, i to tylko węglowych. Będzie dyktował ceny, będziemy więc płacili więcej, a nie mniej – ocenia plany powołania NABE Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej. – To jest działanie antyrynkowe, mam nadzieję, że Komisja Europejska nie zaakceptuje tego pomysłu. Przecież samo stworzenie takiego podmiotu będzie wymagało zaangażowania miliardów złotych z kieszeni podatników. Nie obniży kosztów energii

i nie przyspieszy transformacji energetycznej realizowanej do tej pory efektywniej przez sektor prywatny.

Rządowa Tarcza Solidarnościowa, dzięki której „rachunki odbiorców są i pozostaną niskie”, będzie obowiązywać do końca tego roku. „Na 2024 r. zakładamy rezygnację z mrożenia cen energii i jednocześnie obniżkę cen taryfowych o ok. 10 proc., co przełoży się na wzrost przeciętnych cen dla gospodarstw domowych o ok. 40 proc. Niepewność dotycząca tego założenia jest jednak duża” – przewidują analitycy banku Santander. Think tank Forum Energii ocenia, że ceny energii mogą wzrosnąć o 80 proc.

Prezes Dąbrowski w ostatnich dniach sierpnia dociskany przez dziennikarzy pytaniami o to, czy w 2024 r. będzie kontynuowane zamrożenie cen prądu, tłumaczył, że to decyzja polityczna, a on politykiem nie jest. Nie chciał też odpowiedzieć, czy PGE wystąpi do prezesa URE z wnioskiem o podwyżkę taryfy na 2024 r. i jak dużą. Chętniej oddawał się marzeniom, opowiadając, jak podnosił PGE z upadku, do którego doprowadziła poprzednia władza i jak dzięki niemu dokona się wielka transformacja. PGE odejdzie od węgla i stanie się liderem energetyki odnawialnej. W ciągu najbliższych 10 lat zbuduje elektrownię jądrową, a do 2040 r. koncern całkowicie się zdekarbonizuje. Kilka dni później musiał połknąć własny język, by zachować stanowisko. Antywęglową retoryką zdenerwował górników i przstraszył polityków PiS, martwiących się bardziej o przyszłość polskiej elektroenergetyki. Do przykroj rzeczywistości wrócimy w listopadzie.

ADAM GRZESZAK

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

*Pobyty w terminach:
22.09 – 01.10 oraz 01.10 – 26.11.2023*

☃️ Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2023, Turnus Noworoczny 27.12.2023 - 03.01.2024 ☃️

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek



Dni można przeliczać na tony
wystrzeliwanego żelaza, krzyki rannych,
ciała zabitych. Front jest bezlitosny
– wywraca wszystko do góry nogami.



Mikroapokalipsy

O

gród. Kawa. Nalewka na wiśniach. Pszczoły. Zapach późnego lata. Gdyby nie huk ostrzałów, zgłiszcza szkoły, podziurawiona twarz Chrystusa, którą malował sam Ilia Repin, byłoby tu jak w bajce. Ale nie jest.

Wojna znów się zbliża do wsi Seńkowe w rozlewisku rzeki Oskil. W ogrodzie przy nalewce Witalij (kapłan), Mykoła (artysta malarz), Tatiana (nauczycielka) i Lara (wiedźma).

Wsluchują się z trwogą w nadlatujące pociski. Boją się, że Ruscy znów zajmą ich wieś.

– To realne? – pytam oficera sztabowego. Siedzimy przy kawie, rozmawiamy po starej znajomości. – *Tak, to możliwe, że przesuną się o kilka, kilkanaście kilometrów* – odpowiada. A wtedy wieś znajdzie się za liniami wroga. Sytuację na tamtym odcinku frontu nazywa „pewnego rodzaju anomalią”.

1 W okopach pod Bachmutem żołnierze postawili prysznic, kuchnie i toalety, w ziemiankach przyce i zbite z desek meble. Życie jest tu jednak dalekie od normalności.

2 Ojciec Witalij dopiero uczy się dzwonów seńkowskiej cerkwi. Wcześniej należała do Patriarchatu Moskiewskiego.

3 Kwatera w pobliskiej Konstantiniwce jest jak salon gier. Przed telewizorem można ćwiczyć sterowanie dronem.

4 Major Artem Hołodkiewicz to zawodowy wojskowy, artylerzysta. Wrócił na front po ciężkiej ranie – w wybuchu miny podczas walk pod Chersoniem stracił nogę.



jest trudna. Lokalne władze podjęły zaś decyzję o przymusowej ewakuacji okolicznych miejscowości.

Dzwony

Podczas narady w ogrodzie u malarza Mykoły wszyscy byli zgodni: nigdzie nie wyjeżdżamy. Każdy ma swoje powody. Tatiana przykutą do łóżka matkę. Witalij zostaje z parafianami. Lara ma gospodarstwo, no i ludzi, którzy do niej przychodzą, żeby zapytać o przyszłość. Mykoła uważa, że jakoś sobie poradzi. – *Niech mi dadzą broń* – żąda, unosząc kieliszek, chociaż nie wygląda na takiego, który potrafi strzelać.

Seńkowe najlepiej widać z dzwonnicy cerkwi Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Ojciec Witalij chętnie pokaże, dokąd sięgała woda, zanim wysadzono lokalną tamę na rzece Oskil. Gdzie mieszkał i łowił ryby słynny humorysta Ostap Wisznia. Jak wpa-dały odłamki, które zniszczyły fresk Repina. – *Tak, to ten słynny*

Ukraińcy tygodniami zapowiadali wielką letnią kontrofensywę. Ekspertsi uważali, że jej jedyny logiczny kierunek jest na Zaporoziu, w kierunku Morza Azowskiego, tak by wyizolować okupowany Krym. Mówiono o tym tak dużo, aż Rosjanie uznali, że to może być ściema. Spodziewali się uderzenia na północy. Albo tak jak zeszłej jesieni – na dwóch kierunkach jednocześnie. Żeby się zabezpieczyć, skoncentrowali część sił koło leżącego obok Seńkowego miasteczka Kupiańsk. – *A teraz nas tu atakują. Liczą, że będziemy musieli się cofnąć, a być może przetrzucić tu część jednostek z Zaporozia* – mówi oficer.

Wywiadowcze źródła twierdzą, że Rosjanie mogą dysponować w tym rejonie nawet 100 tys. żołnierzy. Nękają obrońców szturmami. „Wykorzystują do tego oddziały sformowane z więźniów” – informował gen. Oleksander Syrski. To dowódca ukraińskich sił lądowych, który niedawno wizytował te okolice. Nie krył, że sytuacja

Repin od „Burlaków na Woldze” i „Zaporozców piszących list...” wymalował naszą świątynię – podkreśla. – *Wojna już tam* – pokazuje w kierunku Kupiańska, na który spada pocisk za pociskiem. – *Zagrać na dzwonach?*

Gra smutno. Uczy się dopiero tych dzwonów. Świątynia też jest dla niego nowa. Należała do Patriarchatu Moskiewskiego. Poprzedni kapłan, który przed parafianami wychwalał ruski mir, uciekł na wschód. Więc z ojcem Leonidem (sąsiad z Kupiańska) jako reprezentanci Patriarchatu Kijowskiego przejęli osierocony chram.

– *Zrobiliśmy zebranie. Ludzie się pogodzili* – mówi Witalij. Dodaje, że oporu nie było, bo wierni dobrze wiedzą, co Rosjanie wyprawiają w Ukrainie. Trudno uwierzyć w ten zupełny brak oporu, ale msze odprawiane są już według nowego porządku.

Gdy dzwony cichną, wyraźniej słychać pomruk bliskiej wojny. ►

► Okupacja

Jeszcze niedawno całej wsi wydawało się, że wszystko, co najgorsze, już poza nią. Odwrót ukraińskich wojsk w lutym 2022 r., zaraz na początku inwazji. – *Nie bronili nas!* – mówi z żalem Mykoła. Odeszli bez paniki, zdążyli wysadzić most na skraju. Tatiana traktuje wszystkich ukraińskich żołnierzy jak nauczycielka uczniów. Pomaga im, matkuje, ale uważa, że powinni lepiej się przykładać do obowiązków. – *Most wysadzali trzy razy! Po trzecim wybuchu poszła taka fala, że uszkodzili mi dom. Czy nie mogli wysadzić raz, a dobrze?* – pyta.

Wojnę przeżywali każdy na swój sposób. Lara mierzyła ją wybitymi oknami i znękanymi sąsiadami, którzy przychodzili do jej domu po życiowe porady. To, że jest wioskową znachorką i „wiedźmą”, traktuje z przymrużeniem oka. Ale od obowiązków się nie wymawia.

Tania pierwszy raz widziała wojenną śmierć. Dwóch mężczyzn, trafionych przypadkowo rosyjskimi kulami, gasło na jej oczach w samym środku wsi. Mykoła prowadził pamiętnik, były tam głównie modlitwy za ukraińskich żołnierzy. Popołudniami łowił ryby i przerabiał na konserwy: – *Żeby nie brać pomocy humanitarnej od kaczupów.*

Ojciec Witalij konspirował. W partyzanckiej jacejce było ich trzech: Witalij, ojciec Leonid i Mykoła. Podziemna praca polegała na rozrzucaniu po wsi ulotek. Na kserografie odbijali druki okazjonalne, np. na dzień konstytucji. Oraz odnoszące się do konkretnych spraw: „Nie posyłajcie dzieci do rosyjskiej szkoły – tam zatrują im duszę”. Za takie działania groziły surowe kary – areszty i piwnice w Kupiańsku były zapełnione. Ludzie, którzy tam trafili, byli torturowani.

Wyzwolenie

Wieś została wyzwolona w czasie jesiennej kontrofensywy. – *Wzięliśmy Batakliję, potem atakowaliśmy dalej. Przeciwnik cofał się, doszliśmy aż za Kupiańsk. Umocniliśmy się* – mówi Dmitrij, oficer 3. brygady pancerniej.

Gdy ukraińscy żołnierze pojawili się we wsi, Tatiana rozplakała się i zaczęła gotować barszcz. Warzyła całą noc, a potem wyniosła przed dom cały garnek. Gdy odespała, poszła go szukać. – *Zjedliście barszcz? Oddawajcie garnek.* – Chyba nakarmiła pani kolegów z innego oddziału. Jaka to była brygada? Tatiana powiedziała, że brygada była ukraińska, a garnek ostatni, jaki miała: – *Szukajcie. Ja się stąd nie ruszam.* – Europa, Europa, zgłoś się. – *Zgłaszam się.* – *Oddawajcie garnek. Kobieta nie chce opuścić posterunku.*

Następnego dnia na dom Tatiany spadły pociski. Sąsiadka uważała, że to przez barszcz: – *Całą noc paliłaś światło i się doczekałaś. Tania wyciągała matkę spod gruzu. Potem bomba lotnicza uderzyła w szkołę.* – *Rosjanie myśleli, że w szkole zatrzymało się nasze wojsko. Dlatego zbombardowali wioskę* – mówi Tatiana, która wtedy pomyślała, że limit nieszczęść został już wyczerpany. I że od teraz będzie dobrze.

Wojna pozycyjna

Na razie Ukraińcy pod Kupiańskiem odpierają ataki. Rosjanie – według danych wywiadu wojskowego Ukrainy – musieli wprowadzić do walki jednostki 25. armii rezerwowej, dopiero co sformowanej, bez doświadczenia. Być może więc wszystko się unormuje? I będzie tak jak kilkadziesiąt kilometrów dalej, gdzie front jest nieruchawy.

Na przykład pod Kurdiumiwką, koło Bachmutu, od miesięcy zmieniło się niewiele. Artylerzyści z 28. brygady majora Artema Hołodkiewicza śmieją się, że żyją jak w kurorcie. W okopie, który zajmują od wiosny, postawili prysznice, kuchnie i toalety. W ziemiankach przyce. Zbite z desek meble. Przy łózkach zdjęciami

rodziny. Major Hołodkiewicz (zapałony historyk) mówi, że przypomina to trochę pierwszą wojnę światową: – *Oni wiedzą, gdzie jesteśmy my, my wiemy, gdzie są oni.*

Sens działań na tym odcinku polega na „ulepszaniu” pozycji. Wziąć zakręt na polnej drodze, dojść do linii drzew. Mówimy o celach odległych czasem zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Dzięki temu kleszcze wokół zajętego przez Rosjan Bachmutu powoli się zaciskają. Artyleria strzela celniej, drony dolatują pewniej, szturmowcy mają bliżej. W końcu pozycje ukraińskie będą tak dobre, że Bachmut zostanie odbity.

Hołodkiewicz to zawodowy wojskowy, artylerzysta. Wrócił na front po ciężkiej ranie – w wybuchu miny podczas walk pod Chersoniem stracił nogę. – *Bałem się, że nie będę mógł żyć normalnie, ale się udało* – mówi. Normalność dla niego to wojsko.

Ostrzał

Życie w okopach pod Bachmutem dalekie jest jednak od normalności. Dachy ziemianek zrobione są z wielkich drewnianych bali. Chronią przed odłamkami, ale nie przed bezpośrednim uderzeniem pocisku. Gdy zaczyna się ostrzał, można tylko słuchać tego, co dzieje się na górze. Na leżąco, siedząco, stojąco. To zupełnie bez znaczenia. Cisza. Wybuch. Cisza. Wybuch. Małe trzęsienia ziemi. Mikroapokalipsy.

Tamci znają się na rzeczy. Przyklejeni do celowników optycznych korygują kąty – pięć w lewo, dziesięć w prawo. Odległości. Tam strzał za strzałem. Tu wybuch za wybuchem. Blisko. Dalej. Dalej. Znow blisko. Wczoraj prawie trafili w mały skład pocisków 122 mm. Gdyby nie machnęli się o trzy metry, wszyscy obecni w okolicy byłiby już w niebie.

Znow wybuch. Nie przestają. Wszystko wokół pozycji wybebeszone. Świat wywrócony na drugą stronę. Drzewa, trawa, krzaki, oset, wszystko do góry nogami. Nawet woda. Walnęli w staw, ryby wypływały dziesiątkami. Martwe, ogłuszone.

Siedzę z żołnierzem na pryczy. Patrzę mu w oczy i rozumiem, że nie można się do tego przyzwyczaić. Można tylko nie okazywać strachu. Ale nie da się go nie odczuwać. – *Kim pan był przed wojną?* – *Spawaczem.* – *A cywile? Zostali tu jacyś?* – *Nie widziałem ich od miesięcy.*

Pewnie, że nie widział. 10 km w każdą stronę pustynia. Nikogo. Czasem stado zdziczałych kóz. Ptaki. Metal zardzewiały, zimny. Albo ostre, rozgrzane kawałki tego, co przyleciało przed chwilą. – *My w nich, oni w nas. Codziennie* – mówi wojak.

Drony

Wojna składa się z dźwięków. Huk tego, co wylatuje. I tego, co przylatuje. Świsł wszystkiego, co śmiga – wyżej albo niżej – nad głowami. Do tego drony. W powietrzu aż gęsto. Jedne lecą na stanowiska obserwacyjne. Inne wracają z nich, by wymienić baterie. Mkną drony kamikadze. I te niosące bomby.

Kiedyś drony były prywatną inicjatywą poszczególnych oddziałów. Żołnierze sami je kupowali, sami wykorzystywali. Wyższej rangi dowództwo mało to obchodziło. Teraz sprzęt wszedł na salony, doczekał się uznania generałów. Oficer o pseudonimie Krym z pododdziału zwiadowczego w 28. brygadzie: – *Dowództwo dostarcza nam drony. Jest nawet drukarka 3d do produkowania części zamiennych. Kolosalna zmiana.*

Kwaterna Kryma w pobliskiej Konstantiniwce jest jak salon gier. Żołnierz o pseudonimie Mim (w cywilu kładł płytki łazienkowe) siedzi przed telewizorem, ćwiczy sterowanie dronem. „Leci” po wirtualnym terenie starej fabryki, obserwuje z góry pędzący pociąg, wlatuje do hal przemysłowych. Na sąsiedniej ścianie ogromny monitor. Tu można zobaczyć, jak to, co ćwiczy Mim, wygląda w realu. Na podzielonym ekranie obraz z kilku dronów,



Dronów używa się też do przenoszenia granatów albo bomb robionych domowym sposobem. Startują z ręki, wprost z okopów, i wrzucają granaty do rosyjskich okopów.

które nieustannie wiszą w powietrzu nad linią frontu. – *Wypatrują ruchów przeciwnika. To podstawowe zadanie – tłumaczy Krym. Do innych należy wyszukiwanie celów dla artylerii i korygowanie ognia. Gdy pojawi się cel, jego namiary posyłane są do artylerzystów (np. tych od majora Hołodkiewicza).*

U Kryma jest jak w kinie. Słychać wymianę informacji w eterze. Wiadomo, w którym sektorze będzie się za chwilę działo. Krym powiększa obraz. Widać przesuwających się żołnierzy przeciwnika. Za chwilę wybuchy. Gdy opadnie kurz, będzie można dostrzec bezwładnie leżące ciała.

Drony potrafią sobie radzić bez artylerii. Same wyszukują cele do samobójczych ataków. Kpt. Cziczen z batalionu Ajdar przyznaje, że dźwięk drona go mrozi. Zna się dobrze na tym sprzęcie. – *Rozumiem, że jeśli to ich dron kamikadze i jeśli operator jest dobry, to nie mam szans. To jest koniec.*

Dronów używa się też do przenoszenia bomb robionych domowym sposobem. Ludzie Kryma konstruują je na bazie trotylu albo po prostu przyczepiają do drona granat. Ładunki mocowane są na spinacze biurowe i już razem startują z ręki, wprost z okopów. Wygląda to dość przerażająco. Śmiercionośna konstrukcja przez chwilę wisi nad własnym okopem. Podwieszona bomba się buja. Wyobraźnia podpowiada, że za chwilę może się oderwać i wybuchnąć. Drony jednak odlatują jeden po drugim. Wrzucają granaty do rosyjskich okopów.

Zmęczenie

W okopach zostali tylko ci, którzy chcą walczyć. Jurij, dowódca plutonu szturmowego (walczy od pierwszego dnia inwazji), mówi, że czas zmienił wszystko: – *Na początku ludzie byli gotowi płacić łapówkę, by dostać broń i iść na front. Teraz płacą, żeby się wymigać od wojny. Nie ma już ochotników. – To chyba źle? – Z mojego punktu widzenia dobrze. Potrzebni mi są ludzie zmotywowani. Strach mieć w oddziale kogoś, kto nie chce walczyć.*

Tylko skąd brać tych zmotywowanych? Jurij przyznaje, że niewiele z tych, z którymi zaczynał, nadal jest na froncie. Większość zginęła albo została ciężko ranna. Niektórzy trafili do szpitali psychiatrycznych. Jurij pokazuje film ze swoim wojakiem, który biegnie w samych gatkach i hełmie, ignorując ostrzał. Koledzy śmieją się z tego wyczynu. „Kim jesteś, żołnierzu!” – krzyczą do chłopaka. „Jam Kasper! Syn Mykoły”.

Jurij: – *Odesłaliśmy go na tyły. Jest w szpitalu psychiatrycznym. To niejedyny taki przypadek. We frontowych oddziałach, w porównaniu z latem zeszłego roku, widać jeszcze więcej determinacji. Ale także potworne zmęczenie. A być może początki frontowej demoralizacji.*

W Kramatorsku mimo prohibicji Dima (oficer zwiadu) polewa whisky spod stołu. Chciałby coś sprzedać. Nie broń, ale pamiątki po rosyjskich jeńcach. Dokumenty, naszywki. Może dodać zdjęcie żołnierza, do którego należały. I informacje, czy ciągle żyje. Dobra rzecz, dla kolekcjonerów. – *Z czasem to może zyskiwać na wartości – reklamuje. Długo rozmawiamy o jeńcach. – Staram się ich dobrze traktować. – Starasz się? – W miarę możliwości. O ile się słuchają. Jak mówię na kolana, to ma klęczeć. – A jak nie chce? – Uderzam go kluczem francuskim po nogach. To wojna. Ja wydaję rozkaz. On ma go wykonać i cieszyć się, że żyje.*

Przesącanie

Na południu ofensywa rozwija się powoli, ale ten kierunek jest niezmiennie priorytetem Ukraińców. Oficer sztabu: – *Oczywiście oczekiwania były zawyżone. Tygodniami zapowiadaliśmy ten atak. Wszyscy wyobrażali sobie, że przełamiemy linie przeciwnika i popędzimy na Krym. – Zapowiadanie ofensywy było błędem? – Było koniecznością. Wojsko zmęczone, społeczeństwo tak samo. Ofensywa była nadzieją: Przyjdzie lato, zwyciężymy.*

Moi rozmówcy przyznają, że podczas planowania operacji popełniono błędy. Główny polegał na tym, że większość zachodniego sprzętu poszła do nowych, niedoświadczonych jednostek. Oficer jednostki pancernej, która na front trafiła w marcu 2022 r.: – *Nam powiedzieli: Walczycie na T-72 [stare, radzieckie czołgi – przyp. red.], umiecie to robić i tak trzymać! W sumie miało to sens, bo przecież nie mogłem oddać swoich kierowców, żeby szkolili się na Abramsach, bo nikt nie zostałby na pierwszej linii. – Więc co poszło nie tak? – Nowe jednostki mimo dobrego wyposażenia często nie radziły sobie w warunkach bojowych. Mieliliśmy przypadki paniki, wjeżdżania całych oddziałów na pola minowe. Straciliśmy dużo sprzętu, zdobyliśmy niewiele terenu.*

Teraz taktyka jest inna. Ukraińcy chcą wykorzystać przewagę w artylerii. Zасыpują rosyjskie pozycje na Zaporozżu pociskami. Niszczą umocnienia i pola minowe. Potem ostrożnie przesuwiają piechotę i siły pancerne. – *Nazywamy to przesącaniem – mówi oficer sztabowy. Pierwsze efekty już widać. W kilku miejscach udało się przełamać rosyjskie linie.*

Strach

Sztabowcy liczą na efekt domina – może jeszcze kilka wyłomów i obrona się posypie. Wszystkie środki idą więc na południe. Na północy brakuje sprzętu, głód pocisków.

Tania boi się, że „jej” żołnierze mogą nie wytrzymać i znów się wycofają. Zostawia za plecami Seńkowe, jak rok temu. Wysadzą dopiero co odbudowany prowizorycznie most. Wszystko zaczyna się od nowa. Ktoś prosi Larę (– *Przecież jesteś wiedźmą*), żeby popatrzyła w przyszłość i jasno powiedziała, czy Ruscy tu wrócą. – *Ja tego nie potrafię przepowiedzieć. Ale wydaje mi się, że nie wrócą – oznajmia Lara, odgarniając siwe włosy. Mówi to tak smutno, niepewnie, że wszyscy milkną, a Tatiana zaczyna płakać.*

TEKST I FOTOGRAFIE PAWEŁ RESZKA

Przestarzałe dusze

Amerykańska prawica ma nowego idola z gitarą i znów próbuje zrobić z muzyki country swój polityczny oręż. Ale to jej się nie udaje od czasów Nixona.

MARIUSZ ZAWADZKI



Oliver Anthony

Sprzedawałem moją duszę robiąc nadgodziny, całymi dniami, za żalosną pensję” – śpiewa nowy bard prowincjonalnej Ameryki, niejaki Oliver Anthony ze stanu Wirginia, były robotnik w fabryce papieru.

Z nagrania, które na YouTube ma już ponad 65 mln wyświetleń, przebija prostota i minimalizm. Trochę zwalisty facet w T-shircie, z gęstą rudą brodą, trzyma gitarę i przejmująco śpiewa o „nowym świecie”, w którym nie potrafią się odnaleźć „przestarzałe dusze”, takie jak on sam: zarobione, nieszczęśliwe, uciekające w narkotyki i alkohol, nadmierne opodatkowane i w ogóle na każdym kroku wykorzystywane przez „bogacth ludzi na północ od Richmond” (czyli w Waszyngtonie).

Wszystko nagrał i 8 sierpnia wrzucił na YouTube znajomy, który okazjonalnie pomaga młodym, nieznanym artystom. Wcześniej Anthony nagrywał swoje piosenki sam, telefonem komórkowym.

„Bogaci ludzie na północ od Richmond” („Rich men north of Richmond”)

w kilkanaście dni przebili się na pierwsze miejsce na liście przebojów Billboard Hot 100, zostawiając w tyle Drake’a, Taylor Swift, Beyoncé i wszystkich innych. Co prawda w połowie września spadła o kilka pozycji, ale nadal utrzymuje się w czubie rankingu.

Jest też odtwarzana na wiecach wyborczych republikańskich kandydatów na prezydenta. Rozprawiano o niej w telewizji Fox News podczas pierwszej debaty prezydenckiej, na którą Donald Trump się nie stawił. Jego obecni na scenie rywale zgodnie stwierdzili, że „Bogaci ludzie...” są „hymnem zapomnianej Ameryki” i miażdżącym podsumowaniem rządów prezydenta Joe Bidena.

Ten entuzjazm prawicy jest poniekąd zrozumiały, bo muzyka country – a do tego nurtu zalicza się Oliver Anthony – promuje konserwatywne wartości. Niektórzy uważają jednak, że przekaz polityczny nie jest największym atutem tego utworu, tylko autentyczność wykonawcy, który nie ukończył liceum, ma 31 lat, żonę, pickupa z przebiegiem pół miliona kilometrów i 40 ha pola przy

lesie, które kilka lat temu kupił na kredyt za niecałe 100 tys. dol. Na tym polu stoi stara przyczepa kampingowa, w której mieszkają z żoną.

„Współczesny świat tonie w sztuczności. Wszystko dookoła jest fałszywe i udawane. Facet z gitarą, który otwiera przed nami swoje serce, jest prawdziwy” – mówi Matt Walsh, czołowy komentator konserwatywnego portalu Daily Wire.

Otyli doją

W słowach Walsh jest wiele prawdy, ale nie cała. Paradoksalnie, o oszałamiającym sukcesie piosenki nie przesądziło to, co w niej najlepsze – dobra muzyka, autentyczność i charyzma wykonawcy – tylko to, co jest w niej kontrowersyjne.

„Szkoda, że politycy nie zajmują się górnikami, tylko nieletnimi na wyspie daleko stąd” – śpiewa Anthony. To aluzja do Jeffrey Epsteina, multimilionera, który kupił wysepkę na Karaibach i prywatnym odrzutowcem zwoził tam nieletnie dziewczęta. Po aresztowaniu w 2018 r. popełnił samobójstwo w celi. Ale na skrajnie prawicowych portalach zawyroковано,



Jason Aldean

że wcale się nie powiesił, tylko „został uduszony na zlecenie pedofilskich polityków lewicy, których zapraszał do wspólnej zabawy na wyspie”.

Jeszcze bardziej problematyczny jest inny fragment piosenki: „Boże! Ludzie żyją na ulicy i nie mają co jeść. Tymczasem otyli doją opiekę społeczną/Na Boga, jeśli masz 160 cm i ważysz 140 kilo, to nie powinieneś kupować worków pełnych ciasteczek Fudge za pieniądze z naszych podatków”.

Okrągłe ciasteczka Fudge są faktycznie bardzo popularne i można je kupować za bony żywnościowe dla biednych, tzw. *food stamps*. Rząd federalny funduje je ponad 22 mln amerykańskich rodzin, czyli 13 proc. populacji. Kwoty doładowań to ok. 250 dol. miesięcznie na osobę.

Konserwatyści powtarzają, że te programy pomocowe są nadużywane przez cwaniaków, a co gorsza, „tworzą” ludzi uzależnionych i biernych. W mediach prawicowych często powtarzają się lamenty, że „ktos w supermarkecie wydawał *food stamps* na ciastka, niezdrowe napoje gazowane typu coca-cola albo na krewetki”.

Jeśli idzie o konflikt interesów „otyli kontra biedni”, jest on akurat całkowicie wydumany. Z tej prostej przyczyny, że w Ameryce otyli równa się biedni. Nadwaga idzie w parze z ubóstwem, ponieważ zdrowa żywność jest bardzo

droga. Dziesiątki milionów ludzi kupują wyłącznie smięciowe jedzenie, *junk food*, i mogą sobie tylko popatrzeć na kuszące piramidy dorodnych owoców roztawiane w lepszych, „organicznych” sklepach.

Liberalni dziennikarze i komentatorzy zawyrokowali więc, że Oliver Anthony powtarza teorie spiskowe i szydzi z otyłych, biednych rodaków. Ma to podtekst rasistowski, bo w Ameryce biedni są najczęściej czarni. Niektórzy porównywali „Bogatych ludzi...” do ulubionej piosenki prezydenta Richarda Nixona, czyli „Welfare cadillac” (Cadillac z opieki społecznej). Co ciekawe, historia tej piosenki – również z gatunku country – jest podobna. Wykonywał ją niejaki Guy Drake, który też był zupełnie nieznany i niespodziewanie wskoczył na listy przebojów. Różnił się od Anthony’ego tym, że w ogóle nie umiał śpiewać. „Welfare cadillac” to melorecytacja do melodii country.

Piosenka opowiada o wielodzietnej, mieszkającej w ruderze rodzinie, która za pieniądze z opieki społecznej kupiła sobie nowiutkiego, błyszczącego cadillaca (czyli luksusowe auto). Ojciec co miesiąc jeździ tym cadillakiem po kolejne czeki do ośrodka pomocy społecznej, a co srode – po paczki z darmową żywnością. Jedyne zmartwienie rodziny jest takie, że oderwane przez wiatr fragmenty papy z dachu porysują cadillaca. Niecierpliwie

czekają na kolejne programy pomocy dla biednych.

Nie przypadkiem więc, kiedy w kwietniu 1970 r. republikanin Nixon zaprosił do Białego Domu Johnny’ego Casha, wówczas największego gwiazdora country, poprosił go o zaśpiewanie trzech piosenek – w tym właśnie „Welfare cadillac”. Nie była to zachcianka podyktowana li tylko osobistymi upodobaniami prezydenta. Za zaproszeniem i za muzyczną listą życzeń stała wielka polityka.

Milcząca większość

Muzyka country, która wykrystalizowała się z amerykańskiego folku w latach 40. ubiegłego wieku, na początku nie była jednoznacznie konserwatywna. Najlepszym tego dowodem jest sam zmarły w 2003 r. Cash, który w piosence „Mężczyzna w czerni” wyśpiewał swoje credo i jednocześnie przyczynę, dla której zawsze na scenie występował w czerni.

„Ubieram czerni dla biednych i przegranych, żyjących bez nadziei w głodnej części miasta/dla więźnia, który dawno temu spłacił swoje winy, ale dalej siedzi bo jest ofiarą naszych czasów/dla ludzi, którzy nigdy nie poznali Jezusa/dla lekkomyślnych, którzy zaliczyli bad tripa [złe doświadczenia z narkotykami – przyp. red.] i drżą w chłodzie/dla tysięcy, którzy zginęli, wierząc, że Bóg był po ich stronie/dla tysięcy, którzy zginęli, wierząc, że my wszyscy byliśmy po ich stronie”.

Cash był trudny do zaszufadkowania i niesterowalny. Pacyfiści nigdy nie darowali mu, że jednoznacznie nie potępił wojny w Wietnamie. Z drugiej strony był żarliwym obrońcą więźniów, co wystarczyłoby, żeby dzisiejsi konserwatyści spod znaku Trumpa go przekleślili. Amerykańska prawica od kilku dekad – poczynając od Nixona – szczyci się brakiem pobłażania dla przestępców, czego efektem jest najwyższy wskaźnik inkarceracji na świecie i prawie 2 mln ludzi za kratkami.

Inna, jeszcze bardziej kontrowersyjna, kruczata Casha została odrzucona nawet przez jego fanów. W 1964 r. nagrał album „Gorzkie łzy – ballady o amerykańskich Indianach”, w którym śpiewał o tym, jak rdzenni mieszkańcy Ameryki byli prześladowani i spychani do rezerwatów, w których żyją bez pracy i nadziei, pogrążeni w alkoholizmie. Wytwórnia Columbia musiała wydać ten album, bo miała z Cashem długoterminowy kontrakt. Ale zrobiła to niechętnie, bez żadnej promocji. Rozgłośnie country w całej Ameryce (do dziś są ich tysiące!) nie chciały puszczać ballad o Indianach, bo słuchacze dzwonili z protestami. ▶

► To m.in. kariera Casha sprawiła, że do dziś stolicą muzyki country jest Nashville w stanie Tennessee, czyli relatywnie biedne Południe, które nie zawsze było takie jak teraz – konserwatywne i republikańskie. W pierwszej połowie XX w. stanowiło bastion Demokratów. Murem głosowało za Rooseveltem, Trumanem i Kennedym. Dopiero burzliwe lata 60. – kiedy czarni domagali się równych praw, młodzież protestowała przeciwko wojnie w Wietnamie, a na koncertach królowała wolna miłość i zakazane używki – stały się dla Republikanów okazją, żeby to zmienić.

W małym mieście

W 1969 r. prezydent Nixon wygłosił słynne przemówienie o „milczącej większości”, czyli o spokojnych, uczciwych obywatelach, którzy popierają ład, porządek i wojnę w Wietnamie. W odróżnieniu od „hałaśliwej mniejszości”, czyli zbudowanej młodzieży, pacyfistów, demonstrantów, hipisów i innych fanów kontrkultury. Słusznie przewidywał, że muzycy country mogą być cennymi sojusznikami w tej politycznej, pokoleniowej i kulturowej wojnie. Większość z nich promowała tradycyjne wartości, takie jak rodzina, patriotyzm, Bóg, karabin, porządek, surowa sprawiedliwość i samodzielność. Stąd pomysł, żeby zaprosić do Białego Domu Casha.

Obok „Welfare cadillac” Nixon poprosił go również, aby zaśpiewał „Okie from Muskogee” (Okie to w slangu mieszkaniac Oklahomy, a Muskogee to małe miasteczko w tym stanie). Napisana przez Merle Haggarda, opowiada o milczącej większości: „Nie palimy marihuany w Muskogee/ Nie palimy kart poboru do wojska na głównej ulicy/Nasze włosy nie są długie i poszarpane jak u hipisów z San Francisco/Na placach miasta wyprawiamy bale taneczne/Na budynku sądu dumnie powiewa flaga narodowa” (Haggard, który sam nie stronił od narkotyków, wyjaśniał kilka lat później, że piosenka była parodią).

Wieczór country w Białym Domu nie wypadł najlepiej. Cash odmówił wykonania cudzych piosenek. Zaśpiewał kilka swoich, w tym „Balladę o Irze Hayesie” (z płyty o Indianach). Opowiada ona o bohaterze wojennym z plemienia Pima – jednym z sześciu żołnierzy marines, którzy zatknęli amerykańską flagę na wyspie Iwo Jima. Zdjęcie z tego wydarzenia to jedna z najbardziej znanych fotografii wojennych. Po wojnie Ira Hayes wrócił do rezerwatu, wpadł w depresję, rozpił się i umarł w wieku 32 lat. Ameryka o nim zapomniała.

W kolejnych dekadach sojusz Republikanów z country nieco się rozluźnił. Z jednej strony opadła temperatura debaty politycznej w USA, a z drugiej – country stało się wielkim biznesem. Wiele gwiazd wręcz stroniło od polityki – jak np. Dolly Parton. „Szanuję swoją publiczność. Oczywiście mam poglądy, ale nie zamierzam się z nimi nikomu narzucać, bo wkurzyłabym połowę moich słuchaczy” – wyjaśniała królowa country w rozmowie z „New York Timesem”.

Dzisiaj już mało kto pisze teksty swoich piosenek. Tematy narzucane przez wielkie wytwórnie są niekontrowersyjne i nastawione na przyciągnięcie jak największej liczby słuchaczy: o niezawodnych pickupach z napędem na cztery koła, strzelbach, sercowych perypetiach, imprezach przy zimnym piwku i blond dziewczynach w kowbojkach. Muzyka też stała się generyczna, jakby tworzona przez sztuczną inteligencję, która miksuje elementy popu, rocka i country.

Tylko czasami w tej machinie coś się zacina. Tak było wiosną z piosenką „Try that in a small town” (Spróbuj tego w małym mieście), którą śpiewa Jason Aldean: „Przywalić komuś, kto idzie po chodniku/ obrabować staruszkę w aucie na czerwonych światłach/grozić pistoletem właścicielowi sklepu z alkoholem/myślisz, że to jest cool?/zwyzywać policjanta i napluć mu na twarz/zdeptać flagę i ją podpalić/myślisz, że jesteś twardziellem?/spróbuj tego wszystkiego w małym miasteczku/a zobaczymy jak daleko zajdziesz/my tutaj potrafimy pilnować porządku”.

Początkowo piosenka – muzycznie nieciekawka i monotonna – przeszła niezauważona. Jedynie złośliwcy z branży wytykali, że Aldean nigdy nie mieszkał w małym miasteczku. Zamieszanie wokół niej zrobiło się dopiero latem, kiedy wypuszczono teledysk. Migawki z demonstracji czarnoskórych Amerykanów przeciwko brutalności policji mieszają się w nim z nagraniami z rabunkowych napadów. Aldean pojawia się w teledysku przed budynkiem sądu w miasteczku Columbia w stanie Tennessee, czyli dokładnie tam, gdzie w 1946 r. tłum białych zlinczował czarnoskórego chłopaka podejrzanego o gwałt – choć ofiara gwałtu go nie rozpoznała.

Natychmiast padły oskarżenia o rasizm, pochwałę samosądów i zrównywanie demonstrantów z przestępcami. Country Music Television zdjęła teledysk z anteny. Wtedy wybuchło pospolite ruszenie prawicy w internecie. Konserwatywni komentatorzy i celebryci desperacko

rozsyłali linki do teledysku i apelowali do swoich fanów, żeby w geście solidarności kupowali piosenkę na iTunes. Taka forma słuchania muzyki była w modzie 15 lat temu, ale zakupy na iTunes – 99 centów za piosenkę – wciąż są brane pod uwagę w rankingach Billboardu.

Akcja zakończyła się triumfem: beznadziejna piosenka Aldeana wskoczyła na pierwsze miejsce Billboard Hot 100. Utrzymała się tam przez tydzień, a potem poleciała w dół o 20 pozycji (co potwierdza, że ranking był sztucznie napompowany). Ale awantura pokazała, że muzyka country znowu – tak jak za czasów Nixona – staje się ważną bronią polityczną. Dlaczego? Być może Ameryka w czasach Trumpa jest już prawie tak rozchwiana emocjonalnie jak w latach 60.

Piosenki do serc

Potwierdzeniem tego może być kariera „Bogatych ludzi na północ od Richmond”. Piosenkę Olivera Anthony’ego również intensywnie promowali w internecie pracownicy aktywiści i influencerzy, tacy jak wspomniany na początku Matt Walsh. Ale potem wzrost popularności stał się już organiczny. Co ciekawe, fenomen nie ogranicza się do Ameryki. Według Billboardu pod koniec sierpnia „Bogaci ludzie...” byli drugą najbardziej słuchaną piosenką na całej kuli ziemskiej!

Jeśli idzie o samego Olivera Anthony’ego, szybko okazało się jednak, że zaplątał się w polityczną awanturę zupełnie przypadkowo. Ostatnio wrzucił na YouTube komentarz, który wielu prawicowych fanów musiał poważnie rozczarować.

„Zabawnie było oglądać moją piosenkę na debacie prezydenckiej. Ona nie ma nic wspólnego z Joe Bidenem, rozumiecie? Temat jest znacznie większy i szerszy niż Biden. Piosenka została napisana o ludziach, którzy stali tam podczas debaty na scenie. Nie tylko o nich, ale między innymi o nich. (...) Konserwatyści próbują się przede mną podczepić; sugerują, że jestem jednym z nich i rzekomo walczymy we wspólnej sprawie. Tymczasem lewica próbuje mnie zdyskredytować”.

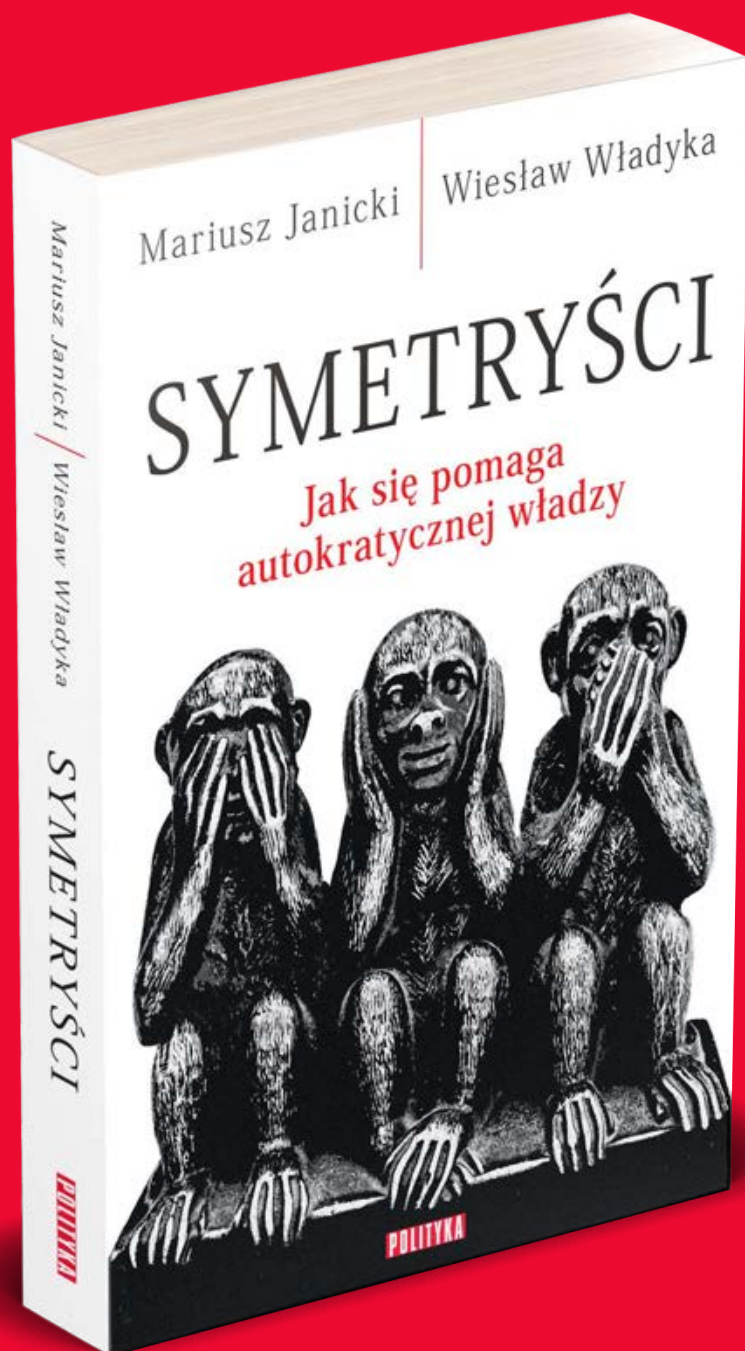
Dostaje się też przemysłowi muzycznemu: „Ludzie z branży patrzą z niedowierzaniem, kiedy odrzucam ofertę 8 mln dol. za kontrakt. Nie potrzebuję sześciu autobusów koncertowych i odzrutowca. Nie będę śpiewał na stadionach. Piszę muzykę, bo cierpiałem na depresję i miałem problemy psychiczne. Moje piosenki trafiły do serc milionów ludzi, bo są śpiewane przez kogoś, kto czuje to, co śpiewa”.

MARIUSZ ZAWADZKI

„Nie straszcie PiS-em”

„PiS-PO – jedno zło”

„Opozycja nie ma programu”



Analiza zjawiska symetryzmu dokonana przez autorów tego pojęcia

Nowa książka Mariusza Janickiego i Wiesława Władyki, zawierająca niepublikowany wcześniej materiał

Książka dostępna w księgarniach, na sklep.polityka.pl oraz jako e-book.



Król Muhammad VI oraz jego syn, książę Maulaj Hassan
(po lewej w żółtym stroju).

To pytanie zadawało sobie wielu Marokańczyków, którzy ucierpieli w niedawnym trzęsieniu ziemi. Wciąż nieobecny Muhammad VI to wyjątkowy przypadek wypalenia zawodowego.

ŁUKASZ WÓJCIK

Gdzie jest król?

W Maroku wizerunek króla jest wszędzie – w zakładach fryzjerskich, kafejkach internetowych i oczywiście na banknotach. Tylko samego króla przeważnie w Maroku nie ma. Tradycyjnie już miesiącami bawi za granicą, głównie we Francji i Gabonie, czasem na Seszelach. Na opozycyjnych blogach, z obawy o uwięzienie również pisanych z zagranicy, powtarza się informacja, że Muhammad VI poza krajem przebywa co najmniej 200 dni w roku.

9 września był właśnie jednym z takich dni. Niedługo przed północą ziemia zatrzęsała się w południowo-zachodnim Maroku z siłą 6,8 w skali Richtera. Kraj ten nie przeżył podobnego wstrząsu od ponad 100 lat, a do porównywalnej tragedii doszło w 1960 r., gdy w gruzy zamienił się Agadir. Tym razem epicentrum było daleko na wschód, w niedostępnych górach Atlas. Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, liczba ofiar zbliżała się do 3 tys. Liczba zaginionych jest w zasadzie nieznana, ale w marokańskich mediach

społecznościowych przewijają się liczby od 30 tys. wzwyż.

Zanim jeszcze król się znalazł, pomoc w akcji ratunkowej zadeklarowało ponad 60 państw. Ostatecznie wpuszczono ratowników i sprzęt tylko z czerech krajów – z Hiszpanii, Kataru, Wielkiej Brytanii i Zjednoczonych Emiratów Arabskich (stan na 15 września). Rabat natomiast odrzucił, a w zasadzie przemilczał oferty pomocy m.in. z Niemiec i Francji, swojej byłej metropolii kolonialnej. W końcu zaoferowała się nawet Algieria, z którą Maroko generalnie ma na pieńku – otworzyła przestrzeń powietrzną dla samolotów z pomocą dla sąsiada i zadeklarowała 80 ratowników. Rabat po dwóch dniach milczenia odrzucił również tę propozycję.

Rozdwojenie jaźni

Z dalszymi decyzjami wszyscy jednak czekali na króla. Gdy pod Marokiem zatrzęsała się ziemia, od ponad tygodnia był w Paryżu, gdzie ma mieszkanie przy Polu Marsowym w pobliżu wieży Eiffla (i zamek na północ od Paryża). Dwa dni później był już w Rabacie. Ubrany w tradycyjną

galabiję i fez, przewodniczył sztabowi kryzysowemu. Tę scenkę pokazywały w zapętleniu wszystkie marokańskie telewizje – bez dźwięku, ale za to z komunikatem, że „Jego Królewska Mość wydał instrukcje”. Król pojawił się jeszcze w szpitalu, gdzie wyraźnie spięty całował ranne dzieci i oddał krew.

– *Maroko od dawna choruje na rozdwojenie jaźni. Z jednej strony to państwo miesiącami obchodzi się bez swojego władcy. Z drugiej, gdy stanie się coś nieprzewidzianego w urzędniczych procedurach, nikt palcem nie kiwnie w oczekiwaniu na monarchę* – komentuje Monia Bennani-Chraïbi, politolożka z Uniwersytetu Lozańskiego. I przypomina, że podobnie wyglądała sytuacja po trzęsieniu z 2004 r. w prowincji Al-Husajma nad Morzem Śródziemnym. – *Tam też służby państwowe przez cztery dni nie zrobiły nic, aż do przyjazdu króla.*

To rozdwojenie jaźni widać też w codziennej praktyce. Teoretycznie Maroko jest monarchią konstytucyjną. Ale rząd jest tylko egzekutorem woli monarchy i jednocześnie buforem przyjmującym

na siebie społeczne niezadowolenie wywołane przez jego decyzje. Bez króla nie można otworzyć żadnej nowej drogi, banku czy szpitala. Zagraniczni dyplomaci miesiącami czekają na przyjęcie ich listów uwierzytelniających. A gdy król wyjeżdża, często zapowiada urzędnikom, aby nie zwracali mu głowy codziennymi briefingami.

Jednocześnie, jak na swój region, 34-milionowe Maroko ma silne struktury państwowe i jedną z lepszych biurokracji w okolicy (to spadek po Francuzach, ale lepiej tego nie wypominać). Marokańscy lubią chwalić się, że ich monarchia jest jedną z najstarszych na świecie, ponieważ sięga korzeniami VIII w., a obecna dynastia Alawitów rządzi nieprzerwanie od XVII w. (Muhammad jest 23. królem z tej rodziny). Dumnie porównują się z innymi, dużo młodszymi monarchiami bliskowschodnimi, jak jordańska czy saudyjska. Przy czym, jak mówi Bennani-Chraïbi, marokańskie królestwo tym się różni od wyżej wymienionych, że już dawno nauczyło się żyć w zasadzie bez króla.

Z daleka i bez głosu

Muhammada VI nie było prawie od początku. Ten 60-letni już monarcha miał trudne dzieciństwo z apodyktycznym ojcem, królem Hassanem II. Podobno wcale nie chciał być monarchą. Szczególnie takim jak jego ojciec, który często rządził krajem – jak to mówią Marokańczycy – przy pomocy ołowiu.

Po koronacji w 1999 r. obwołano go „królem biednych” – to wtedy powstała legenda monarchy bliskiego poddanym, który potrafił wejść w tłum i ścisnąć się z ludźmi. Gesty gestami, ale jego prywatną fortunę ocenia się na ponad 5 mld dol., co daje mu tytuł najbogatszego człowieka w kraju i piątego najbogatszego monarchy na świecie. Muhammad VI przez swój holding kontroluje m.in. największe marokańskie banki, towarzystwa ubezpieczeniowe i firmy telekomunikacyjne.

Zapowiadał się na wielkiego reformatora. Krótko po objęciu tronu pozwałniał więźniów politycznych i po ciężkich sporach z duchownymi zliberalizował prawo rodzinne, m.in. podnosząc minimalny wiek małżeński z 15 do 18 lat. Kobietom przyznał prawo do rozwodu, a pierwszym żonom – decyzję, czy ich mąż może sobie wziąć kolejną.

Za rządów Muhammada VI – albo, jak mówią niektórzy krytycy: wbrew jego rządowi – Maroko stało się oazą stabilności i dobrobytu, szczególnie na tle afrykańskich sąsiadów. Zbudowało silną, opartą na przemyśle gospodarkę i rozwinęło

turystykę. Królestwo zyskało miano zaufanego partnera USA i Europy w sprawach bezpieczeństwa i zwalczania terroryzmu. Król niemal bez szkód przeszedł okres tzw. arabskiej wiosny. Gdy ta obalała kolejne rządy w regionie, zgodził się na pozorne ustępstwa: zaproponował nową konstytucję, wpiął do systemu władzy rodzącą się partię islamistyczną, a gdy ta – ograniczona przez króla i biurokrację – nie była w stanie spełnić obietnic danych wyborcom, monarcha rozmontował ją, wsadzając liderów za kratki lub wypychając ich z kraju.

Po kilku latach sam jednak dobrowolnie ruszył w ślad za nimi. Tzn. regularnie przypominał poddanym o swoim istnieniu, ale tylko z daleka i bez głosu. Muhammad zaczął unikać królewskiego blichtru, wymawiał się od oficjalnych uroczystości i publicznych rytuałów, nie był na królewskich ślubach i pogrzebach, a na międzynarodowych konferencjach zdarzało mu się drzemać.

Z monarchicznego punktu widzenia nie można mu było wiele zarzucić. Znalazł sobie żonę, co prawda z plebsu, ale Marokańczycy odebrali to jako kolejny dowód na normalność monarchy. Spłodził z nią syna, księcia Maulaję Hassana, następcę tronu (ma jeszcze córkę Lallę). A potem wyjechał na z rzadka przerywane zagraniczne wakacje.

Niektórzy tłumaczą to „robieniem miejsca” dla 20-letniego syna. Mają ponoć dobrą relację, książę często towarzyszy królowi w oficjalnych spotkaniach, siadając po jego prawej stronie i... milcząc. Odkąd jednak rodzice są w separacji, książę Maulaj nie mieszka w pałacu, tylko z matką w Rabacie i studiuje na miejscowej politechnice.

Mówi się, że następcą tronu ma zupełnie innych charakter niż ojciec – bardzo przypomina swojego władczygo dziadka. Na TikToku można do woli przeglądać amatorskie analizy porównawcze między królem Hassanem i jego wnuczkami. Poddanym składa się wszystko: wizerunek, charakter, nawet oczy. – *Trudno nie odebrać tego jako tęsknoty za silną osobowością, za „prawdziwym” królem* – mówi Intissar Fakir, szefowa działu północnoafrykańskiego w waszyngtońskim Middle East Institute. – *Tyle że to wszystko projekcje, bo o księciu niewiele wiadomo. Dlatego ten tiktokowy entuzjazm wokół następcy tronu więcej mówi o problemie Marokańczyków z obecnym królem.*

Problem rozlał się na dobre tej wiosny, gdy zagraniczna prasa opublikowała teksty o niejasnej relacji króla z braćmi Azaitar, Niemcami marokańskiego

pochodzenia i mistrzami mieszanych sztuk walki. Cała trójka (w tym bliźnięcie) urodziła się i wychowała na przedmieściach Kolonii, dokąd ich ojciec przybył z północnego Maroka. Od młodych lat uczestniczyli w ulicznych bijatykach, wymuszali długi, handlowali narkotykami. Abu Bakr w 2004 r. został skazany na dwa lata więzienia za współudział w ataku na pewnego biznesmena – oblali go benzyną do zapalniczek i ukradli mu Ferrari. Później jeszcze raz trafił za kratki za dotkliwie pobicie swojej dziewczyny.

Z takim doświadczeniem Abu Bakr i jego bliźniak Ottman trafili do kick-boxingu, a potem do mieszanych sztuk walki (trzeci brat został także menedżerem). Po szybkich sukcesach rodzeństwo zaczęło się obracać w celebryckich kręgach, a jeden z ich nowych znajomych – zresztą producent Lady Gagi – przedstawił ich królowi Maroka.

Królewscy bracia

Bracia Azaitar weszli do królewskiego pałacu jako „trenerzy osobiści”. Monarcha obsypał ich подарunkami, m.in. ziemią wokół stolicy i miejscem na grób ich matki wewnątrz kompleksu pałacowego. Mogą też latać wojskowymi samolotami i wydawać polecenia najwyższym urzędnikom, oficjalnie przekazując tylko królewskie polecenia. W ostatnich latach Muhammad zaczął przydzielać im ważne funkcje, np. nadzorowanie Sahary Zachodniej, spornego terytorium, które Maroko uważa za swoje. Bracia Azaitar stali się odźwiernymi króla. Ograniczyli dostęp do niego nawet królewskiej rodzinie.

– *Królowi najwyraźniej imponują takie postaci. Lubi ludzi, którzy postawili się systemowi – chyba on też by tak chciał.* Przy nich wyraźnie się relaksuje – mówi Monia Bennani-Chraïbi.

Bracia Azaitar, wszyscy przed czterdziestką, wykorzystują tę niestandardową relację przy każdej okazji. W mediach społecznościowych chwalą się swoją znajomością z królem, co do furii doprowadza starą biurokrację. Pozakładali w Maroku biznesy, których nazwy sugerują królewski patronat – choćby „Royal Burger” czy „Royal Donut”.

Po ostatnim trzęsieniu ziemi eksperci od marokańskiej monarchii od razu wychwycili, że na początku września jeden z braci zamieszcił na Instagramie zdjęcie wieży Eiffla z miejsca, które jest tuż obok królewskiego mieszkania. Marokańskie media społecznościowe aż huczą, że bracia zajmą się teraz odbudową zniszczonych przez trzęsienie ziemi terenów. A przy okazji zbudują gigantyczny kompleks turystyczny w górach Atlas. ■

Paleopatologie

Infekcje, nowotwory, deformacje zębów, złamania kości, zapalenia stawów, awitaminozy – to tylko niektóre z chorób, jakie diagnozuje się u zwierząt z ery dinozaurów.

C

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

i pacjenci nie żyją od dawna. Niektórzy nawet od dziesiątek, a czasem i setek milionów lat. Takie na przykład dinozaury drapieżne – najwięksi lądowi mięsożercy wszech czasów, postrachy ery mezozoicznej. U tyranozaura wykryto infekcję stóp, która prawdopodobnie wdała się po pęknięciu lub złamaniu kości w nodze. Allozaur z kolei cierpiał na zapalenie szpiku kości udowej, które doprowadziło do patologicznego rozrostu w kształcie kalafiora. Kilka T-rexów miało problemy z uzębieniem, w tym deformacje rozwojowe, złamania oraz liczne ubytki.

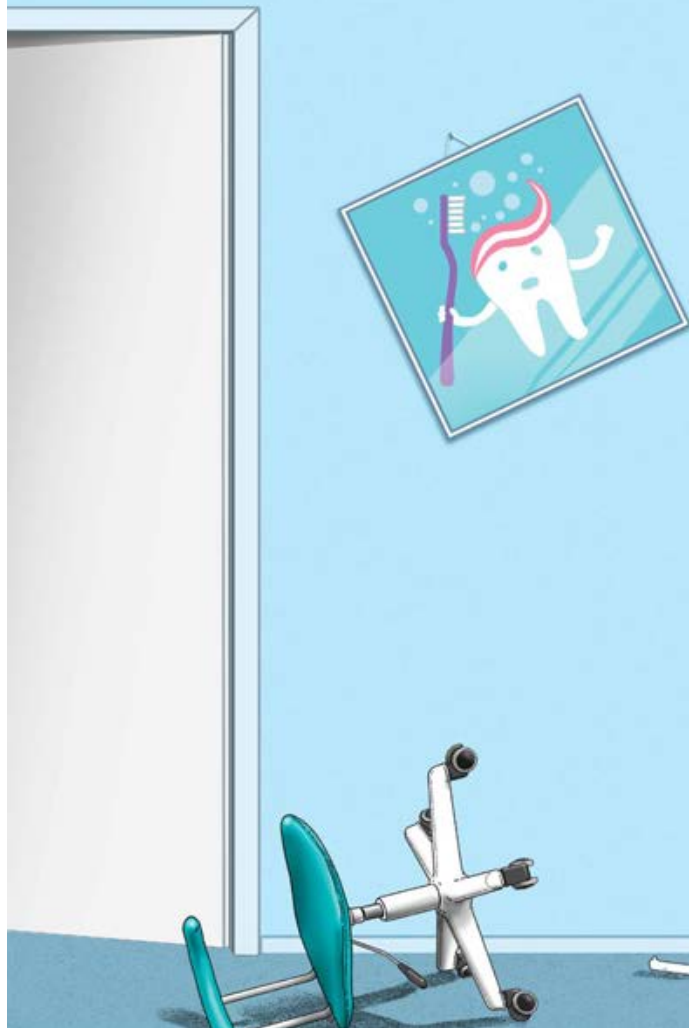
Hadrozaury, czyli roślinożerne dinozaury kaczodziobe, chorowały na rozmaite nowotwory, np. na szkliwiaka – raka szczęki i zuchwy. Inni pacjenci zmagali się z gruźlicą, dną mocznicową, zapaleniem kości, osteoporozą, skoliozą oraz z awitaminozami, w tym ze skorbutem. Złamania i pęknięcia kości, urazy czaszki, braki kończyn (zapewne skutek ataku drapieżników lub rywali w godach) były tak powszechne, że nie sposób ich wszystkich wymienić.

Nie bez powodu naukowa książka „Modern Paleopathology. The Study of Diagnostic Approach to Ancient Diseases, their Pathology and Epidemiologia” („Nowoczesna paleopatologia. Studium podejścia diagnostycznego do dawnych chorób, ich patologii i epidemiologii”), którą właśnie opublikował Springer International Publishing liczy sobie ponad 880 stron.

Szkielet szkieletowi równy

Dwóch spośród trzech jej autorów – dr Dawid Surmik z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz dr Filippo Bertozzo z Royal Belgian Institute of Natural Science w Brukseli – to paleontolodzy. Pomysłodawcą, inicjatorem i pierwszym autorem jest jednak doświadczony radiolog i reumatolog, profesor medycyny Bruce Rothschild, który pracował na kilku uczelniach amerykańskich. – *W czasach, gdy zaczynałem pracę, nie istniała jeszcze tomografia komputerowa* – opowiada. – *Na zdjęciach rentgenowskich widać zaś było tylko nakładające się cienie. Ja tymczasem chciałem moim pacjentom pokazać jak najlepiej, jak wygląda to, co mają w swoim ciele. Uważałem, że to znacznie lepiej motywuje ich do podjęcia wysiłku leczenia niż samo wyjaśnienie, na co chorują. Dlatego interesowało mnie, jak te struktury dokładnie wyglądają. Później, kiedy zyskałem dostęp do kolekcji szkieletów, ta wiedza pomogła mi diagnozować choroby na preparatach pozbawionych tkanek miękkich.*

ILUSTRACJA MIROSLAW GRYN

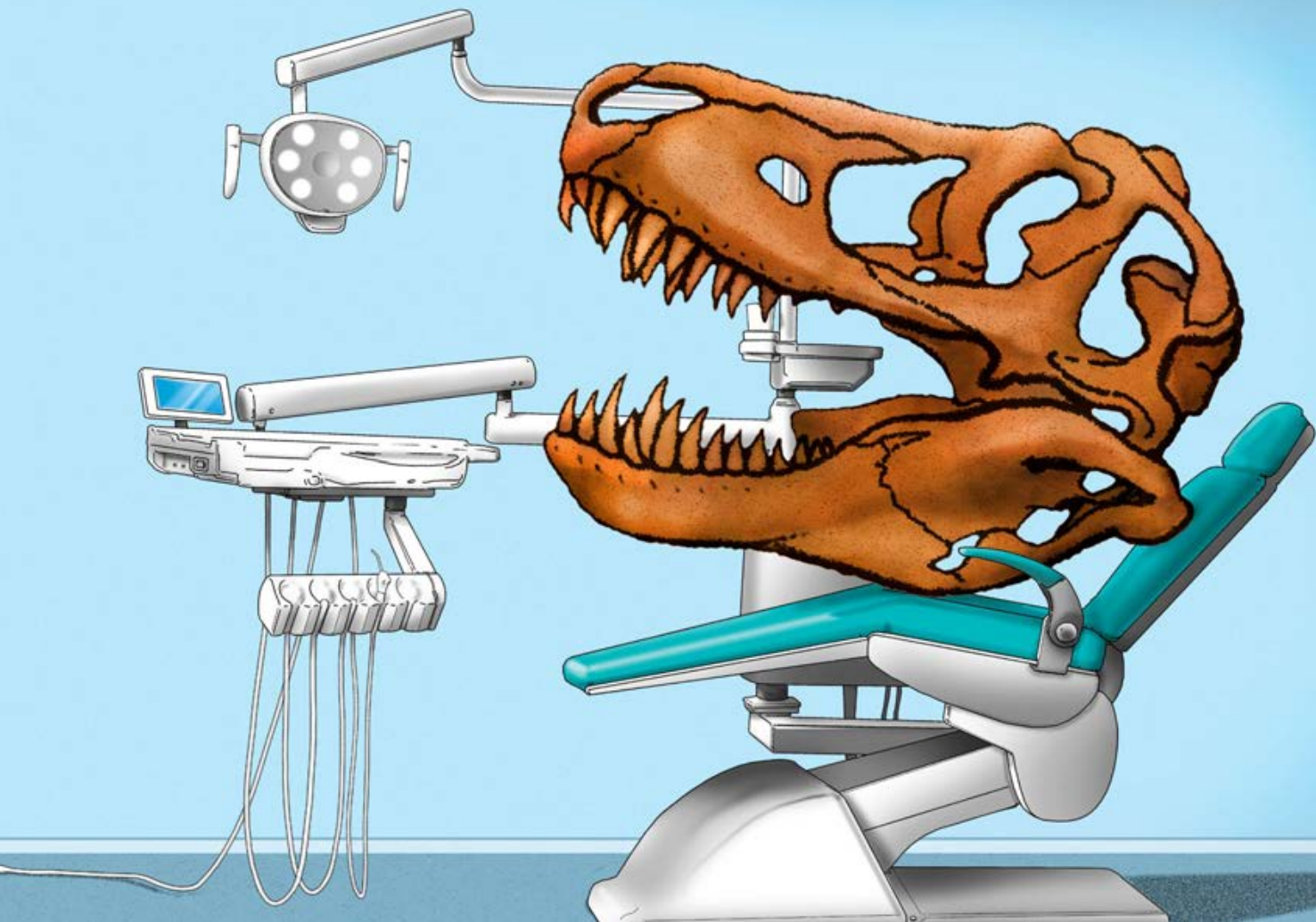


Badacz wciągnął się w antropologię i diagnozowanie chorób u dawniej żyjących osób. Gdy przeniósł się na nowe stanowisko pracy, okazało się, że jego poprzednik, odchodząc, zabрал ze sobą całą zbior ludzkich kości. Wtedy prof. Rothschild zainteresował się kolekcją paleontologiczną. A wkrótce stał się uznanym ekspertem od chorób zwierząt wymarłych – tych sprzed kilku tysięcy lat, tych z ery dinozaurów, a nawet starszych.

– *Spojrzenie medyka na zmiany szkieletowe w zapisie kopalnym jest bardzo cenne* – twierdzi dr Dawid Surmik. – *My, paleontolodzy, lepiej rozumiemy procesy fizykochemiczne i biologiczne, którym podlegają kości podczas powstawania skamieniałości. Natomiast lekarze z doświadczeniem klinicznym są w stanie skuteczniej zinterpretować malformacje, które zaszły za życia osobnika.*

W stanie kopalnym tkanki miękkie przechowują się wyjątkowo rzadko, zazwyczaj też w stanie zmienionym: uwęglonym lub skamieniałym. W wyszukiwaniu takich właśnie ekstremalnie rzadkich przypadków wyspecjalizował się w początkach swej kariery naukowej dr Surmik. Pewnego razu w skamieniałościach notozaurów – morskich gadów sprzed 240 mln lat o trybie życia przypominającym nieco dzisiejsze foki – natrafił na pozostałości naczyń krwionośnych. – *Po rozpuszczeniu kości mogłem te naczynia obejrzeć pod mikroskopem* – opowiada. – *Zauważyłem, że miały nietypową budowę w postaci pierścieniowatych zgrubień.*

Przeglądając literaturę naukową, dr Surmik natrafił na publikację prof. Rothschilda o zmianach struktury kości prehistorycznych zwierząt morskich wskutek działania choroby dekompresyjnej. W szczątkach notozaurów odsetek takich zmian był niewielki w porównaniu z innymi mezozoicznymi gadami



morskimi. – *Skontaktowałem się z Bruce'em i wspólnie zinterpretowaliśmy naturę tych dziwnych naczyń krwionośnych* – mówi paleontolog. – *Naszym zdaniem te zgrubienia mięśniówki miały chronić zwierzęta właśnie przed chorobą dekompresyjną.*

Zmaga się z nią bowiem wiele zwierząt kręgowych, które wtórnie, już po wykształceniu płuc, zasiedliły wodę. Gdy zbyt szybko wynurzają się z głębin, w ich naczyniach krwionośnych powstają bąbelki azotu. W takiej postaci gaz może blokować przepływ krwi, co z kolei prowadzi do niedotlenienia tkanek, a w konsekwencji ich martwicy. Ślady tego zjawiska znajduje się choćby w ciele dzisiejszych wielorybów. Gady morskie z czasów dinozaurów też musiały sobie z nią radzić.

Dawid Surmik i Bruce Rothschild, którzy po pierwszej wspólnej publikacji rozpoczęli regularną współpracę, natrafili na skutki tej choroby u kolejnej grupy zwierząt. Tym razem były to pistozaury, morskie gady sprzed 240 mln lat. Osiągały one 2–2,5 m długości i żywiły się głównie rybami. W ich kościach uczeni zaobserwowali martwicę. Choroba dekompresyjna zdaniem naukowców jednak tylko częściowo odpowiadała za te zmiany patologiczne. Struktura krystaliczna minerałów wskazywała na zapalenie stawów wywołane przez infekcję. – *Choć nie da się oczywiście wykluczyć, że choroba dekompresyjna zwiększała podatność pistozaurów na infekcje* – twierdzi paleontolog.

Choroba goni chorobę

Niedługo później dr Surmik otrzymał z Narodowego Centrum Nauki grant na badania paleopatologii. Jego zespół, w skład którego weszli także dr Justyna Słowiak-Morkovina i dr Tomasz Szczygielski z Instytutu Paleobiologii PAN w Warszawie, zabrał się

do intensywnego poszukiwania śladów po chorobach w skamieniałościach z ery dinozaurów. – *Bazowaliśmy głównie na istniejących już kolekcjach, szczególną uwagę zwracając na nietypowe skamieniałości* – opowiada paleontolog. – *Dostawaliśmy od kolegów i koleżanek wiadomości typu: „Słuchaj, mam w magazynie dziwną kość”. Weryfikowaliśmy później mnóstwo takich doniesień.*

Badacze zbierali takie szczątki, prześwietlali je za pomocą mikrotomografu, przecinali i analizowali skład chemiczny. – *Stawaliśmy się pracować kompleksowo* – relacjonuje dr Surmik. – *Gdy wykrywaliśmy złamanie kości, to określaliśmy jego typ, przyczynę oraz wpływ na życie zwierzęcia. Dowiedzieliśmy się wiele także o procesach regeneracyjnych, które zachodziły w kościach prehistorycznych zwierząt po urazie.*

Odkrycia zaczęły się sypać jak z rękawa. W 2017 r. naukowcy opisali najstarszą na świecie skoliozę, czyli boczne skrzywienie kręgosłupa. Wykryli ją u morskiego gada z grupy mezozaurów, który żył 290 mln lat temu (wczesny perm) – blisko 40 mln lat przed erą dinozaurów. Wywołana została przez nierówny rozrost prawej i lewej strony jednego z kręgów. Mogło to upośledzać zdolności mezozaura do ucieczki i polowania. Nie przeszkodziło mu to jednak osiągnąć wieku w pełni dojrzałego. Prawdopodobnie dlatego, że mezozauury poruszają się dzięki skrętom ogona, a nie tułowia i kręgosłupa, w tym wypadku patologiczne skrzywienie.

W 2018 r. dr Surmik, prof. Rothschild i dr Szczygielski ogłosili, że u innego morskiego gada, tym razem sprzed 245 mln lat (środkowy trias), znaleźli ślady gruźlicy. – *Na kościach były guzkowate narośla, które interpretujemy jako reakcję okostnej na przewlekłą infekcję* – mówi paleontolog. – *Podobne struktury spotyka się ►*

► *w tkance kostnej innych kręgowców, które doświadczyły gruźlicy.* Pod koniec 2022 r. ukazała się praca tego zespołu o metopozaurze z Krasiejowa na Opolszczyźnie. Te wielkie płazy, wyglądające jak trzymetrowe salamandry, mieszały tam w jeziorze ok. 210 mln lat temu. U jednego dr Surmik i jego współpracownicy zauważyli narośl obrastającą jeden z kręgow. Prześwietlenie rentgenowskie ujawniło, że zmieniona chorobowo tkanka wrasta do środka. Badacze zidentyfikowali to jako nowotwór złośliwy, konkretnie: kostniakomięsak (*osteosarcoma*). W komentarzu napisali, że „złośliwy nowotwór u metopozaura jest aktualnie jednym z najstarszych przykładów raka w zapisie kopalnym i jedynym pewnym, odnoszącym się do kopalnego płaza. Jest także najlepiej udokumentowanym świadectwem występowania nowotworów u prehistorycznych zwierząt, popartym solidnymi dowodami badań mikrostrukturalnych”.

Dawka większa od dawki

Prof. Rothschild twierdzi, że choroby ludzi i dinozaurów – choć czasami noszą inne nazwy – wcale tak bardzo się nie różnią. – *Weźmy na przykład zapalenie stawów – wskazuje naukowiec. – U dinozaurów występuje w zakresie 1 proc., a u ludzi między 1 a 5 proc. Ale często kość z zewnątrz wygląda na zdrową, a kiedy zagłędasz do środka, znajdujesz w niej zmiany chorobowe. Zespół Dawida jest w tym naprawdę dobry.*

– *Tak, częstość występowania rozmaitych schorzeń w czasach dinozaurów nie różniła się znacząco od tego, co obserwujemy dzisiaj u ludzi czy innych zwierząt – mówi dr Surmik. – To, że u dinozaurów znaleziono mniej śladów świadczących o schorzeniach, jest efektem relatywnie niskiej liczby przebadanych próbek.*

Paleontolog podaje przykład hadrozaurów. Wykryto u nich najwięcej nowotworów spośród wszystkich dinozaurów. – *Czy to znaczy, że były wybitnie podatne na nowotworzenie? – zastanawia się. – Myślę, że nie. Są po prostu najlepiej przebadaną grupą dinozaurów. Im więcej próbek przebadasz, tym większy odsetek zmian jesteś w stanie rozpoznać.*

Jego zdaniem ostatnie odkrycia paleopatologii wzbudziły na tyle duże zainteresowanie, że coraz więcej zespołów badawczych zajęło się diagnozowaniem chorób u wymarłych zwierząt. Prof. Bruce Rothschild uznał więc, że warto zebrać dotychczasową wiedzę w formie książki naukowej – interdyscyplinarnego kompendium wiedzy. Do współpracy zaprosił dr. Surmika i dr. Bertozzo. – *Opisujemy tam protokół postępowania przy badaniu paleopatologii – mówi polski paleontolog. – Pokazujemy, jak wykrywać zmiany chorobowe w skamieniałościach, jak je diagnozować i jak odróżniać od zmian mieszczących się w naturalnym zakresie anatomicznym lub tzw. pseudopatologii, będących efektem pośmiertnych deformacji kości.*

Czy dzięki takim badaniom dinozaury staną się jeszcze bardziej schorowane? – *Można tak powiedzieć – śmieje się dr Surmik. – Choć raczej bym powiedział, że po prostu poznamy więcej faktów z ich życia.*

A czy gdyby dinozaury żyły, to potrafilibyśmy je leczyć tymi samymi metodami co ludzi? – *Dlaczego nie? – odpowiada prof. Rothschild. – U goryli zdiagnozowaliśmy kiedyś zapalenie stawów. Postanowiliśmy poddać je „ludzkiej” terapii. Tyle że goryle ważą 2–3 razy więcej niż my, musieliśmy więc odpowiednio zwiększyć dawkę. A jaka byłaby bezpieczna dla dinozaura? Hmm, skąd byśmy wzięli wystarczającą ilość lekarstwa?*

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

REKLAMA

27. Festiwal Nauki w Warszawie

15-29.09

Zapraszamy na wykład red. Agnieszki Krzemińskiej dziennikarki „Polityki”, laureatki Złotej Róży: „TOP 10 polskiej archeologii ostatnich 20 lat”

21 września, godz. 18:00
Instytut Kultury Polskiej UW, sala nr 5
Krakowskie Przedmieście 26/28

www.festiwalnauki.edu.pl
FestiwalNaukiWarszawie

SPONSOR
 ATENDE

PATRONAT HONOROWY
 PAN PRZEZ POLSKIEJ AKADEMII NAUK
 PRZEWODNICZĄCY KONFERENCJI REKTORÓW UCZELNI WARSZAWSKICH

PARTNERZY
 Warszawa
 WCIES
 empiria i wiedza

PATRONI MEDIALNI
 wyborcza | wyborcza.pl WARSZAWA
 Wszechnica.org.pl | polityka | Wiedza i życie
 SCIENTIFIC AMERICAN

WSPÓLORGANIZATORZY
 UNIWERSYTET WARSZAWSKI | WARSZAWSKI UNIWERSYTET MEDYCYNY | SZKOŁA GŁÓWNA OCHRONY ZDROWIA NIEMCEJ
 SGH | Uniwersytet SWPS | UKSW | JAGIELLOŃSKA UNIWERSYTET W KRAKOWIE



Królowa Kleopatra —



Nieznane oblicze planety —

Archeologia mniemana

Pompowanie emocji, fabrykowanie teorii, utrwalanie stereotypów. To według Netflixa recepta na sukces dokumentów o pradziejach.



Prehistoryczna apokalipsa —

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Nie oglądam filmów o archeologii, drażnią mnie ich uproszczenia, sztuczne scenki rodzajowe, podkręcanie napięcia i faceci, przekonani, że kapelusze fedora uczyni z nich Harrisona Forda. Jednak ich wciąż powiększająca się oferta na Netflixie sprawiła, że postanowiłam je obejrzeć. W końcu to ważne, jak badanie przeszłości prezentuje największa platforma streamingowa, która kształtuje światopogląd rzesz ludzi.

Jestem zawiedziona, bo żaden z tych „dokumentów” nie przedstawia wiedzy o pradziejach czy starożytności uczciwie i rzetelnie. Nie przeszkadza mi, że te filmy poruszają wątki sensacyjne, ani to, że nie są przesadnie wnikliwie. Nawet doceniam cieszące oczy wizualizacje. Moim głównym zarzutem jest stopień ufikcyjnienia przedstawianej w nich rzeczywistości. Trudna do zrozumienia i pełna luk odległa

przeszłość jest wyjątkowo podatna na manipulację. Najlepszym przykładem jest „Prehistoryczna apokalipsa” („Ancient Apocalypse”, ITN Productions, 2022).

Ma być kosmicznie

Ośmioodcinkowa seria brytyjskiego dziennikarza Grahama Hancocka pojawiła się na platformie w grudniu zeszłego roku i od razu zajęła wysokie miejsca w rankingach oglądalności. Jej autor to następcą słynnego fantasty Ericha von Dänikena i w swoich książkach tak jak on przekonuje, że badacze przeszłości są zbyt mało inteligentni, by zauważyć oczywiste dowody obecności tajemniczej cywilizacji zamieszkującej nasz glob przed serią katastrof wywołanych upadkiem komety, co miało miejsce ok. 11,6 tys. lat temu. W „Prehistorycznej apokalipsie” Hancock nie mówi wprost, że chodzi o Atlantydwów przybyłych z innej planety. Usiłuje jednak dowieść, że po wielkim potopie niedobitki przedstawiciele tej zaawansowanej kultury nauczyły dzikich łowców-zbieraczy (czyli

nas) budowy monumentalnych budowli, uprawy roli i astronomii. Twórcy serii nie przeszkadza, że nie ma to potwierdzenia w genetycznych i archeologicznych śladach. Manipuluje chronologią i oskarża naukowców o ignorancję.

W każdym odcinku Hancock prezentuje jakiś imponujący zabytek, który rzekomo dowodzi jego teorii. Na przykład w siódmym dowiadujemy się, że podziemne miasta w Kapadocji nie zaczęły być drążone przez Frygów ok. VIII w. p.n.e., tylko zaraz po wielkiej katastrofie, czego miałyby dowodzić narzędzia z tego okresu znajdowane w okolicy tuneli. Kamienne zapory w tunelach Derinkuyu nie miały chronić ludzi przed atakami wrogów, tylko przed chłodem wywołanym upadkiem komety.

Dziennikarz stara się nie być gołosłowny – i przekonuje, że przecież w mitach zoroastryjskich z II–I tys. p.n.e. pojawiają się motywy węży na niebie, czyli komet, takich samych jak w kamiennym kręgu w Göbekli Tepe sprzed ok. 12 tys. lat. Ale wzbija się na wyżyny fantazji, gdy ▶

► twierdzi, że na jednej ze stel w kręgu przedstawicieli zaawansowanej cywilizacji przekazali nam ostrzeżenie przed ponownym zagrożeniem z nieba. Nonsensy te potwierdzają postawieni przed kamerą domorośli eksperci lub badacze, których wypowiedzi są adekwatnie przycięte i odpowiednio skomentowane. To stek bzdur, ale dla przeciętnego widza piękne zdjęcie i wciągająca narracja mogą być przekonujące.

Głównym grzechem „Prehistorycznej apokalipsy” jest jednak założenie, że istnieje jakaś – inna niż akademicka – nauka. – *Badacze przeszłości przyznają, że nie wszystko potrafią wyjaśnić. Często też nie są ze sobą zgodni. Daje to przestrzeń do tworzenia tłumaczących korzenie cywilizacji współczesnych mitologii* – wyjaśnia dr Radosław Biel, archeolog i redaktor naczelny czasopisma „Archeologia Żywa”. – *Produkcje o starożytnych kosmitach były i będą, ale to opowieści science fiction, a nie popularyzacja nauki.*

Podobnie uważa Magdalena Stawniak, archeolożka z Muzeum Archeologicznego w Biskupinie. – *Alternatywne wersje przeszłości są tak chwytliwe, że wiele osób archeologię kojarzy w ogóle z szukaniem złota i kosmitami. Dlatego lepiej by było, gdyby filmy popularyzatorskie skupiały się na pokazywaniu procesu dochodzenia do wiedzy, którą dziś dysponuje ludzkość. Z tym że to zakłada większą wiarę w umiejętności naszych przodków. Ale i z tym filmowcy potrafią przesadzić – jak autorzy „Jaskini kości” („Unknown: Cave of Bones”, Netflix/Story Syndicate, 2023).*

Ma być rewolucyjnie

Ten dokument – należący do serii Netflix’a „Nieznane oblicza planety” – przedstawia niezwykle ciekawą historię badania *Homo naledi* – znalezionej w 2013 r. w południowoafrykańskiej jaskini Wschodząca Gwiazda przez Lee Bergera, paleoantropologa z Johannesburga. Dowiadujemy się z niego, że hominin, który żył 230–330 tys. lat temu – pomimo posiadania mózgu wielkości pomarańczy i długich „małpich” kończyn – grzebał zmarłych i uprawiał sztukę. Według twórców filmu zmienia to dotychczasowe przekonanie, że czynności te wymagają większego centrum układu nerwowego i że najstarsze pochówki pojawiły się dopiero 100 tys. lat temu.

Producenci w interesujący sposób pokazali, jakim wyzwaniem jest praca w jaskiniach, jak badany jest wydobyty na powierzchnię w bryle pokrytej gipsem „grób” i jak dzięki nowoczesnym metodom na ekranach komputerów ukazują



się szczątki dziecka. Nie dla klaustrofobików są sceny, w których Berger schodzi do komory przez wąski korytarz. Ponieważ ze względu na swoją tuszę dotąd obserwował ją tylko przez kamery, szklą mu się oczy, ale jednocześnie od razu zauważa wydrapane na ścianach znaki. Na rysunkowych animacjach *Homo naledi* rozpalają ogień, łupią kamienie, transportują zwłoki, tańczą i cierpią po stracie bliskiej osoby. Berger podkreśla, że pojawienie się potrzeb duchowych u gatunku z tak małym mózgiem wymaga zmiany postrzegania istoty człowieczeństwa.

„Jaskinia kości” jest filmem opartym na świeżych odkryciach, jednak już ich interpretacja to w dużym stopniu życzeniowa spekulacja. Lee Berger to badacz z wielkim szczęściem do znalezisk, ale i z wybujałą wyobraźnią oraz „parciem na szkołę”. Gdy w topowym czasopiśmie naukowym odrzucono mu artykuły o kulturze duchowej *Homo naledi* (według recenzentów dowody na pochówki były za słabe, rzekome narzędzie nie wyglądało na obrobione intencjonalnie, a brak datowań sprawiał, że nie ma pewności, czy jaskinię odwiedzał tylko *Homo naledi*), Berger oddał artykuł do „eLife”.

W czasopiśmie tym artykuły ukazują się wraz z ich negatywnymi recenzjami, ale tych nie poznali widzowie filmu wypuszczonego przez Netflix w dniu publikacji, a jedynie garstka specjalistów. Tylko oni zatem wiedzą, że są ślady wskazujące na istnienie zmysłu artystycznego czy potrzeb duchowych nawet pół miliona lat temu, które mogą być dziełem innych homininów z małymi mózgami. Szczegóły to pominięto w netflixowej produkcji, by podkreślić unikatowość odkrycia Bergera i nie komplikować przekazu.

Ma być bogato

Trudno sobie wyobrazić bardziej tradycyjny sposób przedstawienia archeologii niż ten zaprezentowany w kolejnym filmie

z serii „Unknown” zatytułowanym „Zaginiona piramida” („The Lost Pyramid”, Netflix/Story Syndicate, 2023). Opowiada on o badaniach egipskich archeologów w okolicach Sakkary. Podczas gdy jedna ekipa szuka w Gisir el Mudir piramidy żyjącego 4,5 tys. lat temu faraona Huniego, druga rozkopuje w Bubastejonie grobowce urzędników. Pierwszą kieruje Zahi Hawass, wieloletni sekretarz generalny Najwyższej Rady Starożytności, który uwielbia kamerę. Zasłynął w 2002 r. występem w spektaklu zrealizowanym przez Discovery Chanel, podczas którego do szybu wentylacyjnego w piramidzie Cheopsa wpuścił robota. Choć urządzenie nie znalazło zapowiadanego złota i ukrytych komór, Hawass i tak wyrósł na pierwszą twarz egiptologii. Również dlatego, że wprowadził zakaz ogłaszania znalezisk dokonanych przez zagranicznych badaczy pracujących nad Nilem. Badaniami na drugim stanowisku, w Bubastejonie, kieruje dr Mostafa Waziri, który jest uczniem dr. Hawassa, jego następcą i kolejnym archeologicznym showmanem.

W tym filmie kuriozalne jest wszystko. Dr Hawass niby tylko żartuje, że jest Indianą Jonesem, ale naprawdę się nim czuje. Nie tylko nie rozstaje się z fedorą, ale wprowadza też zasadę, której hołduje fikcyjna postać wykreowana przez George’a Luca, mówiącą, że żadne skarby nie powinny wpaść w niepowołane – czyli inne niż egipskie – ręce. Z punktu widzenia sprawiedliwości dziejowej jest to może i słuszne, jednak z dokumentu wynika, że badacze nad Nilu uprawiają archeologię XIX-wieczną: nie robią pomiarów, dokumentują wybiórco, każą robotnikom łomami podnosić pokrywę sarkofagu, by zajrzeć, czy jest w nim mumia i fanty. Dowiadujemy się też, że w ramach filmowanego projektu w ciągu czterech miesięcy odkopano 153 szyby grobowe, jakby to był jakiś wyścig.

„Zaginiona piramida” to tradycyjny dokument reklamowo-propagandowy



– ma pokazać, że Egipcjanie potrafili sami wydobywać swoje zabytki, i zachęcić do zwiedzania krainy faraonów, jednocześnie wzmacniając przekonanie, że archeologia to poszukiwanie skarbów, a nie nauka o przeszłości.

Ma być sensacyjnie

– W popularyzacji archeologii problem polega na tym, że nawet nam trudno ogarnąć całość dziejów. Szerszej publiczności najkorzystniej więc pokazać jakiś jej wycinek, najlepiej poprzez analogię do tego, co znamy. Stąd taka potrzeba i popularność rekonstrukcji – tłumaczy Stawniak. Z tym że filmowcy i w tej materii nie znają umiaru.

Komputerowe odwzorowanie i odgrywane przez aktorów scenki z epoki służą jako ilustracja opowieści specjalistów lub narratora. Cyfrowe wizualizacje 3D są coraz wyższej jakości. Fabularyzowane scenki – niekoniecznie. Nierzadko nadinterpretują lub przeinaczają prezentowaną rzeczywistość. I tutaj Netflix widzie prym, czego dowodem poświęcony Kleopatrze drugi sezon wyprodukowanego przez Jądę Pinkett Smith serialu o afrykańskich królowych („Queen Cleopatra”, Netflix, 2023).

Wywołał on falę oburzenia, ponieważ w roli głównej bohaterki wystąpiła ciemnoskóra Adele James. Wybór był podyktowany tendencją przywracania Afroamerykanom ich godności i ukłonem w ich stronę. Zasadniczy problem jest jednak inny: produkcja ta stanowi mieszankę dokumentu i fabuły, bo wypowiedzi fantazujących naukowców, prześcigających się w domysłach, co czuła Kleopatra, podejmując trudne życiowe decyzje, przetykane są odgrywanymi przez aktorów scenkami z dialogami, których zadaniem jest oddanie owych emocji. W rezultacie dostajemy kuriozalny twór – romans z polityką w tle z „naukowymi” przypisami.

Tyle że Netflix osiągnął zamierzony efekt, bo jego Kleopatra trafiła w gusta

widzów na całym świecie (u nas też królowała w rankingach). Nie jest to jednak potwierdzenie, że publiczność lubi oglądać dokumenty o starożytności. Wybierają raczej „oparte na faktach” interpretacje życia „wielkich i znanych”, zwłaszcza jeśli dotyczą ich perypetii miłosnych i rodzinnych. Produkcjom takim dobrze robi element zaskoczenia – takim jest właśnie kolor karnacji ostatniej faraonki. Naukowiec pozostaje on wciąż zagadką, ale zdecydowana większość badaczy twierdzi, że prawdopodobieństwo, jakoby Królowa była ciemnoskóra, nie jest wielkie.

Największe pretensje o afrocentryzm „Królowej Kleopatry” mieli oczywiście Egipcjanie, którzy zarzucali produkcji zafaszowywanie historii ich kraju. Pojawienie się na tej samej platformie „Zaginionej piramidy”, będącej peanem na cześć egipskiej archeologii, można odebrać jako sposób na załagodzenie konfliktu. Ten spór przypomina jednak o jeszcze jednym wymiarze dokumentów popularyzujących przeszłość – wydzwięku polityczno-ideologicznym.

A może być dobrze

Czy są w takim razie w ogóle jakieś dobre filmy, rzetelnie opowiadające o przeszłości i popularyzujące archeologię? Są, chociażby te pokazywane na odbywającym się w Atenach co dwa lata od 1996 r. festiwalu Agon, nie mówiąc o całej masie dokumentów wysokobudżetowych ze szkoły BBC czy Discovery Channel. Dr Biel uważa, że najwięcej dobrego dla archeologii zrobił pokazywany od lat 80. brytyjski program telewizyjny „Time Team”, łączący naukę z rozrywką. Widzowie śledzą przebieg 3-dniowych badań prowadzonych przez znakomitych archeologów, a charyzmatyczny prowadzący sir Tony Robinson zmusza ich, by w jasny sposób tłumaczyli, co odkrywają i dlaczego to jest ważne. – *Serial jest zmontowany sprawnie, bez dłużyzn* – mówi dr Biel.

– *Wiele osób właśnie dzięki niemu złapało archeologicznego bakcyła. Ale i u nas powstają dobre dokumenty, chociażby te, które realizuje Zdzisław Cozac czy Krzysztof Paluszkiński. Co prawda i w nich są uproszczenia, ale trudnych koncepcji nie da się bez nich zrozumiale wytłumaczyć. A takie jest zadanie filmu.*

I rzeczywiście. Dokumenty Paluszkińskiego „Megalithy” (o wielkich kamiennoziemnych neolitycznych grobowcach), „Rondele” (o tajemniczych drewnianoziemnych kręgach wznoszonych w tym samym czasie) i „Berło z brązu” (o epoce brązu i pierwszych na ziemiach polskich osadach obronnych) miały niewielki budżet, ale są w nich niezłej jakości wizualizacje, fabularyzowane scenki nie drażnią, nie zawiodą też specjaliści, którzy mówią ciekawie i mądrze. Odnosi się też wrażenie, że autor słucha ich sugestii. – *Chyba trafiłem w gusta i zapotrzebowanie, bo film o polskich megalitach na samym YouTube obejrzało 1,2 mln osób, a od momentu jego premiery liczba turystów odwiedzających Kujawy, by zobaczyć gigantyczne kamienne grobowce, znacznie wzrosła. Niestety nie udało mi się moimi filmami zainteresować Netflixu* – opowiada dokumentalista. Cóż, platformie wyraźnie nie zależy na popularyzacji archeologii jako nauki. Repertuar jest wypadkową popkulturowych potrzeb na jej temat.

Netflix uwiódł mnie jedną serią – „Światem oczami Cunk” („Cunk on Earth”), serialem, którego pomysłodawcą i producentem jest Charlie Brooker, znany jako twórca dystopijnego „Ciemnego lustra”. Udająca dziennikarkę naukową brytyjska aktorka Diane Morgan zadaje prawdziwym badaczom nonsensowne pytania. Konsternacja na ich twarzach, gdy muszą na przykład odpowiedzieć, czy Rzymianie wymyślili wybielanie odbytu, jest bezcenna. W tym wypadku jednak platforma szczerze informuje, że to paradokument.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



Instalacja kanadyjskiej firmy Carbon Engineering. Pomysł nagrodzony 600 mln dol. przez amerykański Departament Energii.

ANDRZEJ HOŁDYS

Gazołapy

Połowę emitowanego przez nas dwutlenku węgla wyłapują oceany i rośliny. Drugą połową, przynajmniej w teorii, mogłyby się zająć maszyny.

Najlepiej byłoby oczywiście nie emitować gazów cieplarnianych. To jednak scenariusz w najbliższych latach nierealny. Dlatego zarówno kolejne raporty Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC), jak i międzynarodowe porozumienia mówią, że równocześnie trzeba zacząć, i to jak najszybciej, usuwać spore ilości CO₂ i innych związków węgla z atmosfery. Celem jest osiągnięcie „zerowych emisji netto” najpóźniej do 2050 r. W drugiej połowie stulecia oczyszczanie atmosfery powinno być kontynuowane, dopóki poziom gazów cieplarnianych nie powróci do stanu bezpiecznego dla ziemskiego klimatu.

Od początku epoki przemysłowej posłaliśmy do atmosfery, pod postacią rozmaitych gazów cieplarnianych, ok. 600 gigaton węgla (1 gigatona to 1 mld ton). W przeliczeniu na dwutlenek węgla jest to ok. 2200 gigaton. Nieco ponad połowę z tego przejęły oceany i rośliny, ale reszta – ok. 1000 gigaton CO₂ – wciąż wisi nad naszymi głowami. Z każdą dekadą dorzucamy coraz więcej do atmosferycznego pieca. W ubiegłym roku było to ok. 36 gigaton. Rośliny i oceany

znów zdjęły z atmosfery znaczną część tego brzemienia, ale i tak – jak prognozują naukowcy z Global Carbon Project – ok. 2030 r. nadwyżka gazów cieplarnianych będzie tak duża, że przekroczymy próg 1,5 st. C (powyżej stanu sprzed epoki przemysłowej). Może nawet nastąpi to wcześniej.



Naukowcy z University of Oxford i kilku innych uczelni europejskich w raporcie State of Carbon Dioxide Removal ze stycznia tego roku ocenili, że na razie wyłapujemy rocznie ok. 2 gigaton CO₂. To zaledwie 5 proc. tego, co emitujemy. Jest to załuga głównie nowych zalesień. Tymczasem oczekiwania, zapisane m.in. w ekspertyzach IPCC, są takie, że za dwie dekady będziemy potrafili usuwać z atmosfery 10–15 gigaton dwutlenku węgla rocznie, a w 2050 r. – nawet 50 gigaton.

Mnóstwo dwutlenku węgla mogłyby wychwycić nowo posadzone drzewa. Obecnie lasy zajmują ok. 40 mln km kw. To mniej więcej 28 proc. wszystkich ziemskich łądów. Parę lat temu w „Science” grupa badaczy wyliczyła, że gdyby zalesić dodatkowo 10 mln km kw., czyli w praktyce przywrócić stan sprzed epoki

przemysłowej, wówczas te nowe drzewa mogłyby przejąć z atmosfery i zmagazynować w drewnie i glebie od 600 do 700 gigaton CO₂ – dwie trzecie obecnej antropogenicznej nadwyżki.

Na papierze wygląda to imponująco. A w praktyce? Po pierwsze, najpierw trzeba byłoby szybko znaleźć te 10 mln km kw., czyli obszar rozmiarów Europy, poczekać parę dekad, zanim te drzewa urosną, a w międzyczasie chronić je przed pożarami, chorobami i szkodnikami. Po drugie, należałoby właściwie dobrać ich skład gatunkowy. Przykład Chin pokazuje, że źle dopasowane do lokalnego klimatu i środowiska rośliny degradują glebę oraz obniżają poziom wód gruntowych. A na koniec wymierają i wtedy oddają CO₂ do atmosfery, podobnie jak podczas pożarów i inwazji szkodników. Po trzecie, niewiadomą jest kondycja lasów w ocieplającym się klimacie. Ich potencjał pochłaniania dwutlenku węgla może się znacznie zmniejszyć, szczególnie w tropikach – ostrzegła pod koniec sierpnia w „Nature” grupa biologów.

Dlatego wielu badaczy mocno powątpiewa w te 600–700 gigaton CO₂. Co oczywiście nie znaczy, że nie należy zalesiać globu. Tyle że drzewa, które zasadzimy,

odzyskają raczej nie więcej niż 300–350 gigaton ciepłarnianego gazu już nagromadzonego w atmosferze. Nadal do usunięcia pozostawałoby więc ok. 650–700 gigaton plus to, co wyemitujemy w kolejnych dekadach, zanim ostatecznie zdekarbonizujemy gospodarke.

Trzeba więc pomóc roślinom. Jak? Choćby przy pomocy metody, którą swego czasu zaproponowali założyciele i szefowie kanadyjskiej firmy Carbon Engineering. Ich pomysł został w połowie sierpnia tego roku nagrodzony kwotą 600 mln dol. przez amerykański Departament Energii.



Sam pomysł nie jest nowy. Narodził się mniej więcej półtorej dekady temu, gdy Bill Gates postanowił bliżej zainteresować się zmianami klimatu i zwrócił się do ekspertów. Byli to David Keith, profesor Harvard University, oraz Ken Caldeira ze Stanfordu. Z czasem stali się jego doradcami, a za otrzymane od niego pieniądze skrzyknęli grupę badaczy, głównie chemików, by w laboratorium zbudować małą instalację, która oczyszczałaby powietrze z dwutlenku węgla.

Do wyłapania gazu miał służyć roztwór sody żrącej, która łatwo wiąże się z dwutlenkiem węgla z powietrza, tworząc węglan sodu (Na_2CO_3). Ciecz z sodą żrącą miała spływać po wielkich arkuszach połażdanego plastiku, stykając się tam z powietrzem atmosferycznym zasasywanym i pompowanym do wnętrza urządzenia przez potężne wentylatory, najlepiej zasilane energią odnawialną. Pochwycony w ten sprytny sposób dwutlenek węgla miał być odzyskiwany z roztworu, a potem oferowany rozmaitym odbiorcom. Skomercjalizowaniem pomysłu miała się zająć nowo powstała firma Carbon Engineering. Jej prezesem został Keith, a fundusze dostarczyli Gates i zaprzyjaźnieni z nim miliarderzy.

Idea szybko znalazła naśladowców w kręgach akademickich. Badacze pozyskiwali kolejnych prywatnych inwestorów i zakładali małe firmy innowacyjne powiązane z uczelniami, w których pracowali. Tak uczynił Klaus Lackner z Columbia University, który o wychwytywaniu CO_2 z atmosfery pisał już w latach 90. XX w. Następni byli fizyk Peter Eisenberger i matematyczka Graciella Chichilnisky, oboje także z Columbi. Za pieniądze, które dał im Edgar Bronfman Jr, ówczesny prezes Warner Music, zbudowali eksperymentalną instalację do odzyskiwania CO_2 o wydajności 2 ton na dobę. Dekadę temu do tej grupki dołączyła szwajcarska firma Climeworks założona przez młodych

chemików z politechniki ETH w Zurichu. Jednak lata mijały, a żaden z tych laboratoryjnych eksperymentów nie przeobraził się w porządną instalację przemysłową. Główną barierą okazały się koszty. Na początku przekraczały tysiąc dolarów za wyłapanie tony dwutlenku węgla. Stopniowo obniżono je do 600 dol., a w ostatnich latach ścięto jeszcze o połowę. To wciąż za drogo, ale ekonomia skali podpowiadała, że gdyby zbudować odpowiednio duże zestawy takich maszyn, jednostkowy koszt ich pracy powinien znacznie spaść. Rzecz w tym, że aby to sprawdzić, należałoby zbudować dużą instalację demonstracyjną, odzyskującą nie parę ton na dobę, jak większość dotychczasowych, ale co najmniej tysiąc razy większą. Żaden prywatny inwestor nie chciał brać sobie na głowę takiego kłopotu.



Przełom nastąpił w 2022 r. w amerykańskim Kongresie. Do przyjętej wówczas ustawy Bipartisan Infrastructure Bill, która przewiduje wydanie ponad biliona dolarów na inwestycje infrastrukturalne w USA, wpisano „skromną” kwotę 3,5 mld dol. z przeznaczeniem na zbudowanie czterech dużych instalacji pilotażowych do wychwytywania CO_2 . Założono, że każda będzie wyłapywała z powietrza milion ton gazu rocznie. Departament Energii uruchomił program Carbon Negative Shot i rozpiął konkurs dla konsorcjów naukowo-przemysłowych. W połowie sierpnia wybrano dwa pierwsze. Po 600 mln dol. dostaną firma naftowa Occidental Petroleum, która wykorzysta wspomnianą technologię dostarczoną przez Carbon Engineering, i organizacja naukowa Battelle mająca wdrożyć pomysł Szwajcarów z Climeworks wspartych przez kalifornijski start-up Heirloom.

Szwajcarscy naukowcy mają dziś największe doświadczenie – praktyczne i biznesowe. W 2021 r. uruchomili na Islandii instalację wyłapującą rocznie 4 tys. ton CO_2 , a pod koniec ubiegłego roku zaczęli w tym kraju budowę dziewięciokrotnie większego zestawu pochłaniaczy. Dwutlenek węgla – odzyskany z powietrza przy pomocy specjalnych filtrów – jest przez nich włączany głęboko pod ziemię, gdzie ulega mineralizacji (zamienia się w skałę). Model biznesowy polega m.in. na oferowaniu osobom prywatnym i firmom offsetu węglowego, między innymi w formie abonamentu miesięcznego. Najtańszy kosztuje 25 dol. i wiąże się z usunięciem z powietrza 20 kg CO_2 .

Założyciele Climeworks deklarują, że w 2050 r. chcieliby wyłapywać

z atmosfery gigatonę gazu rocznie. To jednak będzie zależało w dużym stopniu od tego, czy powiedzie się amerykański projekt, w którym uczestniczą. Zakład, który ma powstać w Luizjanie, za mniej więcej 10 lat ma osiągnąć wydajność 25 mln ton. Raport State of Carbon Dioxide Removal ocenia łączny potencjał technologii na 10–20 gigaton rocznie, co oznacza, że takich instalacji powinno powstać na globie od czterystu do ośmiuset.

Być może jednak nie będzie potrzeba aż tylu, ponieważ – jak zauważają autorzy publikacji – równolegle rozwijane są inne „technologie negatywnych emisji”, takie jak produkcja biowęgla uzyskiwanego poprzez pirolizę (suchej destylacji) odpadów roślinnych i zwiększenie potencjału gleb do magazynowania związków organicznych. Czy też rozprowadzanie na powierzchni terenu zmielonej skały bazaltowej, która podczas wietrzenia wiąże węgiel z powietrza.

I dobrze, bo maszyny wyłapujące CO_2 , poza zaletami – na przykład taką, że potrzebują mało przestrzeni – mają też wady. Przede wszystkim zużywają mnóstwo prądu. Climeworks swój zakład na Islandii zasila energią geotermalną. Amerykańskie zakłady pilotażowe mają pracować na prądzie pochodzącym głównie z farm fotowoltaicznych. Czy tak będzie?



Wciąż też nie wiadomo, co zrobić z tymi gigatonami wyłapanego gazu. Część, ale raczej niewielką, można przetworzyć na rozmaite produkty, ale większość należałoby umieścić głęboko pod ziemią, najlepiej do warstw skał bazaltowych, gdzie uległby przeobrażeniu w trwałe minerały. Problem w tym, że nie będzie to działalność dochodowa, chyba że oparta na offsecie węglowym.

Niepokojące jest to, że chętne do zakupu gazu, oczywiście gdy jego cena już spadnie, są firmy naftowe. Chcą go włączyć do starych złóż ropy, aby wycisnąć z nich więcej surowca. W ten sposób jednak technologia, zamiast ratować klimat, przedłużyłaby życie branży paliw kopalnych. Amerykanie deklarują, że nawet jedna tona CO_2 z pilotażowych instalacji nie zostanie wykorzystana w ten kontrowersyjny sposób, ale zarazem budowę zakładu w Teksasie powierzyli koncernowi paliwowemu Occidental Petroleum.

Oby nie okazało się, że masowe usuwanie dwutlenku węgla z atmosfery nabiera sensu ekonomicznego tylko wtedy, gdy równocześnie bardzo dużo go emitujemy. ■

Obrabianie symbolu

Lech Wałęsa we wrześniu obchodzi 80. urodziny, w październiku 40. rocznicę otrzymania Pokojowej Nagrody Nobla. Tymczasem jego przeciwnicy polityczni nie przestają dyskredytować jego osiągnięć i tworzyć alternatywnej historii, w której spychają go na margines.

WIESŁAW WŁADYKA

Z

łe emocje i oskarżenia towarzyszyły Lechowi Wałęsie przez całe życie. Już w czasie tzw. pierwszej Solidarności (1980–81) tarcia i animozje między działaczami pracowały na osłabienie jego pozycji. Nie unikano rozpuszczania plotek, pomówień o jego podejrzaną przeszłość. Narastająca wzajemna niechęć działaczy raczkującej Solidarności, przechodząca czasami w wyższe rejestry – choćby między tzw. gwiazdobiorem (ludzie skupieni wokół współzałożycieli wolnych związków zawodowych Joanny i Andrzeja Gwiazdów) oraz Anną Walentynowicz a Lechem Wałęsą – nie zaniknęła już nigdy. Zawsze sprowadzała się do dewaluowania jego roli, jego zwycięstw, do marginalizowania jego miejsca w historii Solidarności i Polski.

Osoba prywatna

W latach 1980–81 władza komunistyczna jeszcze nie prowadziła frontального ataku na Wałęsę, bo na tle wielu radykałów w Solidarności, zdawał się jej człowiekiem zdolnym do kompromisów. Atakowanie zaczęło się w stanie wojennym, gdy internowany przewodniczący rozwiązanego niezależnego związku zawodowego odmówił władzy jakiegokolwiek współpracy i dzielnie trwał w oporze. Próbowano zatem skompromitować go, aranżując różne prowokacje, wyliczając alkohol wypity podczas internowania, próbując też ośmieszać go i niwelować jego zasługi, mówiąc, że to prostak i głupek, że jest wyłącznie nic nieznaczącą „osobą prywatną”. Co brzmiało humorystycznie, zwłaszcza od czasu, gdy w 1983 r. został uhonorowany Pokojową Nagrodą Nobla i nadzwyczaj dzielnie stał na czele opozycji i dawał tego głośne świadectwo.

Władza była zmuszona połknąć swój język, gdy zrozumiała, że nieuchronnie nadchodzi polityczny przełom. Solidarność

W drugiej połowie lat 80.

podziemna, opozycja przystąpiły do obrad Okrągłego Stołu w 1989 r. reprezentowane przez Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie. Przewodniczący związku wrócił więc do wielkiej historii i to w kilku wymiarach: krajowym, co oczywiste, ale także w światowym. Stał się wielkim symbolem odzyskanej niepodległości.

Eroza tego symbolu zaczęła się jednak właściwie od początku, od wyborów do Sejmu 4 czerwca 1989 r. Listy wyborcze sygnowane i autoryzowane osobiście przez Lecha Wałęsę były dezawuowane przez niektórych znaczących działaczy Solidarności jako ułożone arbitralnie, z góry wykluczające liczne środowiska byłej opozycji. Pojawiły się pretensje i krytyka – zwłaszcza po czasie – że Lech Wałęsa tą metodą uniemożliwił przeprowadzenie radykalnych reform politycznych, że zaprzepaścił szansę zbudowania lepszej Polski niż ta, która się pojawiła. Już niebawem do tej krytyki przyłączali się nawet ci, którzy w 1989 r. w kampanii wyborczej występowali na zdjęciu z Lechem Wałęsą, zdobyli mandaty parlamentarne, a potem pokazali własne ambicje i plany.

Konflikt z Kaczyńskimi

Bracia Kaczyńscy, a już zwłaszcza Jarosław, w tym pierwszym okresie blisko współpracowali z Wałęsą, także przy powstawaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. Potem, przy rozkręcaniu „wojny na górze” (konfliktu między tym rządem a Wałęsą), byli jednym z jej najsilniejszych motorów. Mieli w tym swój interes, bo doprowadzenie Wałęsy do prezydentury osłabiało dominujące salony polityczne Warszawy i otwierało pole do działania dla tych, którzy dotychczas byli w drugim szeregu, czyli właśnie Kaczyńskich.

Taktyka była jeszcze bardziej skomplikowana – bracia zamierzali wykorzystać Wałęsę do zbudowania własnej siły politycznej oraz zaplecza finansowego i instrumentów wpływów, choćby w mediach. Co im się zresztą udało. Jarosław Kaczyński zakładał też, że Wałęsa w sposób oczywisty skompromituje się na urządzie prezydenta i łatwo go będzie z niego usunąć.

Bracia przeliczyli się jednak, sądząc, że będą mogli manipulować Wałęsą, że stanie się ich marionetką. Okazało się, że Wałęsa – jak zawsze – jest niesterowalny, że potrafi prowadzić, lepiej czy gorzej, ale własną politykę. Doszło zatem do nieuchronnego konfliktu i do, mówiąc eufemistycznie, rozstania. Panowie rozeszli się z hukiem, ale pozostali w śmiertelnym uścisku, zwłaszcza że Jarosław Kaczyński wydał Lechowi Wałęsie otwartą wojnę, bez żadnego zmiłuj: zniszczyć się.

I od razu przystąpił do dzieła w stylu, który zaprezentował potem wiele razy. Przypuścił atak brutalny, bezwzględny i radykalny, nie cofając się przed niczym, zawsze szukając – z jakimś powodzeniem – wsparcia społecznego tłumu, któremu potrafi wszczepić polityczne żądze i nienawiść. Pokazała to zorganizowana przez niego pod Belwederem w 1993 r. manifestacja pod hasłem „Precz z Bolkiem”: spalono kukłę Wałęsy, wzywano go do natychmiastowego ustąpienia.

Po raz pierwszy tak silnie i tak publicznie pojawiła się figura Bolka, czyli kryptonimu agenta Lecha Wałęsy, nadanego mu przez Służbę Bezpieczeństwa po 1970 r., czyli w okresie domniemanej współpracy. To oskarżenie w różnych formach i postaciach będzie Wałęsie towarzyszyć już zawsze. Cios był celny, wzmocnił jego krytyków, dodał im animuszu i nowych argumentów. Z każdym następnym rokiem rosła siła radykalnych dekomunizatorów i lustratorów, żądających rewolucyjnych, sanacyjnych zmian.

To pozwalało wrogom Wałęsy wziąć się do destrukcji jego roli historycznej, podważania zasług. Wtedy pod Belwederem dopiero się to zaczynało i było na razie przyczynkiem do pisania historii współczesnej Polski na nowo.



Podczas strajku w Stoczni Gdańskiej, sierpień 1988 r.

Obecność Lecha Wałęsy w III RP nie była wielka, oczywiście nie licząc początku. Prezydentura nie była wybitna, a wręcz odwrotnie. Choć nie brakuje obrońców jej dorobku. Według myślenia, że Wałęsa sprzyjał kontynuacji reform, niczego nie zburzył – a tego się obawiano – nie wyszedł poza ramy systemu, choć potrafił nim trochę huścić i go falandyzować. (Termin ukuty od nazwiska Lecha Falandysza, zastępcy szefa Kancelarii Prezydenta, znanego z naginania interpretacji przepisów prawa). Rangę tej prezydentury obniżyła przegrana kampania o drugą kadencję, a start w kolejnych wyborach zakończył się wynikiem kompromitującym. Polacy nie chcieli Wałęsy w Pałacu Prezydenckim, nawet ci, którzy nadal oddawali mu honory za wielkość w przeszłości.

Sprawy nie ułatwiał sam Wałęsa. Jak napisał Jarosław Kurski, rzecznik prasowy Wałęsy w latach 1989–90, a później jego krytyk, autor wydanej w 1991 r. książki „Wódz”: „Jako prezydent Wałęsa otoczył się służbami specjalnymi, obalił rząd [Jana] Olszewskiego. Zablokował lustrację, wyrwał dokumenty z teczek »Bolka«, zbierał haki na Kaczyńskich, [Jacka] Merkla i [Bogdana] Borusewicza. Czy to jest prawda o Wałęsie? Niewątpliwie tak”. Nie ulegało wątpliwości, że nie umiał (i trwa to do dzisiaj) uwolnić się od sprawy Bolka, stanąć w prawdzie, mimo że kwestia stała się znana i niekwestionowana. I mimo że oferowano mu różnoraką pomoc, o czym mówił historyk prof. Andrzej Friszke, wybitny znawca akt esbeckich. A też osobowość Wałęsy, jego maniera narcyza, jego styl „ja, ja, ja”, liczne niezręczności i lapsusy językowe tworzyły często mieszankę wybuchową.

Jednak im więcej było ataków i oskarżeń wobec Wałęsy, tym większa była potrzeba znalezienia miary dla tej postaci, jej historycznego miejsca i znaczenia. Tym bardziej że gdy tylko bracia Kaczyńscy zdobywali choćby przyczółki władzy, nie mówiąc o jej pełni, natychmiast przystępowali do walki z postacią Wałęsy i jej pozytywnym obrazem.

Nowa wizja historii

Zemsta to jedno, ale dezawuowanie i wymazywanie Wałęsy służyć miało czemuś więcej: budowaniu fundamentów pod nową wizję historii. Tak się działo już w latach 2005–07, a potem ►

► w czasie prezydentury Lecha Kaczyńskiego, którego brat Jarosław już w 2010 r. mianował „symbolicznym patronem ruchu solidarnościowego” na miejsce Lecha Wałęsy.

Po 2015 r. można było przystąpić do całociowej dekonstrukcji historii. Nowa faktografia, nowe związki przyczynowo-skutkowe, nowe hierarchie i nowi bohaterowie, walka z „pedagogiką wstydu”, w ogóle nowa polityka historyczna. Ten manewr wymagał zniszczenia Wałęsy do końca, całkowitego wygumkowania jego postaci z historii. Równoległe szły oskarżenia o wszystko, co dotyczyło Wałęsy. Chodziło o stworzenie takiego obrazu historii Solidarności, by Wałęsa jawił się w nim jako osoba postronna, przypadkowa, jedna z wielu. Książki Pawła Zyzaka, Sławomira Cenckiewicza, Piotra Gontarczyka i oparte na nich liczne teksty publicystyczne, napisane w pierwszej dekadzie XXI w., nasyciły czarną legendę jeszcze głębszą czernią. Dały też pożywkę i wzór, jak dekapitować Wałęsę. A materiały z szafy Kiszczaka tę egzekucję ułatwiały.

Ton tym atakom zawsze nadaje Jarosław Kaczyński. W 2016 r. powiedział kilku europejskim gazetom: „Nie traktujcie Wałęsy serio. To ofiara nowoczesnych czasów. Pełnił rolę lidera Solidarności, ale było to możliwe w ówczesnym specyficznym kontekście. Poza tym: wielki deficyt intelektualny, wady charakteru, straszna przeszłość przeważały nad zdolnością polityczną. Kilka razy się zdyskredytował”.

Wałęsa stoi w punkcie centralnym odrodzenia Polski w 1989 r. i to nijak nie pasuje Jarosławowi Kaczyńskiemu, choć wówczas działał dość aktywnie razem z Wałęsą. Nie pasuje, bo jak się chce zbudować tożsamość swojego ruchu na nienawiści do III RP i na jej miejsce wprowadzić IV RP, wykreować w zastępstwie starych nowe autorytety, a już zwłaszcza wykreować kult Lecha Kaczyńskiego, trzeba wymienić znaczenia i treści historii, znaleźć nowy język i nową propagandę. I pójść z tym do społeczeństwa, do szkół, do mediów, a przede wszystkim do własnej telewizji. Dlatego dla Kaczyńskiego Wałęsa nigdy nie przestał być Bolkiem i jako taki działał w kolejnych Solidarnościach, w 1989 r. i później – to najkrótsza sentencja, która nakazuje postawić znak zapytania nad Okrągłym Stołem i nad całą III RP. Wałęsę trzeba wyrzucić z historii.

Można tę operację wyrzucania śledzić choćby w podręcznikach do nauki historii. Zaczęła już minister edukacji Anna Zalewska. W czwartej klasie szkoły podstawowej uczniowie mieli pierwszy kontakt z historią. Uczyli się powiązywać wielkie wydarzenia z konkretnymi bohaterami. W jednym z zadań podano 18 takich przykładów, typu: budowa Gdyni i Eugeniusz Kwiatkowski. Tylko w jednym przypadku nie wskazano konkretnej osoby, a zamiast tego: „Solidarność i jej bohaterowie”. Dopiero się zaczęło, jeszcze nie wpisano nazwiska Lecha Kaczyńskiego.

To przykład sprzed kilku lat. Inne, bardziej świeże. 31 sierpnia 2022 r. w rocznicę podpisania porozumień sierpniowych w Gdańsku odbyły się uroczystości organizowane przez Instytut Pamięci Narodowej. O Wałęsie w ogóle nie było mowy, nie zająknęli się o nim w wystąpieniach ani premier Mateusz Morawiecki, ani prezydent Andrzej Duda. Jeden z dygnitarzy PiS w wywiadzie prasowym wymienił bohaterów sierpniowych, małżeństwo Gwiazdów i Andrzeja Kołodzieję – akurat popierających PiS – dzięki którym „zaczęła się droga do wolności”.

Niezawodne „Wiadomości” TVP: „Przywódcami strajku byli: Lech Wałęsa, jak się później okazało tajny współpracownik SB o pseudonimie »Bolek«, który zrezygnował z uczestniczenia

w obchodach, a także Anna Walentynowicz, dzięki której 6 sierpnia, kiedy komuniści zapowiedzieli podwyżkę płac, strajk nie zakończył się”. Z kolei portal wPolityce.pl na słowa Danuty Wałęsy, że jej mąż „czuje się rozgoryczony, zdradzony”, odpowiedział szarmancko, że to „histeria 73-latki”. Dodajmy, że gmach IPN w Warszawie zdobi wielkie zdjęcie ze strajku sierpniowego, a na nim postać Anny Walentynowicz.

Mur oporu

Przeciwno takim zamiarom i zabiegom ustawił się mur oporu. Chodzi o samego Wałęsę, ale też o oceny współczesnej historii Polski. Publicysta POLITYKI Adam Szostkiewicz napisał: „Dziś nie zgadzamy się na próby napisania naszej najnowszej historii na nowo za pomocą kwitów Kiszczaka. Nawet jeśli Bolek był Wałęsą, to Wałęsa nie jest Bolkiem. Jest od niego sto razy większy”. Publicysta „Gazety Wyborczej” Wojciech Czuchnowski: „Lech Wałęsa był dla nas jak Westerplatte, Alamo, Iwo Jima i Stalingrad razem wzięte. Armia kłamców nie odbierze tego ani Jemu, ani nam”. Socjolog prof. Ireneusz Krzemiński: „Z całą pewnością liczny zastęp kreatur będzie się teraz mógł chlubić własną wielkością na tle posągu, który już nie stoi, ale leży na ziemi”. Nakręconym w 2013 r. filmem „Wałęsa. Człowiek z nadziei” Andrzej Wajda próbował przeciwstawić się oszczerstwom rzucanym na Lecha Wałęsę.

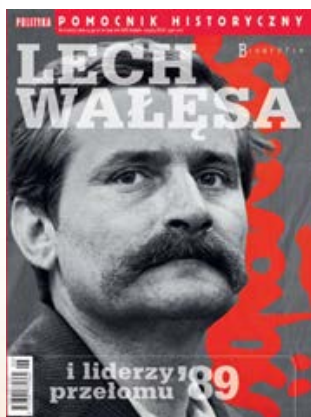
Blaski i cienie zyciorysu Wałęsy nabrały dodatkowych znaczeń za sprawą wydanej w 2011 r. książki jego żony Danuty „Marzenia i tajemnice”. Pokazały Lecha z perspektywy rodziny i nie był to obraz sielankowy. Tę książkę Krystyna Janda zaadaptowała na monodram wystawiany z wielkim powodzeniem. To było wielkie upomnienie się o siebie, kobietę, matkę, która gdzieś w cieniu, na zapleczu, prowadziła swoją wojnę o przetrwanie, o szczęście i miłość, gdy mąż oddał się wielkiej historii, co zresztą rozumiała i podziwiała.

Ta spowiedź Danuty Wałęsy otworzyła bogatsze odczytanie historii Solidarności i jej ludzi. Swoistym uwieńczeniem tego otwarcia jest musical „1989”, który opowiada historię Polski lat 1980–89. Nikt na scenie nie kwestionuje pozycji lidera, czyli Lecha Wałęsy, niemniej kluczową postacią tej sztuki jest Danuta Wałęsa. W otoczeniu innych kobiet z Solidarności śpiewa wielką arię. To jest pieśń upominająca się o szacunek i godność kobiet, o docenienie ich bohaterstwa w domu. To nie jest żaden akt wymazywania Wałęsy z historii, ale osadzenie jego wielkości w innych kontekstach i w otoczeniu innych postaci.

Utrzymanie się Lecha na spizowym pomniku utrudnia także to, że wielodzietna rodzina dostarczała mu – obok szczęśliwych – także momentów dramatycznych, a nawet tragicznych. Jak napisał eseista Jan Jerzy Jerz nawet największych bohaterów dotyczy banalność codziennej egzystencji, a w kieszeniach obok planów budowy nowej historii noszą oni także „brudne, wilgotne chustki od nosa”. I to trzeba wiedzieć i rozumieć.

Im się więcej widzi i rozumie, tym – zgodnie z zasadą złotej proporcji – więcej szacunku i podziwu dla Lecha Wałęsy i jego zasług dla Polski. Tego się nigdy nie uda wymazać.

WIESŁAW WŁADYKA



Więcej czytaj w Pomocniku Historycznym POLITYKI „Lech Wałęsa i liderzy przełomu '89” do kupienia od 20 września w dobrych punktach sprzedaży i na sklep.polityka.pl.



Fragment „Panoramy 1453” przedstawiającej zdobycie Konstantynopola przez sułtana Mehmeda II.

Mury na piasku

Grodzenie granicy państwa to potężny komunikat polityczny: chronimy swoich, powstrzymamy obcych. Tyle że to obietnice bez pokrycia.

TOMASZ TARGAŃSKI

Najstarszy kamienny mur w Polsce wybudowano ok. 1700 r. p.n.e. (czyli w czasie, gdy Babilonem władał Hammurabi) na szczycie Góry Zyndrama w dolinie Dunajca. Grube kamienne bloki, ułożone jeden na drugim bez zaprawy, otaczały osadę liczącą 25 domów i zamieszkaną przez mniej niż 200 osób. Wyjątkowość tej konstrukcji polega na tym, że ani na ziemiach polskich, ani w ogóle w Europie Środkowej tamtego okresu nie ma śladu po kamiennych fortyfikacjach.

Wzniesienie takiego muru wymagało nie tylko ogromnego nakładu sił i środków, ale przede wszystkim znajomości architektonicznych wzorców, które pochodziły z zewnątrz. Archeolodzy

przypuszczają, że potężny – dochodzący do trzech metrów wysokości – mur oraz znajdująca się w środku osada były dziełem ludności napływowej, prawdopodobnie z basenu Morza Śródziemnego lub Adriatyku, i najpewniej miały związek ze szlakiem, którym wzdłuż Dunajca na południe Europy transportowano bursztyn. Mimo swojej monumentalności mur nie dał mieszkańcom oczekiwanego spokoju. Osada na Górze Zyndrama przetrwała niewiele ponad 200 lat i w tym czasie była areną niepokoju wewnętrznych. Wiadomo, że warownie strawił pożar, nie ma jednak dowodów na atak z zewnątrz. Ok. 1500 r. p.n.e. osada została porzucona i jej historia się urywa.

Tożsamość mieszkańców Góry Zyndrama pozostaje tajemnicą, ale budowniczy muru kierowali się uniwersalną potrzebą, przyświecającą wszystkim

konstrukcjom obronnym od zarania dziejów: potrzebą bezpieczeństwa i separacji od „obcych”. Znaleźli się na nowym, nieznanym sobie terenie, otoczeni ludźmi, których nie rozumieli i zamiarów się obawiali. Kamienna bariera miała chronić ich życie, ale również obyczaje i kulturę, słowem uchronić przed wpływami z zewnątrz. Brak śladów walki wskazuje, że strach przed obcymi był jednak przesadzony. Osada nie upadła na skutek ataku z zewnątrz. Najstarszy mur w Polsce po prostu rozpadł się pod wpływem czasu.

Swoi i obcy

Nie sposób stwierdzić, kto pierwszy postanowił odgrodzić się od innych ludzi. Po najwcześniejszych zaporach, składających się z ziemi bądź żerdzi, nie został ślad. Starożytni Izraelici, Sumerowie, Chaldejczycy, Asyryjczycy budowali już z kamienia i robili to na ogromną skalę. Wielki mur Szulgiego (panującego nad Sumerem w latach 2096–2048 p.n.e.) liczył ok. 300 km. Mur Nabuchodonozora II (605–562 p.n.e.), który miał chronić serce jego państwa, Babilonii, przed najazdami koczowniców z Północy, ciągnął się od Eufratu aż po Tygrys. Przedstawiciele kultury mykeńskiej (1700–1150 p.n.e.) wznosili potężne cytadele otoczone murami, ►

► o których grecki geograf Pauzanasz napisał, że nie mogły zostać ułożone ludzką ręką, ale wybudowali je cyklopi.

Monumentalne konstrukcje obronne zyskały szczególne znaczenie na Bliskim Wschodzie, ponieważ tamtejsze scentralizowane państwa chciały odgradzić się od sąsiadujących z nimi ludów koczowniczych. Południowa granica Wielkiego Stepu stanowiła wyzwanie militarne dla każdego rolniczego państwa w regionie, które musiało bronić ludzi uprawiających ziemię i płacących podatki. Pierwszy cesarz Chin Qin Shi Huangdi (221–210 p.n.e.), by bronić północnych rubieży swojego kraju, zaczął wznosić mur przeciw *Xiongnu*, ludowi konnych wojowników znanych w Europie jako Hunowie. Względny bezpieczeństwa przyświecały również Rzymowi, który wzdłuż Renu i Dunaju wznosił liczący około tysiąca kilometrów system umocnień, *limes*, odgraniczający świat rzymski – rozumiany jako prawo i cywilizacja – od dzikiego *barbaricum*.

W średniowiecznej Europie nie było potrzeby budowania liczących setki kilometrów obwarowań na miarę rzymskiej *limes*. Ich miejsce zajęły coraz grubsze i wyższe mury służące do obrony zamków i miast. Na Wschodzie – szczególnie w Bizancjum – odgrywały one istotną rolę. Właśnie podczas oblężenia stolicy Bizancjum, Konstantynopola, w 1453 r. nastąpił świt nowej ery: skruszenie niezdojanych fortyfikacji za pomocą armat było zapowiedzią tego, co miało nadejść.

Ostateczny koniec epoki murów jako budowli obronnych przyniósł dopiero wiek XVIII i epoka napoleońska. Nie było już muru potężnego na tyle, by oparł się artylerii. Odkąd słynny francuski inżynier Sébastien Vauban opracował matematyczny model zdobywania twierdzy, zwycięstwo oblegających było wyłącznie kwestią nakładu odpowiednich sił, środków oraz czasu.

Z punktu widzenia rozwoju miast deklasaacja murów była błogosławieństwem. Uwolniona z potrzeb tkanka miejska mogła wreszcie rozrastać się swobodnie, przyciągając nowych mieszkańców. Wraz z likwidacją ciasnoty zmniejszyło się prawdopodobieństwo epidemii. Mury przestały mieć co prawda znaczenie militarne – w XIX w. większość fortyfikacji miejskich w Europie została rozebrana – zachowały natomiast swoją funkcję polityczną jako narzędzie segregacji „swoich” od „obcych”.

Państwo zamknięte

Poza rolę obronną mury pełniły często funkcję państwowotwórczą. Budowa umocnionego punktu i otoczenie go murem



pomagało utrzymać kontrolę nad terytorium i ludnością. Wikingowie oraz ich potomkowie wznosili umocnione grody wszędzie, gdzie się pojawili. Budowane od IX w. na Rusi warowne grodziska wareskich wodzów położone na szlakach handlowych, łączących Bałtyk z Morzem Kaspijskim i Czarnym, stały się zaczątkiem państwa – Rusi Kijowskiej. Podbiwszy w 1066 r. Anglię, Wilhelm Zdobywca rozpoczął projekt budowy kamiennych twierdzy na niespotykaną na wyspach skalę. Dla rodzimych Anglosasów ich istnienie było niedającym się przeoczyć znakiem, że mają nowych panów i są ludnością podbitą.

Mury to przede wszystkim potężny komunikat polityczny i jako taki wpływają one na ludzi żyjących w ich cieniu, kształtując obraz świata zewnętrznego. Mury rodzą przesady na temat ludzi po obu stronach. Zdaniem Wenecjan, którzy w 1516 r. utworzyli getto dla zamieszkujących miasto Żydów, miało ono oddzielać chrześcijan od „nieczystego ciała Żyda” i jego „kalającego dotyku”. W książce „Wielki Mur Chiński” Julia Lovell przywołuje słowa chińskiego generała z VI w. n.e., którego zdaniem Wielki Mur oddzielał „ludzi, co spożywają zboże, zamieszkują w domach, noszą jedwabie i kroczą jak uczeni”, od tych „o dzikim wyglądzie, co odziewają się w wełniane stroje i piją krew, żyjąc wśród ptactwa i bestii”.

Kultury usilnie otaczające się murami charakteryzuje chęć zatrzymania czasu i utrzymania status quo kosztem zmian. Tak właśnie stało się w Chinach, które przez kolejne pokolenia odgradzały się od sąsiadów i z czasem zaczęły postrzegać się jako jedyny cywilizowany kraj na świecie. Wszystkich żyjących poza Wielkim Murem uznawały za barbarzyńców. Dla dynastii Ming (1368–1644), żyjącej w ciągłym strachu przed Mongołami, ideałem było państwo zamknięte. Jej władcy zintensyfikowali budowę kolejnych odcinków Wielkiego Muru, stopniowo zamykali

Od lewej: ruiny obwałowań osady na Górze Zyndrama w Maszkowicach, Wielki Mur w Chinach.



granice, zaprzestali nawet dalekomorskich wypraw, podczas których chińscy admirałowie dotarli do wschodnich wybrzeży Afryki.

Cywilna rewolucja

Wielkie wysiłki, by odgradzić „swoich” od „obcych”, zwykle kończyły się niepowodzeniem. Dzieje murów dowodzą, że stu procentowa separacja jest mrzonką. „Swoi” przyjmowali bowiem obyczaje „obcych” i na odwrót. Obie strony nie mogły oprzeć się urokowi tego, co znajdowało się po drugiej stronie. Z tego właśnie powodu odgradzający się od Anglosasów Normanowie bardzo szybko zaczęli żenić się z ich córkami i mówić ich językiem. Także po obu stronach rzymskiej *limes* zachodziły dynamiczne przemiany: Germanowie romanizowali się, a rzymscy żołnierze przyjmowali kulturę ludów pogranicza. W Brytanii wał Hadriana spełnił rolę dyfuzora – strzegący go legionieści zamiast odciąć się od miejscowych, siłą rzeczy wchodzili z nimi w coraz ściślejsze kontakty. Nawet mury nowożytnych gett nie zatrzymały wymiany kulturowej między chrześcijanami a Żydami: słowa, idee i obyczaje podróżowały bez względu na fizyczne ograniczenia.

Najbardziej doniosła rola murów polega jednak na nierozdzielalnym związku między nimi a narodzinami cywilnego społeczeństwa. Słowo „cywil” wywodzi się od łacińskiego *civilis*, które oznaczało człowieka niebędącego żołnierzem. David Frye, historyk, archeolog i autor wydanej w Polsce książki „Mury”, przekonuje, że fortyfikacje miejskie były niezbędnym składnikiem jednej z najważniejszych



rewolucji społecznych w dziejach ludzkości: powstania cywilnego trybu życia. W ich obrębie ludzie po raz pierwszy mogli bowiem poczuć się bezpiecznie, a ponieważ nie musieli walczyć, wykorzystywali czas w bardziej twórczy sposób. Dzięki murom działalność zawodowa człowieka z wolna stawała się ważniejsza od jego zdolności wojennych. Bez murów – pisze Frye – „nie byłoby Owidiusza, chińskich uczonych, babilońskich matematyków ani greckich filozofów”. W późniejszych epokach wiele miast wprost zakazywało mieszkańcom nosić przy sobie broń w obrębie murów.

Najbardziej surowymi krytykami cywilnego społeczeństwa byli Spartanie, którzy nigdy nie zbudowali wokół swego miasta murów, ponieważ uważali, że fortyfikacje „rozmiękczają” ludzi żyjących w ich cieniu. Pogoń za pieniądzem i skłonność do luksusu utożsamiano odtąd powszechnie z cywilnym trybem życia i powszechnie przypisywano je „mieszczuchom”.

Wbrew temu, co pisze Frye, mury nie są równoznaczne z cywilizacją, a ich brak nie oznaczał barbarzyństwa rozumianego jako permanentna wojna. Społeczności złożone w większości z cywilów z pewnością nie są pokojowe z natury, po prostu płaciły innym „obcym”, by strzegły ich murów i toczyły za nich wojny. Poza tym ludy, które autor określa jako barbarzyńskie, np. plemiona germańskie i słowiańskie, również budowały fortyfikacje, dość wspomnieć ciągnące się przez setki kilometrów wzdłuż Dniepru na Ukrainie ziemne umocnienia nazywane Żmijowymi Wałami, zbudowane przez Słowian jako zapora przeciw stepowym koczownikom.

Mury wzmagają nieufność i mogą prowokować wojny. Kiedy w 457 r. p.n.e. Ateny ukończyły budowę długich kamiennych obwałowań łączących miasto z portem w Pireusie, reszta greckich miast przyjęła ten fakt z niedowierzaniem. John Lewis Gaddis w książce „Geniusze strategii” przywołuje reakcje Spartan, którzy „próbowali przekonać Ateńczyków, że żadne miasto nie powinno tego czynić – taki zakaz miał wzmocnić poczucie jedności Greków w obliczu wciąż aktualnego perskiego zagrożenia”. Długi mur sprawił, że Ateny mogły decydować o sobie bez oglądania się na kogokolwiek. Wzniesienie fortyfikacji zostało więc odebrane jako akt nielojalności względem sojuszników. Nadszarpniętego zaufania nie dało się naprawić, co wkrótce doprowadziło do wybuchu wojny peloponeskiej.

Miraże potęgi

Inna pomijana prawda na temat murów jest taka, że często nie spełniały one pokładanych w nich nadziei. Mur nie zapewnił Atenom oczekiwanej hegemonii i nie uratował miasta przed klęską z rąk Sparty. Również chiński Wielki Mur – wbrew późniejszej legendzie – nie stanowił wzdłuż całej swojej długości jednolitego pasa umocnień. Jako fortyfikacja był nieustającą *work in progress*. Panegiryki, sławiące długość, szerokość i wielkość konstrukcji, w rzeczywistości służyły zakamuflowaniu niewygodnego faktu, że nie sprawdził się on jako zaporę przed koczownikami. Liczne luki i zrujnowane odcinki stanowiły zachętę dla najeźdźców, ze względu na brak ludzi długie fragmenty były niestrzeżone, a arystokraci, którym powierzano obronę

fortów, nazbyt często okazywali się przepokupni (kiedy w 1644 r. Mandżurowie zdobyli Pekin, ich wojska zostały wpuszczone do środka przez rozczarowanego swoimi zwierzchnikami generała).

Problem z monumentalnymi fortyfikacjami obliczonymi na powstrzymanie „odwiecznych wrogów” polega na tym, że ich znaczenie polityczne często brało górę nad cechami czysto obronnymi. Dzieje się tak szczególnie w sytuacjach, kiedy władcy inwestują w nie swój autorytet albo budowa pochłania tyle środków, że nikt nie jest w stanie zakwestionować potrzeby ich istnienia. Takie mury, kiedy już stoją, samoistnie uzasadniają swój byt. Nawet po druzgocącej klęsce Francji w 1940 r. apologeta linii Maginota – systemu umocnień wzniesionego w okresie międzywojennym na granicy z Niemcami kosztem niemal 3 mld franków – podkreślali, że same fortyfikacje nigdy nie zostały zdobyte, a broniący ich żołnierze poddali się sami...

Wiek murów

Lubimy myśleć, że żyjemy w epoce wolności, w świecie bez granic. Nic bardziej mylnego. Jeśli konsekwencją katastrofy klimatycznej rzeczywistość będą masowe ruchy migracyjne, to wiek XXI może być stuleciem murów. Naukowe raporty mówią o dziesiątkach, a nawet setkach milionów ludzi, którzy w ciągu następnych dekad – pod wpływem suszy, głodu lub podnoszącego się poziomu oceanów – opuszczą domy w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Idea odgródzenia się, zamknięcia granic staje się zatem coraz bardziej atrakcyjna i politycznie opłacalna.

Dlatego mury wokół nas powstają w zaskakującym tempie: pierwszą zaporę odgradzającą Europę od migrantów wybudowała w 1995 r. Hiszpania w Ceucie, swojej enklawie u wybrzeży Afryki; po kryzysie migracyjnym w 2015 r. swoje granice ufortyfikowały Grecja, Serbia, Chorwacja, Słowenia i Węgry. Niedawno Litwa, Łotwa i Estonia zbudowały zapory na granicy z Rosją, dziś to samo robi Polska na granicy z Białorusią. Groźnie wyglądające bariery zaznaczają nie tylko granice państw – infekują również tkankę miejską np. w postaci ogrodzonych osiedli. Leżąca u zarania wszystkich murów idea separacji jednych ludzi od drugich zdaje się żywa jak nigdy, a one same – mimo wpływu tysięcy lat – nadal są potężnym narzędziem politycznym. Na pocieszenie pozostaje historyczne doświadczenie, z którego wynika, że prędzej czy później wszystkie mury tracą znaczenie.

TOMASZ TARGAŃSKI

na ekranie

Szara granica 5/6

Zielona granica, reż. Agnieszka Holland, prod. Polska, Czechy, Francja, Belgia 2023, 147 min



Agnieszka Holland nakręciła „Zieloną granicę” m.in. po to, aby wyrazić niezgodę na traktowanie nielegalnych imigrantów na polsko-białoruskiej granicy jako piątej kolumny Putina i Łukaszenki. Podczas gdy prawicowa propaganda nazywa ich żywymi pociskami, oskarża o przemyt broni, materiałów pedofilskich itd., reżyserka stara się przywrócić im podmiotowość i godność. Wobec śmierci ciężarnych kobiet zamazujących w lesie z zimna, tragedii dzieci topiących się w bagnach, bezsilności osób próbujących przedostać się do zamkniętej w twierdzy Europy, co z całą grozą zostaje przedstawione na ekranie – nie pozostaje obojętne. Zrobiwszy wcześniej filmy poświęcone m.in. nazistowskiemu zbrodniom czy przemilczanemu przez świat holodomorowi, dostrzega w tym (proroczo?) refleks totalitarnych potworności. Już pierwsze, barwne ujęcie Puszczy Białowieskiej, płynnie przechodzące w czarno-biały pejzaż kojarzący się z cmentarzyskiem, nie pozostawia złudzeń. Trudno odmówić reżyserce moralnych racji, gdy dopowiada w wywiadach, że to, co się dzieje na granicach, nie tylko

polsko-białoruskiej, stanowi sprawdzian z humanitaryzmu, którego my, nasz rząd, ale też cała Europa nie zdaje. Temat jest drażliwy, skrajnie upolityczniony. Pomimo że wiele osób udaje, że problemu nie ma, wszyscy wiedzą, że gra się toczy nie tylko o sumienie pograniczników czy odruch solidarności odwracających wzrok, żyjących wygodnie ludzi. Holland uznała, że nie trzeba tłumaczyć, w jaki sposób uchodźcy trafili z Afganistanu i Syrii do samolotu wiozącego ich do Białorusi. Zbyt pobieżnie wyjaśnia mechanizmy politycznej manipulacji. Interesuje ją niemal wyłącznie kontekst cierpienia, bólu zadanego niewinnym istotom poruszającym się między biegunami brutalności władz i heroizmu aktywistów. Pokazuje też, jak się to wszystko odbija na postawach świadków, np. psychoterapeutki granej przez Maję Ostaszewską. „Zielona granica” nie jest – jak intensywnie powtarza rządowa propaganda – paszkwilem na Polskę ani mową niewiści ukazującą Polaków jako bandytów i morderców. To gorzki obraz, który tak długo będzie uwierał, dopóki czegoś dobrego w tej sprawie nie zrobimy. Dopóki szczerze nie porozmawiamy.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Dobry egoizm 4/6

Strzępy, reż. Beata Dżianowicz, prod. Polska 2022, 98 min

Beata Dżianowicz debiutowała w fabule dramatem sensacyjnym „Odnajdę cię”, dopiero jednak „Strzępy”, dostrzeżone rok temu w Gdyni (nagroda za pierwszy lub drugi film), udowodniają, na co ją naprawdę stać. Znana dokumentalistka, scenarzystka, autorka sztuk teatralnych i wykładowczyni Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach mierzy się w tym filmie z tematem nieuleczalnej choroby. Inaczej niż w głośnym „Motyl Still Alice” czy nagrodzonym Oscarem „Ojcu” autorka nie skupia się na cierpieniu osoby dotkniętej alzheimem, tylko na tym, jak ta przypadłość zaburza relacje i rozlewa się na bliskich. Dżianowicz ma dar obserwacji i umiejętnie to wykorzystuje, tworząc poruszający emocjonalnie portret rodziny uginającej się pod brzemieniem niemożliwego wyboru. Wiadomo, że chorzy na otępienie cierpią na zaburzenia pamięci, mają trudności ze znalezieniem słów, wpadają w depresję przerywaną nagłymi wybuchami złości i agresji, niekiedy poważnie zagrażając bezpieczeństwu otoczenia. Reakcją na niebezpieczne zachowanie profesora



śląskiej politechniki, u którego lekarze stwierdzają początki alzheimera, jest szybka decyzja o umieszczeniu go w zakładzie. Jednak pod wpływem miłości i wyrzutów sumienia jego syn wycofuje się z niej, doprowadzając do małżeńskiego kryzysu. Dżianowicz mówi o cenie udzielania pomocy, ale i o lęku wywołanym perspektywą dziedziczenia choroby. Bez prostych rozwiązań, happy endu. JW



na scenie

Znajoma znajomej 5/6

She was a friend of someone else, scen. i reż. Gosia Wdowik, Nowy Teatr w Warszawie i CAMPO Gent

Bezimienna bohaterka leży wyczerpana na łóżku, przez które przechodzi Polska, jak w „Kartotece” Różewicza. Grana przez reżyserkę spektaklu, Gosię Wdowik, czuje się wypalona, dosłownie: dymi. Jeszcze niedawno chodziła na demonstracje, z czarną parasolką, z hasłem: „Wypierdalać!”, a teraz już nie ma sił. „Na szczęście jesteśmy w teatrze, więc może ktoś dostrzeże w tej niemocy artystyczny potencjał” – ironicznie punktuje grana przez **Jaśminę Polak** narratorka. Godzinny spektakl jest kontynuacją wcześniejszego, zrealizowanego przez Wdowik i Martynę Wawrzyniak z feministycznym kolektywem Teraz Polić, „Powiem i zobaczą, co się stanie”. Tematem są coming outy aborcyjne, wzorowane na akcjach z 1971 r., gdy najpierw francuski „Le Nouvel Observateur” opublikował manifest podpisany przez 343 kobiety, znane i nieznane, otwarcie przyznające się do aborcji, a potem tą samą drogą poszedł zachodnioniemiecki „Stern”, z 374 nazwiskami, okładką z hasłem „Miałymy aborcję” i 28 kobiecymi twarzami. W socjalistycznej Polsce w tym czasie aborcja była legalna, sytuacja się odwróciła po 1989 r. i teraz to u nas odwagi i determinacji wymaga odtabuizowanie przerywania niechcianej czy zagrażającej zdrowiu i życiu kobiety ciąży. Historia Justyny Wydrzyńskiej, skazanej na prace społeczne za pomoc w aborcji i pojawiającej się na nagraniu Agnieszki, próbującej przenieść na nasze podwórko akcję z 1971 r., pokazuje, jak trudno dziś walczyć o prawa kobiet. I jak bardzo trzeba.

ANETA KYZIÓŁ

na scenie

Szóstka wygrwa 4/6

Toby Marlow, Lucy Moss, **Six**, reż. Ewelina Adamska-Porczyk, Teatr Syrena w Warszawie

Zacęło się od studenckiego spektaklu pokazanego na festiwalu Fringe w Edynburgu, a potem była kariera na West Endzie i Broadwayu. Pomysł jest prosty: oto sześć żon Henryka VIII w formie muzycznego *contest show* przez półtorej godziny walczy o uwagę widzów, uwodząc ich osobowością i łzawą historią życia. Zmyślać przesadnie nie muszą, bo król małżonek (i patriarchalna kultura renesansu) zadbał, by traum im nie zabrakło. W otwierającej show piosence przedstawiają się po kolei: „Rozwiedziona, stracona, zgon, rozwiedziona, stracona, wdowa po”. Z kolejnych, inspirowanych stylami gwiazd anglosaskiego popu – od Britney Spears po Rihannę i raperki – najlepiej wypada „No nie” pierwszej żony („rozwiedziona”), Katarzyny Aragońskiej (**Olga Szomańska**), nawiązujące do przebojów Beyoncé i Jennifer Lopez oraz liryczna „Miłość jak gład” trzeciej („zgon”), Jane Seymour (**Marta Burdynowicz**), w której słycać echo ballad Adele. Panie przekomarzają się – o dowcipne dialogi zadbał tłumacz całości Jacek Mikołajczyk, show idzie sprawnie, co jest zasługą reżyserki Eweliny Adamskiej-Porczyk i kobiecego zespołu muzycznego grającego na żywo. I tak aż do finału, tyleż zgodnego z duchem naszych czasów, co – jak całe „Six” – mocno przewidywalnego. AK



w telewizji

Mroczna baśń 4/6

Odmieniec, scenariusz: Kelly Marcel, 8 odc., Apple TV+

Victor LaValle, jeden z najważniejszych dziś czarnych autorów literatury fantastycznej, sam o swojej powieści pisał „baśń”. W „Odmieńcu” brawurowo połączył horror, weird fiction, miejską fantazy i powieść obyczajową (spychając wątki rasowe na dalszy plan). Apollo Kagwa i jego żona Emma założyli szczęśliwą rodzinę, żyją spokojnie w Nowym Jorku, spodziewają się dziecka. Z pozoru sielanka, choć jego dręczą wspomnienia z dzieciństwa i lęk przed rodzicielstwem (ojciec Apolla przed laty porzucił rodzinę bez słowa), ona zaś



ukrywa przed światem coś, co wydarzyło się podczas jej podróży do Brazylii krótko przed ślubem. A gdy na świat przychodzi mały Brian, w życie rodziny wkradają się mrok, rozpacz i wreszcie niewyobrażalna zbrodnia, po której Emma znika, zaś Apollo trafia do szpitala, by potem wyruszyć w podróż, która – być może – pozwoli mu zrozumieć, co tak naprawdę się stało. Trzy udostępnione w dniu premiery epizody obiecują i dają całkiem dużo: „Odmieniec” ma duszną, niepokojącą atmosferę, umiejętnie podrzuca różne wątki, zmienia plany czasowe, zaś grający główną rolę **LaKeith Stanfield** daje swojemu bohaterowi emocje, empatię i duszę. Murowany sukces? Amerykańscy krytycy, którzy przedpremierowo dostali do obejrzenia cały sezon, nieco marudzili na nie-spójność ekranowej wizji, w co – zwłaszcza po lekturze powieści – łatwo uwierzyć.

JAKUB DEMIAŃCZUK

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Samotny żołnierz 4/6

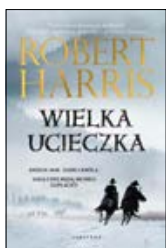
Werner Herzog, **Zmierzchanie świata**,
przeł. Małgorzata Łukasiewicz,
PIW, Warszawa 2023, s. 176

Porucznik Cesarskiej Armii Hiroo Onoda – bohater minipowieści Wernera Herzoga „Zmierzchanie świata” – dostaje w grudniu 1944 r. polecenie: po ewakuacji wojsk japońskich z filipińskiej wyspy Lubang ma utrzymać ją pod okupacją. Onoda polecenie potraktował nadzwyczaj poważnie. Dysponując ledwie trzema żołnierzami, sprawował kontrolę nad wyspą przez kolejne... 29 lat. Docierające do niego informacje o końcu wojny i kapitulacji Japonii brał za amerykańską propagandę. Tkwił na posterunku jako jednoosobowy oddział oporu. Przeżył 111 zasadzek. Z czasem stał się legendą. Młody japoński poszukiwacz przygód, któremu udało się dotrzeć do Onody na początku 1974 r., na swojej liście rzeczy do zrobienia miał go obok yeti. „Zmierzchanie świata” nie jest przygodową powieścią



o ukrywaniu się w dżungli. To raczej niemal filozoficzny traktat o kondycji ludzkiej. Onodę postawić należy w jednym szeregu z bohaterami filmów Herzoga, którzy podporządkowanie się idei przypłacili niemalże szaleństwem. Onoda również jest bliski obłądki. Gdy mijają dekady, a amerykańskie samoloty nadal ciągną nad Azję, Onoda uważa, że to wciąż ta sama wojna. A może taki właśnie jest teatr świata? I czy to nie dlatego Herzog wybrał bohatera, który od tego świata ucieka? Kiedy żyjący przez lata w odosobnieniu Onoda wróci wreszcie do Japonii, będzie zde gustowany konsumpcjonizmem i wyjedzie do Mato Grosso hodować bydło. Onoda jest jak pingwin z późnego filmu Herzoga – oddala się od stada i samotnie znika, wybierając śmierć. Albo wolność.

MACIEJ ROBERT



Podzielony naród 4/6

Robert Harris, **Wielka ucieczka**,
przeł. Janusz Ochab,
Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2023, s. 480

Można odnieść wrażenie, że Robert Harris w dowolnej epoce potrafi znaleźć materiał na solidny polityczny thriller, a jeszcze zrecznie wplata między fabularne wątki dyskretne odniesienia do współczesności. „Wielka ucieczka” to rozgrywająca się w drugiej połowie XVII w. historia pościgu

nieustępliwego rojalisty Richarda Naylera za dwoma pułkownikami, którzy – jako jedni z wielu – podpisali wyrok śmierci na króla Karola I. Rządy republikanów upadły, Oliver Cromwell nie żyje, w Anglii na tron wraca król żądny zemsty za śmierć ojca. Ścigani Whalley i Goffe znajdują schronienie wśród purytańskich osadników w Ameryce, lecz i tam nie mogą czuć się bezpieczni. Nowa powieść Harris imponuje dbałością o detale – to niemal historyczny reportaż wzbogacony o wymyślone dialogi. Prawie wszyscy bohaterowie istnieli w rzeczywistości, autor stworzył jedynie Naylera, bo potrzebował wyrazistego czarnego charakteru. Jednocześnie w „Wielkiej ucieczce” odbijają się okrucy czasów dzisiejszych. Jest to przecież opowieść o podzielonym narodzie, wiecznie na krawędzi bratobójczego konfliktu, o szaleństwie władzy, o religijnym fanatyzmie. Harris nie ma natury moralisty, te refleksy nowoczesności są dyskretne, lecz to właśnie one sprawiają, że proza Brytyjczyka wyrasta ponad przeciętny poziom historycznej fikcji.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Frazy jak obrazy 5/6

Tatiana Tîbuleac, **Szkłany ogród**,
przeł. Kazimierz Jurczak, Noir sur Blanc
i Książkowe Klimaty, Warszawa 2023, s. 200

Książka Tatiany Tîbuleac zdobyła w 2019 r. Europejską Nagrodę Literacką, a dziś czyta się ją ze zgrozą. Snuje bowiem opowieść o przemianach Mołdawii, która szuka własnej tożsamości po upadku ZSRR, a mimo to – jak wiele innych byłych republik sowieckich – pozostaje w orbicie rosyjskich zainteresowań. W wir tych wielkich wydarzeń wpada mała Łastoczka, wykupiona z wiejskiego sierocińca i tak od tej pory, z rosyjska („łastoczka” znaczy jaskółka), nazywana. Dziewczynka jest na swój sposób, po dziecinnemu zdezorientowana, czuje więc obserwuje i słucha. Z internatu zna język rumuńsko-mołdawski, w mieście wyższe sfery mówią po rosyjsku. Sentyment za dawnym imperium walczy w ludziach z głodem wolności. I właśnie w języku to najlepiej widać. Tatiana Tîbuleac, autorka rumuńsko-mołdawska, operuje nim szlachetnie, nie tylko wtrącając obco brzmiące Łastoczce słowa, ale i budując sugestywne, poetyckie frazy. Ten styl objawił się już we wspaniałej powieści „Lato, gdy mama miała zielone oczy”, na jej tle „Szkłany ogród” porusza szersze wątki rodzajej się we wschodniej Europie niepodległości i niezależności: „W szkole opinie na temat pierestrojki były podzielone. Dzieci z rodzin wykształconych twierdziły, że jest dobra. Bo wolność i cała reszta. Natomiast dzieci z rodzin, gdzie idee były na miejscu drugim, trzecim albo dwudziestym czwartym – jak u mnie i Tamary Pawłowny – mówiły, że świat stacza się w dół. Tak jakby mógł staczać się pod górę. Czas pokazał, że rację mieli i jedni, i drudzy”. Tu wciąż kluczowe jest jednostkowe doświadczenie, wyrażane najpierw w języku, a potem w mentalności i działaniu. Bardzo to uniwersalne, a dzięki Tîbuleac jedyne w swoim rodzaju.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



w galerii

Okiem optymisty 4/6

Art Moves 2023. 16 Międzynarodowy Festiwal Sztuki na Bilbordach, Toruń, do 8 listopada

Od kiedy pojawiły się w Polsce bilbordy, zrodziła się także – jakże szlachetna – pokusa, by ich nośniki anektować na potrzeby działań artystycznych. Takich prób było wiele, ale na szczególną uwagę zasługuje toruńska impreza organizowana od 16 lat przez Fundację Rusz. Od skromnej i lokalnej przerodziła się w całkiem poważny międzynarodowy projekt, o którym świadczą choćby liczby. W obecnej edycji 774 prace nadesłało ponad 400 artystów z 62 krajów świata. A do prezentacji w przestrzeni publicznej miasta wybrano 30 najlepszych, według jury, dzieł. Pojawiły się na bilbordach, citylightach, ekranach LED oraz słupach ogłoszeniowych. Tym razem artystom kazano zmierzyć się z hasłem wyraźnie inspirowanym piosenką z filmu „Żywoł Briana” Monty Pythona: „Jak zmienić perspektywę, by widzieć jasną, a nie tylko ciemną stronę rzeczywistości”. Trzeba przyznać, że w świecie targanym przez kryzys klimatyczny, wielkie migracje, wojny i mnóstwo innych plag wyzwaniem to raczej karkołomne. Zwyciężyła **praca Piotra Depty-Kleśty, wykorzystująca symbol okularów**. Zamiast jednak oczywistego odwołania się do różowych szkielek, artysta zasugerował, że pesymista po prostu mniej widzi z otaczającego świata. Co ciekawe, wśród kilku wyróżnionych bilbordów znalazły się obok siebie prace artystów z Chin i z Tajwanu, co najlepiej, choć niezamierzenie, komentuje tegoroczne hasło festiwalu. Jak to często bywa, rzeczywistość przerosła wyobraźnię.

PIOTR SARZYŃSKI



13. EDYCJA

22-24.09.2023

**SZALONE
DNI**
ODA
DO NOCY
MUZYKI

festiwale

Nie tylko nokturny

13. Szalone Dni Muzyki, Warszawa, Opera Narodowa, 22–24 września

Tegoroczne hasło festiwalu Szalone Dni Muzyki to „Oda do nocy”. Do nocy odnosili się kompozytorzy różnych epok, mamy więc nie tylko serenady Mozarta czy nokturny Chopina, ale też np. „Leçons de ténèbres” François Couperina, „Noce w ogrodach Hiszpanii” Manuela de Falli, „Sabat czarownicy z „Symfonii fantastycznej” Hectora Berlioz czy „Verklärte Nacht” Arnolda Schönberga, nie mówiąc o pieśniach, piosenkach i muzyce filmowej. To wszystko usłyszymy w tym roku. Szczególnie ważny jest powrót, i to do głównego festiwalowego nurtu, zawieszonych od czasu pandemii występów orkiestr i zespołów szkolnych z całej Polski. Ale nie zabraknie też dorosłych zespołów i solistów. Obok Sinfonii Varsovii (organizatora festiwalu) będą NFM Orkiestra Leopoldinum, Ricercar Consort, Quatuor Hanson, trio wokalne Les Itinérantes, Trio Bastarda, Aureum Saxophon Quartett, Chopin University Big Band, a wśród solistów świetni pianiści: Luis Fernando Pérez, Varvara (w „Wariacjach Goldbergowskich” Bacha pisanych na bezsennej noc) oraz przedstawiający swoje nowe płyty Adam Kośmiejka i Bartek Wąsik. Jak co roku nie zabraknie propozycji dla dzieci: Smykofonii czy Smoka Bazyłka.

DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: szalonednimuzyki.pl

na płycie

W zawieszeniu 5/6

Raphael Rogiński, **Talàn**, Instant Classic

Pierwsza od lat solowa płyta Raphaela Rogińskiego – gitarzysty dwukrotnie nominowanego do Paszportów POLITYKI – to książkowa ilustracja wyprowadzania słuchacza w pole. Autor ma swoje brzmienie, skontrolowane do najdrobniejszego detalu, które odnosi się do różnych rejonów świata naraz. Ale gdy tak zastanawiamy się, czy to Azja, czy Afryka, mamy przed sobą tę samą gitarę Rogińskiego, a nie egzotyczne ngoni czy saz. Relacje autora z jego wypraw do Odessy czy z podróży wokół Morza Czarnego są częścią wspaniale snutej opowieści, ale lokalny kontekst nie przenosi się wprost na muzykę. Jest w niej raczej pewien duch podróży, z ozdobnikami w liniach melodycznych i pewną surowością, a może nawet kurzem i pyłem lekko zbrudzonych partii gitary. Słuchacz „Talàn” znajdzie się w mistycznym zawieszeniu, niepewności – jak z tytułem albumu, scytyjskim słowem, które miałyby oznaczać tyle co „może”. Tyle że wzorzystą płytę Rogińskiego nota jest dla mnie jedynym źródłem tego znaczenia. I niby to słowo doskonale pasuje do sytuacji – nie wiadomo, gdzie dokładnie jesteśmy, może tu, może tam. Ale poruszająca i głęboka jest ta muzyka na pewno. I lepiej się zgubić z Rogińskim, niż odnaleźć w bardziej banalnym towarzystwie.

BARTEK CHACIŃSKI



Kto po Taylor Swift 4/6

Olivia Rodrigo, **Guts**, Geffen

A gdybyśmy tak spojrzeli już za dzisiejszą supergwiazdę, czyli Taylor Swift? Gdybyśmy chcieli sobie wyobrazić, kto ma szansę na podobną karierę? Olivia Rodrigo ma dziś ledwie 20 lat, jest młodsza nawet od Billie Eilish. Przeszła telewizyjną szkółkę, występując w programach Disneya (w jednym z nich w roli gitarzystki) – jak wiele starszych wokalistek – po czym zdążyła wydać bardzo przebojowy i nagrodzony Grammy, choć jeszcze niezbyt spójny album „Sour”. Na „Guts”, drugiej płycie – prawie w całości napisanej przez Rodrigo z producentem Danem Nigro (znanym z grupy As Tall As Lions) – odwołuje się do muzyki, której nie ma prawa pamiętać. Wokalistka i autorka o filipińskich korzeniach sięga mianowicie do brzmień wczesnych lat 90.: L7, czy nawet Pixies, okazjonalnie nawiązuje też do nieco późniejszej muzyki Avril Lavigne, wpisuje się w dawną tradycję żeńskiej wokalistyki między popem a punkiem, emocje dawnej sceny alternatywnej przepakowując w atrakcyjną dla dzisiejszej młodej publiczności formę. Nie brak dziś takich machinalnych powrotów do przeszłości, ale tu wrażenie robi wyrównany poziom materiału, technika i bardzo duża swoboda wykonawcza, a przede wszystkim czytelny dystans, który bywa raczej zaletą dużo starszych artystów. BCH



Potrójny szok

To nie jest film o bohaterze nowej Polski, jakim był np. Kukliński, tylko o antybohaterze – mówi **Jan Holoubek**, reżyser thrillera szpiegowskiego „Doppelgänger. Sobowtór”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – **Polscy patrioci i nieszczęśliwie miłujący swoich sąsiadów narodowcy nie polubią pana filmu.**
JAN HOLOUBEK: – Dlaczego?

Wynika z niego, że Polacy to taki dziwny naród, właściwie bękart bez wyraźnej tożsamości. Niemcy przez wieki nas gnębili. Ruscy gwałcili. To cud, że jako zbiorowości udało nam się przetrwać.

To chyba przesada, rzecz dotyczy jednego z bohaterów. Ale to fakt, że mamy trudną historię. Przyłączenie ziem zachodnich po drugiej wojnie światowej było wydarzeniem bezprecedensowym. Olbrzymi teren przeszedł pod panowanie państwa, które jednocześnie na wschodzie utraciło znaczną część obszaru uznanego za jego integralną część. W skali współczesnej Europy nie było drugiego takiego przypadku. Ta historyczna i terytorialna walta postawiła wielu ludzi w skomplikowanej sytuacji. Jeden z dwóch bohaterów mojego filmu rodzi się w Grudziądzu na zajmowanym przez Polaków terenie jako dziecko rosyjskiego żołnierza poczęte z gwałtu na matce Niemce. Ściśle rzecz biorąc, nie jest więc Polakiem.

Ale za takiego się uważa. Ma niejasną tożsamość, jak spora część naszego społeczeństwa.

Przed wojną byliśmy krajem wielokulturowym. Okupacja ten porządek całkowicie zniszczyła. Na tle naszych wielowiekowych dziejów fakt, że obecnie Polska wydaje się narodowo jednolita, jest czymś absolutnie wyjątkowym. Jako kraj szukamy swojej tożsamości. Czujemy fantomowe odcienie od żydowskich,

niemieckich, wschodnich i wielu innych korzeni, które niegdyś tu istniały. Brakuje nam ich, podświadomie je przywołujemy. Za chwilę w księgarniach pojawi się książka Zbigniewa Rokity „Odrzania”, która opowiada o tym czasie w sposób fascynujący.

Budując nową Polskę, komuniści starali się to wszystko przemilczeć.

Mit założycielski głosił, że wracamy na Ziemię Odzyskaną. To nie były ziemie odzyskane, to były tereny zaimplementowane Polsce przez Stalina. Długo sądzono, że ziemie na wschód od Odry wrócą do Niemiec. Ludzie nie czuli się tam u siebie. Mieli poczucie tymczasowości, obawiali się, że znowu grozi im wywózka.

Ten strach pozostał?

Raczej nie. W międzyczasie wiele się wydarzyło: przełom '89, ostateczne uznanie granic, a także powódź stulecia, o której zrobiłem serial „Wielka woda”. Dla południowo-zachodniej Polski konsolidująca więzi, budująca tożsamość.

Z kolei kłamstwem założycielskim państwa PiS jest rzekomy zamach smoleński.

Jak wiele innych. Tylko jak się na nich skupimy, nie starczy miejsca na ciekawsze wątki.

Pytanie, kim jesteśmy jako wspólnota, jest nadal otwarte.

Czy można wyczerpująco na nie odpowiedzieć? Na to, kim się jest – na poziomie indywidualnym – szuka się odpowiedzi przez całe życie. Zmieniamy się, zatem i odpowiedzi ewoluują. Naród pozostaje żywym i wrażliwym organizmem, takim samym jak jednostka. Więc długo jeszcze będziemy szukać.



Jan Holoubek

(ur. 1978 r.) – reżyser i operator, współtwórca „Wielkiej wody”, popularnego serialu Netflix, za który został uhonorowany Paszportem POLITYKI. W kinie debiutował głośnym dramatem „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy”, który również stał się przebojem (obejrzało go ponad 700 tys. Polaków). Jest także autorem dokumentu „Słońce i cień”, o przyjaźni jego ojca Gustawa Holoubka z Tadeuszem Konwickim, oraz serialu „Rojst”.

Na fot. Jan Holoubek na planie filmu „Doppelgänger. Sobowtór”.

I o tym myślał pan, kręcąc film „Doppelgänger. Sobowtór”?

O tym akurat najmniej. Bardziej interesował mnie indywidualny los. Zabrzmi może dziwnie, ale sam nie do końca rozumiem, dlaczego dla postaci granej przez Tomasza Schuchardta kwestia, czy jest on synem Polki, byłej więźniarki Auschwitz, czy Niemki, wydaje się aż tak ważna. Jego żona tłumaczy mi, że to nie ma znaczenia. Kochają się, mają dzieci – po co w to brnąć. Na jego miejscu, zamiast się zatracać, odpuściłbym i skupił na bliskich. Wiem, że na poziomie intelektualnym pewne rzeczy wymagają wyjaśnienia, ale emocjonalnie uważam, że rację ma jego żona.

Przeszość i pochodzenie ma dla niektórych fundamentalne znaczenie.

Widocznie tak. W latach 70. wspomnienie wojny i ran, które zadali nam Niemcy, było znacznie żywsze niż dzisiaj.

W „Przypadku” Kieślowskiego są przedstawione trzy warianty polskiego losu. U pana – dwa. Oba filmy stawiają pytania, co nas łączy, jakimi jesteśmy ludźmi, na co nas stać.

Na czym polega ta polska specyfika, nasza odmienność?

W trakcie wojny, niemal z dnia na dzień, zniknęła mniejszość żydowska, zaraz potem zniknął panujący od wieków system latyfundiacyjny, drastycznie zmieniły się granice i ustrój polityczny. To był potrójny szok wywołany cudzymi, bo niemieckimi oraz rosyjskimi, rękami, którego skutki odczuwamy do dziś. Nie otrząsnęliśmy się z tego. Nie przepracowaliśmy traum.

Wypieramy kłopotliwą przeszłość. Gnębi nas niepewność, że czegoś ważnego jeszcze o sobie nie wiemy.

Ciągle szukamy narodowego mianownika, żeby się go trzymać i móc dalej funkcjonować. Tylko najwyraźniej współczesna polaryzacja wskazuje, że coś poszło nie tak. Nie istnieje wspólny mianownik, wokół którego Polacy mogliby się skupić. Wyjątkiem były Sierpień '80, przełom 1989 r., może wejście do NATO. Potem natychmiast następowała erozja – podziały na zadowolonych i wściekłych.

Zamiast tożsamości narodowej mamy plemienną. A politycy stosunkowo łatwo zakłamują rzeczywistość. Zamiast mówić prawdę, wolą manipulować zbiorową świadomością.

Każda władza to robi. Musi to robić. Przyciąga do swoich wizji, konsolidując poszczególne części społeczeństwa. Żaden podręcznik historii w żadnym kraju nie mówi do końca prawdy. System edukacji przykrywa te najwstydliwsze, najbardziej kompromitujące fakty. Tymczasem żeby móc się rozwijać i iść dalej, trzeba się konfrontować z prawdą, nawet jeśli jest bolesna. Na szczęście demokracja tym się różni od komuny, że nie zabrania swobodnego dostępu do informacji. Do tego służą instytuty badawcze, do tego służy możliwość publikowania, a także swoboda wypowiedzi artystycznej.

„Doppelgänger” ma tę konfrontację z prawdą umożliwić? Co było intencją zrobienia filmu?

„Doppelgänger” już na etapie kilkudzianowego opisu miał potencjał niezwykle ciekawej opowieści gatunkowej, a ja jestem wielkim fanem gatunku. Kino szpiegowskie było jak dotąd rzadko eksploatowane przez rodzimy rynek filmowy. Scenariusz okazał się wielopiętrową opowieścią, zarówno na poziomie jednostkowym, jak i ogólnospołecznym. To opowieść o ludzkich namiętnościach i dylematach z wielką historią w tle. To również opowieść o erozji wiary w ideologię i propagandę.

Dlaczego spora część społeczeństwa ulega i mimo wszystko wierzy propagandzie?

Spółczesność jest mocno podzielona. Wielu ludzi potrzebuje silnej identyfikacji z konkretną ideą, choćby z narzucanym przez prawicę chwalebny obrazem polskości, który spełniałby oczekiwania wybielenia z win i wad. To droga donikąd. Za to na pewno świetny sposób na konsolidowanie wokół siebie elektoratu.

Jakim zwierciadłem jest PRL dla Polaków żyjących tu i teraz?

Nie wiem. Dla trzydziestolatków i młodszego pokolenia to abstrakt. Centralizacja, ręczne sterowanie resortami, podporządkowanie sądów – obecna władza niemal kopiuje wzorce z tamtych czasów, chciałbym, żeby widzowie zrozumieli tę paralelę, jeśli o to pan pytał.

Dlatego stale podsuwa pan to lustro?

Sam jestem zdziwiony, jak robiąc filmy o PRL, nie opowiadam o tym, co bezpowrotnie minęło, tylko o współczesnych mechanizmach w nieco innym kostiumie. Przykładowo w „Doppelgängerze” poruszam temat człowieka, który w służbie państwa czyni zło. Jego motywacją nie jest wyłącznie ideologia, on robi w ten sposób karierę, spełnia swoje marzenia. Mało znamy takich przypadków z dzisiejszej rzeczywistości w polityce czy mediach? Mówię o postawach, które są uniwersalne.

To film o komunistycznym szpiegu, podszywającym się pod kogoś innego, infiltrującym polonijne środowiska na Zachodzie.

To nie jest film o bohaterze nowej Polski, jakim był np. Kuźniński, tylko o antybohaterze. Ale to, co najbardziej zachwyciło mnie w scenariuszu Andrzeja Gołdy, to historia o poszukiwaniu tożsamości na poziomie ogólnym i czysto ludzkim. Ekranizacja „Doppelgängera” była też wielkim wyzwaniem na poziomie estetycznym. Z jednej strony siermiężny PRL, z drugiej Francja lat 70. i 80. Trudne i podniecające. ▶

► Jak się zostawało peerelewskim Bondem?

Ich było niewiele. Mieli obycie, gruntowne wykształcenie, również psychologiczne, znali języki, posiadali zdolności aktorskie, potrafili wtopić się w tłum, szkolono ich w Kiejkutach. To była elita. W filmie zostają wymienione trzy główne motywacje, dlaczego zostaje się szpiegiem. Nienawiść do wroga jest najsilniejszą. Dla mnie interesujące było to, czy żyjąc na Zachodzie, człowiek, który ukradł tożsamość drugiemu, widząc wokół siebie normalny świat, dokonywał jakiegoś przewartościowania w sferze poglądów.

Zaskoczyło mnie, jak mocno wspierają go rodzice, zwłaszcza ojciec ubek. Znacząca relacja.

Nie wiem, czy to typowa droga wtórników, bo to ludzie, o których niewiele wiadomo. Byli głęboko zakonspirowani. Rodzice mojego bohatera wierzyli w komunistyczną Polskę. Byli dumni, że mogą się przysłużyć ojczyźnie. Ideowcy. Takich osób było mnóstwo.

Później najczęściej zostawali oportunistami.

Może tak, może nie. Rozmawiałem niedawno z Czarkiem Łazarowiczem o jego książce o Stanisławie Pyjasie. Opowiadał, że młodzi krakowscy esbecy dekady lat 70. różnili się od starszych kolegów. Byli dobrze wykształceni, często kończyli te same uczelnie, na których chwilę później prowadzili inwigilację opozycyjnych środowisk studenckich. Byli przekonani, że dokonali słusznego wyboru. Cieszyli się, że mają świetną pracę, przydział na mieszkanie, perspektywy. Nie czuli żadnego dysonansu, przynajmniej w początkowej fazie swojej działalności. Na niektórych wpłynęła dopiero zmiana polityczna początku lat 80.

Dojrżeli, ale podział na szpiegów i szarych ludzi walczących z systemem miał się w dalszym ciągu nieźle.

Nie chciałbym generalizować, że Polska dzieliła się na agentów SB i walczących. Większość żyła z dnia na dzień, zajmowała się sobą, nikogo nie inwigilowała ani nie przemyślała bibuły. W początkowej fazie filmu grany przez Tomka Schuchardta Jan jest właśnie takim zwykłym obywatelem. Dopiero później historia wciąga go w swoje bezlitosne tryby. W filmie chciałem się również przyjrzeć, co potrafi zrobić z człowiekiem opresyjna rodzina, a co by się stało, gdyby ten sam człowiek został wychowany w normalnych warunkach. Hans, trafiając do rodziny Steinerów, po raz pierwszy doświadcza miłości i akceptacji, jakiej nie zaznał w domu.

Podział na Polskę Michnika i Polskę Kiszczaka ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

Myślę, że marginalne. „Doppelgänger” opisuje postawy konformistyczne i hiperoportunistyczne. Zmienia się władza, dekoracja, a te postawy nie znikają. Zawsze są też ludzie niezłomni, walczący o godność. Nigdy nie jest to jednak taka sama sytuacja polityczna.

Widzi pan szansę na zasypanie ideologicznych rowów?

Nie bardzo. Podziały były i będą. Zmieniają się tematy sporów, inne były przed wojną, inne w czasie rozbiorów, jeszcze inne w XIX w. Stosunkowo najbardziej nośny i dziś szczególnie aktualny wydaje mi się podział na tradycjonalistów i tych zapartych na Zachód. Mnie bliżej do tych drugich. Konflikt między słowianofilami i okcydentalistami. Dwie skrajnie różne idee. To tak w największym uproszczeniu.

Nawet spór o LGBT się w nim mieści.

Tak. Mimo wszystko jestem optymistą. Mam nadzieję, że Polacy będą coraz bardziej akceptować inność w najszerzym tego słowa znaczeniu. Bo chyba do tego wszystko się sprowadza. Do akceptacji inności, także rasowej.

Na razie przygniatająca większość akceptuje push-backi na granicy polsko-białoruskiej.

Mur to część polityki ogólnoeuropejskiej. Polska tego nie wymyśliła. Taki sam mur powstał na Litwie. Nie słyszałem, aby Unia

gwałtownie protestowała przeciwko temu, co się przy nich dzieje. To mnie bardzo zasmuca, gdyż brak reakcji na wołanie o pomoc świadczy o tym, że humanitaryzm jest odkładany na półkę w imię wielkiej polityki. Ja takiego stanu rzeczy nie mogę zaakceptować.

Są też tacy, którzy pomagają. Im poświęciła nagrodzony w Wenecji film Agnieszka Holland, o którym minister Ziobro powiedział, że jest dziełem propagandystki III Rzeszy.

„Zielonej granicy” jeszcze nie widziałem. Domniemam jednak, że opowiada o niezwykle złożonej i trudnej sytuacji, w której poprzez polityczne decyzje znaleźli się zarówno migranci, jak i mieszkańcy przygranicznego pasa, a także służby mundurowe. Przypomnę, że hejt został sztucznie wykreowany przez prawicę, a rolą artysty nie jest ustawianie się po określonej stronie sporu. Ważne, by sztuka przedstawiała złożoność sytuacji.

Artysta to taki odpowiednik symetrysty?

Nie. Zwrócenie uwagi na złożoność sytuacji nie polega na sankcjonowaniu podziałów i szukaniu takich samych negatywnych zjawisk po przeciwnej stronie barykady, tylko na dogłębnym, wielowymiarowym przyjrzeniu się sytuacji i pokazaniu, jak ona naprawdę wygląda. Czarno-biały obraz rzadko bywa wiarygodny. Natomiast chętnie podsycają go i wykorzystują politycy do budowania dla siebie poparcia.

Czyli w mediach społecznościowych te bańki, w których żyjemy, pozostaną?

Ciężko będzie je rozbroić. Tym bardziej że ludzie po tamtej stronie myślą o nas dokładnie to samo, co my o nich. Jest w tym symetryzm właśnie. W naszej bańce chyba nawet nie dostrzegamy zacierzenia, które jest podobne jak po drugiej stronie.

Dlaczego pewne fakty nie są oczywiste dla ogółu?

Na przykład to, że nie było zamachu smoleńskiego albo, z drugiej strony, że w Magdalence zgodzono się na układ.

Wolimy i chcemy wierzyć w swoje słabo umotywowane racje. Każda bańka w swoje. To ma zresztą głębsze korzenie. Dla idei, symboli ludzie zawsze byli gotowi oddawać życie, zabijając innych. Wiara w mity jest wszechpotężna. To immanentna część człowieczeństwa. Towarzyszy nam od zarania.

Okłamujemy się, wierzymy w teorie spiskowe i bajki, żeby postawić na swoim?

Wmawiamy sobie, że jeden naród jest lepszy od drugiego, taki kolor skóry lepszy od tamtego, jedna religia od drugiej ważniejsza. To nas konsoliduje. Wokół takich skrzywionych wizji powstają mocarstwa. Jeżeli mnie pan pyta, dlaczego tak jest, odpowiadam: tacy jesteśmy, bo taka jest ludzka natura. Czy potrafimy coś z tym zrobić? Na dalszą metę pewnie nie, ale doraźnie, na swoim podwórku, należy próbować. Pociuszające wydaje mi się to, że tworzenie sztucznych bytów, jak wciskanie kolanem określonej wizji historii, zawsze kończy się porażką. Prawda w końcu zawsze wypływa.

Samym kobietom byłoby zapewne łatwiej. Nie sposób odmówić im racji, gdy przekonują, że wystarczy kochać, a reszta jakoś się ułoży.

Niewątpliwie świat byłby dużo lepszy, gdyby ich słuchano. Większość kobiet ma na to inny punkt widzenia, ponieważ chcą żyć w świecie zapewniającym ich dzieciom bezpieczne i wygodne warunki dorastania. Nie twierdzą, że tylko mężczyźni brną na różnych polach w nieustanne konflikty, bo kobiety też im w tym towarzyszą. Wróćmy jednak do imperatywu miłości, on jest najważniejszy. Niestety, to utopijna wizja. Zawsze będziemy między sobą o coś walczyć. Inaczej się nie da.

W jakiej Polsce się obudzimy w połowie października?

Nie wiem, pozostają jednak optymistą.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI



radio

ZET

*„POLITYKA JEST ZBYT WAŻNA,
ŻEBY Z NIEJ ŻARTOWAĆ”*

TYLKO **POWAŻNIE** O POLITYCE

BOGDAN RYMANOWSKI

GOŚĆ RADIA ZET | PN - PT, 8:02



KRZYSZTOF NOWAK

Polska na hallyu

Diaabolicznie głupi plan stworzenia najpopularniejszej piosenki na świecie” – grzmiał recenzent portalu Pitchfork, pisząc o singlu promującym album „Utopia” popularnego rapera Travisa Scotta. Do udziału zaprosił on bowiem The Weeknda, pierwszego artystę ze 100 mln słuchaczy miesięcznie w Spotify, a także Bad Bunny’ego (jego płyta „Un Verano Sin Ti” ma najwięcej odsłuchów w historii tego serwisu). Gigantomańskie zapędy zdradza też tytuł utworu skupiającego się nie na treści, lecz próbie zwrócenia na siebie uwagi: „KPOP”.

To do k-popu wypada nawiązać – choćby w tytule – jeśli chce się jeszcze bardziej urosnąć pod względem zasięgów. Przede wszystkim jednak wielkie zachodnie

gwiazdy chcą zrozumieć muzyczno-marketingową taktykę koreańską, żeby lepiej trafić w gusta słuchaczy z generacji Z – także tych mieszkających w Polsce, bo sztandarowy, obok serialowych k-dram, przykład soft power Korei Południowej zaczyna święcić coraz większe triumfy w naszym kraju. Nieprzypadkowo w Warszawie odbędzie się festiwal muzyczny mający napędzić zainteresowanie k-popem w całej Europie Środkowej.

K jak kontrola

K-pop w swojej obecnej formie wygląda jak ucieleśnienie snu pragmatyka. Powstał w 1992 r. gatunek doszedł do perfekcji w niepozostawianiu niczego przypadkowi i wytworzył skomplikowany, ale perfekcyjnie działający system – jeśli zdarzy się tu

porażka komercyjna, może mieć tylko jednego rodzica: artystkę lub artystę.

Nie byłoby to możliwe bez hojnych, acz zrozumiałych ekonomicznie dotacji od państwa. Jak podaje „The World Financial Review”, sam skład BTS – bodaj najbardziej rozpoznawalny zespół k-popowy – wygenerował w 2019 r. dla Korei Południowej 4,6 mld dol., czyli 0,3 proc. całego PKB kraju.

Droga wiodąca od tzw. trainee do idola nie ma skrótów. Kandydatki i kandydaci na gwiazdy poświęcają długie lata na ciężkie treningi. Dopiero wtedy zostają interdyscyplinarnymi profesjonalistami, gotowymi wyjść do ludzi. Nie można im zarzucić braku umiejętności wokalnych czy tanecznych ani pieczołowicie dopracowanego wizerunku, lecz płacą



Zespoły
CIX i (G)I-DLE
(po lewej) wystąpią
na stadionie
PGE Narodowy
w Warszawie.

Hallyu, czyli popkulturowa południowokoreańska fala, zalewa świat. A Polska czeka właśnie na swój pierwszy festiwal k-popowy.

za to wysoką cenę. Już na etapie przygotowań mają się stać czystymi kartami zapisywanymi przez szefów i odbiorców. Na kartach nie ma miejsca na takie rzeczy, jak tatuaże, alkohol, papierosy, imprezy czy komentarze polityczne. Gdy kariera stanie się faktem, wypada stronić także od związków. Poczucie dostępności to cenna waluta do obracania.

Konfrontacja z rynkiem to tak naprawdę najłatwiejszy etap, bo od początku działa się według planu maksymalizującego szanse na sukces. Grupowe utwory powstają w języku angielskim i/lub koreańskim, w hybrydowym gatunku będącym amalgamatem najsukcesowniejzych praktyk światowego popu i rapu oraz domieszki lokalności. Towarzyszące im choreografie aż proszą się o zapamiętanie

i powtórzenie w mediach społecznościowych. Popularność potęguje wsparcie od zaproszonych do tańca idoli z innych grup albo współpraca z czołowymi artystami ze Stanów Zjednoczonych.

Zawsze jednak jest w tym obecny patriotyzm. Nawet wielka rozpoznawalność gwiazdy k-popu rzadko zwalnia z obowiązku służby wojskowej. Zewnętrzny soft power pomagający zdobyć sympatię świata – pomocną w wypadku ewentualnego konfliktu zbrojnego z Koreą Północną – łączy się z wewnętrznym rygorem.

K jak **kolekcja**

Bastionem zjawiska jest tzw. fandom, łączący osoby wiernie kibicujące twórczyniom i twórcom. Najczęściej cechuje się otwartością, empatią

i zaangażowaniem, bo trafia do niego liryka skupiona wokół przeżywania oraz dbania o siebie i swoje emocje, a także poziom wykonawczy. Jego naturalnym medium jest X/Twitter, ale i tu k-popowi magowie biznesu wykorzystują koniunkturę. Ci, którzy chcą się naprawdę zbliżyć do sław, mogą skorzystać ze stworzonych przez wytwórnie płatnych aplikacji Bubbles. Tu można zadać pisemnie pytanie gwiazdzie, a ona odpowiada w formie wideo. Dziwić może fetyszyzowanie fizycznego nośnika nagrań. Klucz tkwi jednak, podobnie jak w przypadku innych k-popowych aktywności, w pomysłach. – *Album może zawierać CD lub być cyfrowy, z kodem QR pozwalającym na pobranie muzyki w aplikacji. Zawiera też zwykle ▶*

► *photobook*, czyli pięknie wydany album z sesją zdjęciową w koncepcji estetycznej danego cyklu promocyjnego, a także plakat, naklejki oraz fotokarty. Fotokarty są zdjęciami idoli i niewielka ich liczba jest losowo dodawana do wydań. To napędza sprzedaż, bo osoby kolekcjonujące karty kupują często kilka egzemplarzy. Fakt, że może być wiele wersji albumu, np. trzy różne wersje CD (każda z inną sesją zdjęciową i dodatkami) i dwie różne wersje cyfrowe, zachęca do kolekcjonowania – mówi Matylda „EveryCraft” Hej, prowadząca program K-Cast w Tuba.FM. Dodaje, że dotyczy to też EP-ek i singli. Takie podejście imponuje jej najbardziej w machinie promocyjnej k-popu.

K jak kultura

– *Jestem właścicielem, mamy polski sztab* – odpowiada tajemniczo po angielsku Koreańczyk SungHyun Jin po pytaniu o to, kto jest zaangażowany w cheoncheonchi, inicjatywę przedstawiającą u nas k-kulturę. Marka skupia się na k-popie, ale nie stroni także od poruszania kwestii historycznych. W sierpniu zorganizowała imprezę z okazji 78. Narodowego Dnia Wyzwolenia Korei. Personel nosił hanboki (tradycyjne koreańskie ubrania) i wręczał upominki tym, którzy zrobili sobie przy nim zdjęcie i opublikowali je w internecie. Pojawił się też koreański choreograf prowadzący warsztaty taneczne.

To ostatnie nie dziwi, bo nad Wisłą działają grupy zajmujące się odtwarzaniem choreografii z koreańskich piosenek. Dla profesjonalnych zespołów tego typu cheoncheonchi przygotowało w tym roku konkurs na poznańskim Pyrkonie, dla amatorów organizuje cykliczne imprezy w nocnych lokalach. Największą popularnością cieszą się te w Warszawie i Katowicach oraz Wrocławiu. Pojawia się na nich od 250 do 400 osób, choć nie brakuje trudności. – *Większość klubów uważa, że k-pop nie jest tak sławny, że jest to zjawisko tymczasowe* – rozkłada ręce SungHyun Jin. Z podobnymi uwagami borykają się Anna i Karolina. Zaczęły od założenia w 2014 r. kanału UNBUFFALO o tej muzyce i uczestniczyły w wydarzeniach jako media i obsługa w kraju i Europie. Po pięciu latach powstały imprezy K-POP FEVER na 150–300 osób. W lipcu tego roku przeprowadziły się zaś do Seulu, by pracować w firmie związanej z gatunkiem. – *Co weekend organizujemy – zdalnie – imprezy w Polsce, a ostatnio rozszerzyliśmy działalność na inne kraje*

europiejskie: Czechy, Słowację, Austrię, Litwę czy Łotwę – wyliczają. W trakcie swoich wydarzeń organizują też występy specjalne grup coverowych.

W ostatnich latach pewną popularnością cieszą się również aktywności dla młodszej klienteli, czyli obozy k-popowe. – *Zauważyliśmy, że naprawdę sporo osób jest zafascynowanych tą muzyką i kulturą, więc postanowiliśmy stworzyć miejsce, aby fani mogli się spotkać podczas wakacji* – wyjaśnia Sylwia Mróz z Biura Podróży i Turystyki Almatu Poznań. Największym wzięciem cieszyły się nauka choreografii i wypad do tematycznego sklepu. To wciąż nisza, dlatego po trzech turnusach na 30 osób każdy firma po prostu nie ma w Poznaniu (inni organizują obozy także nad morzem i w górach). Nie brakuje jednak uczestników pojawiających się kilka razy w roku.

K jak koncerty

Polska staje się ważnym punktem na mapie podboju koreańskiego przemysłu muzycznego, o czym przekonał się choćby za sprawą koncertu zespołu CIX w styczniu 2023 r. w warszawskiej Progresji. Symboliczno-biznesowa była wiosenna wizyta jeszcze bardziej zasięgowej grupy Enhypen – nagrała klip do „Bite Me” w ruinach zamku Krzyżtopór w Ujeździe, odwiedziła też stolicę. W odpowiedzi fandom przemianował w mapach Google część warszawskiego Starego Miasta na plac Enhypen. Słodko-gorzki był dla rodzimych fanów czerwiec. Na łamach portalu TOK FM ukazały się wyniki śledztwa związanego z festiwalami K-POP Stars. W 2022 r. się nie odbył, a w 2023 r. miał wypełnić lotnisko Bemowo. I tym razem wydarzenie nie doszło do skutku, co mogło nadważyć zaufanie Koreańczyków.

Niemal równolegle pojawiła się jednak informacja o przedsięwzięciu KPOP NATION, w które zaangażowali się azjatyccy partnerzy biznesowi. Pierwszy stadionowy festiwal k-popowy nad Wisłą odbędzie się 23 września na warszawskim Narodowym, a po polskiej stronie odpowiada za niego agencja Good Taste Production. Najtańsze bilety kosztują obecnie 581 zł. Koreańczycy wybrali Polskę za sprawą wyprzedających się na pniu klubowych koncertów. Ale ważne było też położenie geograficzne. Organizatorzy chcą skusić fanów z całej Europy, dlatego zaangażowali do pomocy niemiecki oddział bileterii Eventim. Celują w fanów z Niemiec, Czech, Słowacji i Austrii, wiedzą też o uczestnikach z Wielkiej Brytanii czy nawet ze Stanów

Zjednoczonych, dla których będzie to pierwsza wizyta w naszym kraju.

– *Największym wyzwaniem jest czas, ponieważ to festiwal jednodniowy z ośmioma zespołami. Zespoły przylatują chwilę przed, co wynika z ich napiętych grafików. The Boyz i Zerobaseone występują dzień wcześniej w Londynie. Logistyka wydarzenia jest więc trudna* – przekazuje Anna Osińska, specjalistka ds. piaru Good Taste Production.

K jak k-pol?

Chociaż k-pop jest umocowany w lokalnej kulturze, coraz mocniej otwiera się na kolejne pomysły dające rozpoznawalność. W kooperacjach z gigantami produkuje największy k-zespół, czyli BTS, który nagrywał utwory m.in. z Nicki Minaj, Lil Nas X-em czy Coldplayem. Po pięciach depcze mu grupa BLACKPINK, mająca na koncie piosenki z Seleną Gomez czy Lady Gagą. Ten girlsband to zarazem symbol stopniowych przemian castingowych. Tworzą go cztery artystki, z czego tylko jedna wychowywała się w Korei Południowej. Dwie rekrutują się z diaspy (spędziły dzieciństwo w Australii i Nowej Zelandii), a ostatnia pochodzi z Tajlandii.

Azjatki spoza kraju są już częścią gatunku, lecz na razie zagraniczne grupy nie cieszą się dużą popularnością. Burzliwe dyskusje wywołuje choćby BLACKSWAN z Brazylijką, Senegalką, Hinduską i Amerykanką. Ten stan rzeczy mogą zmienić projekty takie, jak „A2K”, czyli „America to Korea”, a także wspomniany przez Matyldę Hej program „The Debut: Dream Academy”, dzięki któremu powstanie globalna grupa.

My raczej nie doczekamy się w najbliższym czasie Polki lub Polaka w podobnym zespole. Zainteresowanie stylistyką wśród twórców naszej muzyki jest mniejsze niż wśród odbiorców. Czerpiąca z k-popu polska piosenkarka Marie twierdzi, że główny nurt podpatruje u Koreańczyków tylko warstwę wizualną. – *Czy muzyczny sznyt k-popu jest przekładalny dla polskiej artystki? Myślę, że jest to do zrobienia. Czy to łatwe? Raczej nie. Trudno o fachowców, którzy mieliby ochotę bawić się w tak skomplikowane produkcje. To wymaga dużego nakładu czasu, a reakcje zwrotne bywają różne* – zauważyła artystka. Sama nie definiuje założonej przez siebie wytwórni thecutestlabel jako k-popowej. W Polsce brakuje jej narzędzi promocyjnych. Asekuracyjnie dodaje jednak, że „na razie”. Kto wie, co przyniesie kolejna fala?

KRZYSZTOF NOWAK

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Wielki powrót publicysty niepokornego Jarosława Jakimowicza. Jarek na portalu Prawy.pl ruszył z nowym talk-show pt. „Tu jest Polska”. Premiera miała miejsce 11 września. Tę datę tradycyjnie rezerwujemy dla katastrof.

W wyborach do Sejmu z list PiS wystartuje Oliwia Skórka, była Miss Lata „Głosu Koszalińskiego” i Miss Pomorza Środkowego. Koszalin ma wiele powodów do wstydu. Wiem coś o tym. Urodziłem się tam.

Mecz Polski z Wyspami Owczymi oglądało na antenach TVP średnio 4,4 mln widzów. Spotkanie Polska–Albania już tylko 3,8 mln. Może dlatego, że pierwsze to był mecz, a to drugie to było tylko spotkanie.

Doda zaangażowała się w kampanię „Twarze depresji. Nie oceniam. Akceptuję”. Jej celem jest szerzenie wiedzy na temat depresji. Wokalistka wyznała, że jej były mąż miał romans z terapeutką. Ciekawa metoda. Może zachęcić do odwiedzenia specjalisty.

Robert Bąkiewicz skrytykował posta PO Konrada Frysztaka za to, że podczas uroczystości patriotycznych w Radomiu korzystał z telefonu. Do jego słów odniósł się koszykarz Marcin Gortat, pisząc: „Milcz, patusie”. Widać, że pomiędzy kozłami potrafi ładnie ominąć i barana.

Aktor Piotr Zelt wystąpił w reklamie parówek Krakus. Brawo. Może kilka zdań o bohaterze tej kampanii. Parówki Krakus składają się w 90 proc. z mięsa wieprzowego.

Doskonała wiadomość dla wszystkich satanistów. Adam Nergal Darski wygrał z prywatnym żłobkiem, który zamradzał mu mieszkanie na warszawskim Powiślu. Fekalny ogródek zniknął spod jego okien. Powiedzenie „Gdzie diabeł nie może” właśnie straciło swoją aktualność.

Monika Richardson-Zamachowska rozwiodła się oficjalnie i ostatecznie ze Zbyszkiem Zamachowskim. Para opublikowała wspólne zdjęcie z sądu. Majątek podzielili równo. On wziął talent, ona mieszkanie.



„Fakt” dokonał przeglądu zegarków, jakie mieli piłkarze przed meczem Polska–Albania. Wygrał Robert Lewandowski z Patek Philippe za 480 tys. zł. Na drugim miejscu Wojtek Szczęsny z Hublot za 250 tys. zł. Zawodnicy Albanii mieli tylko kilka wskazówek. Jak wygrać.

Tzw. doktor Krzysztof Gojdz wypowiedział się na temat skóry Magdy Gessler, powiek Agaty Dudy oraz operacji plastycznych Ani Lewandowskiej. A ja chciałbym, aby o nim wypowiedział się Krzysztof Stanowski. Bo czuję tu drugą Natalię Janoszek. Minus wdzięk i Hindusi.

Jacek Kawalec postanowił zrezygnować z aktorstwa i poświęcić się karierze muzycznej. Jacka na Instagramie obserwuje 857 osób. Wielu będzie cierpieć, ale decyzja jest nieodwracalna.

„To niebezpieczny człowiek” – opowiadał o Tusku w Końskich Mateusz Morawiecki. – „W nadchodzących wyborach trzeba mu powiedzieć nie, a jak nie zrozumie, to nein albo do widzenia, czy lepiej auf wiedersehen”. Warto do tego wydelegować Raua, Müllera i Schreiberera.

Lil Masti, youtuberka, piosenkarka i zawodniczka freak fight, pokazała w sieci film z własnego porodu, gdzie komentuje dziewięciocentymetrowe rozwarcie. Obejrzałem. Pamiętacie film „Aguirre, gniew boży” Herzoga? Też powstawał w ogromnych bólach.

Prezenter Polsatu Krzysztof Ibisz postawił sprawę jasno: „Nigdy nie przejdę na emeryturę. Nie ma takiego stanu umysłu”. Zastanawiam się, czy to jeszcze pracoholizm czy już mobbing.

Sandra Kubicka i Izabella Krzan poprowadzą nowy program muzyczny w TVP2 pt. „Rytmy Dwójki”, który będzie nadawany w piątkowe wieczory. Lubię takie prezenterki, które goni inteligencja, ale one zawsze są szybsze.

Joanna Przetakiewicz pochwaliła się ostatnio w sieci, że poleciała helikopterem na panel dyskusyjny dotyczący ekologii w modzie. Logiczne. Ja też selekcjonuję śmieci na te, którymi palę, i te, które wywożę do lasu.

Przymrozek i wrozek

„Mrozek” Anny Nasiłowskiej, czyli pierwsza pełna biografia pisarza, przynosi jego portret na tle historycznych napięć, dobrze wpisany w kontekst. Nie jest to biografia demaskatorska, ale odsłania różne tajemnice.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Sławomir Mrozek na znanym zdjęciu Wojciecha Plewińskiego nosi polski kozuch i paryskie okulary. Nigdzie nie pasuje. Zmaga się z poczuciem niedopasowania i obcości. Najpierw ta niewygodność wiązała się z ciałem, z pochodzeniem, potem z oczekiwaniami wobec pisarza, z salonom. Ucieka od swojskości i od polskości, którą dzięki oddaleniu może dobrze opisać. Widzimy szukającego wolności Mrozka, który nosi w sobie sporo ciemności. Pisze o lękach, które towarzyszyły mu od dzieciństwa: „Obcość, a więc nieprzystosowanie, więc strach. Że w pewnym okresie byłem uznawany za superpolskiego pisarza, takiego prawie do kotleta schabowego i Kościuszki, to tylko sukces mojej mimikry, choć i nie tylko, bo było w tym także dręczące drażnienie mojego koszmaru, zabiegi magiczne, zaklinanie. Byłbym obcy, gdybym się urodził gdziekolwiek. Ale w Polsce szczególnie trudno jest być obcym. Dlatego uciekłem z Krakowa, żeby nie być »nasz«, jedną z postaci, jak wieża Mariacka nasza”.

Życie Mrozka tuż po wojnie naznaczył brak – śmierć matki. Z ojcem, pracującym na poczcie, nie dogadywał się zupełnie, zaczęli rozmawiać dopiero, gdy Mrozek był po czterdziestce. Dużo się wstydził: chłopskiego ojca, pochodzenia (urodził się w Borzęcinie), noszenia okularów – zanim sprawił sobie te francuskie oprawki, nosił toporne, jedyne, jakie były dostępne. Konfundował go nos, który urosł niespodziewanie, kiedy miał 16 lat. Taki nos w Polsce kojarzył się jednoznacznie, a Mrozek był świadkiem antysemickich ataków. „Sprawa mojego nosa na pewno była uzasadniona w otaczającej mnie wówczas rzeczywistości, choć wyolbrzymiona w mojej znerwicowanej wyobraźni”. Męczyła go nerwica, miał stany lękowe. Już po pogrzebie matki usłyszał od kogoś, że jest potworem, bo nie płakał. Nieśmiały i milkiwy, nie był zdolny do okazywania uczuć i wylewności.



Sławomir Mrozek w obiektywie Wojciecha Plewińskiego, 1961 r.

Anna Nasiłowska w swojej książce „Mrozek. Biografia” stawia pytanie o jego akces do komunizmu i nagły późniejszy zwrot. Mrozek nie unikał tego tematu. Uważał to za plamę na swoim życiorysie. „Był młodym człowiekiem w trudnej sytuacji rodzinnej, manipulował, trudno mu przypisać »nową wiarę«, raczej – krył się za tym koniunkturalizm” – pisze Nasiłowska.

Opisywał też moment, kiedy przyszło otrzeźwienie. Pracował wtedy w krakowskim „Dzienniku Polskim” i pisał zaangażowane reportaże. W 1955 r., w czasie słynnego Festiwalu Młodzieży, który przyniósł powiew swobody, Mrozek uświadomił sobie, że to, w czym uczestniczy, to oszustwo. W świeżo oddanym

do użytku Pałacu Kultury i Nauki razem z młodzieżą miał śpiewać „Szła dziewczeczka do laseczka”: „Znajdowaliśmy się w pałacu z fałszywego złota i sztucznych kamieni. Wrażenie, że ktoś robi ze mnie durnia, było tak silne, że ogarnięty furją, usiłowałem dowiedzieć się, kto to jest, żeby go zabić. A jednocześnie nie mogłem tej furii okazać i wykrzywiałem gębę w fałszywym uśmiechu do publiczności (...) doczekałem do zakrętu i zniknąłem” – napisał w „Baltazarze”. Nasiłowska zauważa, że taki nagły paroksyzm emocjonalny był kluczem do wielu jego wyborów życiowych. Objawiało się to nagłym poczuciem przerażenia i chęcią ucieczki. Jego sposobem rozliczenia się z przeszłością był żart, odreagowanie śmiechem

absurdów biurokracji, groteska, która stała się jego znakiem rozpoznawczym. Po „odwilży” piętnował absurd w swojej rubryce „Postępowiec”, a książkę, która potem powstała, Jan Błoński nazwał „najśmieszniejszą książką Polski ludowej”. Szybko zaczęto mówić, że rzeczywistość jest jak z Mrożka. Komizm rozbrajał patos ideologii. Mroźek sam dostarczał też anegdot. Zapamiętano choćby wizytę Friedricha Dürrenmatta w redakcji „Dialogu”. Po wykładzie, kiedy nadszedł czas pytań, zapadła cisza. „Zapytaj go: co u pana słychać?” – szepnął Mroźek do Konstantego Puzyny. I „co u pana słychać?” zaczęło krążyć jako bon mot.

Na przełomie lat 50. i 60. Mroźek zaczął odnosić sukcesy, ale cały czas gnał go gdzieś niepokój. Nie był typem kawiarzianego pisarza, drażnili go Hłasko czy Iredyński, chociaż jak oni sporo pił, żeby zagłuszać niepokój i nastroje depresyjne. W 1959 r. wziął ślub z malarką Marią Obrembą, Marą, osobą, która pozostawała zawsze w jego cieniu. Nasiłowska stara się oświetlić i ją, i ich relację. Wydobywa z cienia też między innymi postać Marii Paczowskiej, żony Bohdana, przyjaciółki Gombrowicza, która jeszcze w Polsce wydała świetną powieść, ale na emigracji już nie pisała. Nasiłowska opowiada o kobietach, z którymi jej bohater się spotykał, a które były często wyrazistymi, twórczymi osobowościami, jak choćby Krystyna Mazurówna. Takich relacji miał wiele. Nasiłowska wydobywa postaci rozmaitych kobiet, które w „Dzienniku” Mroźek oznaczał literami, ale nie ma w tym sensacyjności, autorka chce po prostu przywrócić im miejsce w pamięci.

W Krakowie Mroźkowi zaczęło być duszno, doskwierał mu brak mieszkania i życie na kupie z pisarzami przy Krupniczej. Zresztą tam miało miejsce włamanie, po którym Mroźek zaczął myśleć, że jest pod obserwacją Służby Bezpieczeństwa. Spalił wtedy swoje dzienniki, które prowadził od wczesnych lat. Jak pisze Nasiłowska: „Najpierw uciekł z Krakowa, żeby nie być jak lokalna atrakcja, »jak wieża Mariacka«, a potem z Warszawy – bo tam też go znali i żeby nie siedzieć w Bristolu. W pewnym skrócie można powiedzieć, że powodem ucieczki był sukces”.

W tym czasie, poprzedzającym wyjazd z kraju, w jego utworach odbijają się neurozy i lęki, bo twórczość była sposobem konfrontacji ze sobą samym. Pisał: „Moja pozycja literacka w ojczyźnie, choć oficjalnie bardzo wysoka – mam na myśli krytyków i większość czytelników – opiera się na czymś, co dawniej było prawdą,

ale teraz stało się fałszem. Szukali i nadal szukają kogoś, kto zaspokoiliby powszechną potrzebę swoistej narodowej satyry. Jak każdy, kto jest chory, kto nie radzi sobie z cierpieniem, Polacy mają skłonność do pocieszania się za pomocą pseudomasochistycznej autoironii, która jest niczym innym jak zakamuflowanym uzalaniem się nad sobą”.

Miał też poczucie zamykającej się klatki, przeczuwał, że za chwilę nie dostanie paszportu. W 1963 r. razem z Marą wyjechali do Włoch, ale zrobili to bardzo dyskretnie. Mroźek i tak się izolował i nie bywał, więc jego brak w kraju nie był początkowo zauważalny. Miał rację, że klatka się właśnie zamykała. „Już przed wyjazdem Mroźka pojawiały się różne sygnały alarmowe dyscyplinujące autora. Jednym z wcześniejszych było ostrzeżenie przed »groźnym Mroźkiem«, zawarte w opublikowanej przez Janusza Wilhelmiego w »Trybunie Ludu« w 1960 r. recenzji z tomu »Wesele w Atomicach«. W debiutanckim zbiorze, »Półpancerzach praktycznych«, w opowiadaniu mającym formę domniemanego listu anonimowego do autora, było tak: »Panie Mroźek, pan jest wroźek!«. Znowu – wywróżył sobie” – pisze Nasiłowska.

Skandal wybuchł na początku 1964 r., kiedy na przedstawieniu „Śmierć porucznika” publiczności zaczęła krzyżeć: „Hańba! Hańba!”. A potem rozpetęła się nagonka na Mroźka, który szarga narodowe wartości i deprecjuje Mickiewicza. „Ci o nazwiskach prapolskich, dębowych, katolickich, udowadniając szeroko, że jestem antypolski, antyspołeczny, nihilista, że (dosłownie) moja twórczość jest wyrazem pogardy dla prostego człowieka, że literacko jestem spokrewniony z Miłoszem i Gombrowiczem” – pisał Mroźek. (Swoją drogą argument, że twórca jest „antypolski”, również dziś służy do piętnowania niezależnych artystów). To była już przygrywka do Marca '68. Mieczysław Rakowski notował: „dożywamy obecnie interesujących dni. Stary, wyliniały polski nacjonalizm znalazł nagle zwolenników z najbardziej niespodziewanej strony, a mianowicie ludzi uważających się za komunistów”. Kiedy nastał koszmary 1968 r., krążył podchwytywany i podawany przez Radio Wolna Europa mroźkowski bon mot: „Mówiono, że u nas odwilż... a tymczasem przy Mroźek”.

Włochy były tylko przystankiem w ucieczce Mroźka. Potem był Paryż – trafił akurat na Maj '68. Rok później odeszły dwie ważne dla niego osoby: Jerzy Stempowski, z którym korespondował, i Witold Gombrowicz. Jego relacja z tym drugim

była dość tajemnicza. „Bez Gombrowicza byłbym ubogi. Ale z Gombrowiczem nie jestem sobą. Nacisk Gombrowicza jest silny i kłopotliwy, ale właśnie przez to zbawienny. Bo – jeśli chce się być – wymaga również silnego oporu. Jest to więc nacisk stwarzający” – napisał Mroźek po jego śmierci. Nasiłowska patrzy na tę relację pisarzy w kategoriach „lęku przed wpływem”, o którym pisał Harold Bloom.

Oddalenia Mroźka od Polski nie wiązały się z pełnym poczuciem wolności. Zwłaszcza w latach 80. „Nie wystarczyło uciec z Polski, by uwolnić się od skutków politycznego impasu i zacząć oddychać czystym powietrzem, wolnym od politycznego zaduchu panującego w kraju. To była polityczna brzytwa: chcesz pisać o miłości? Ale dlaczego nie na ważniejszy, zaangażowany temat? Chcesz traktat o sadzeniu grochu? Ale dlaczego nie o więźniach politycznych? Chcesz się bawić? Ale bawić się nie należy, trzeba walczyć. Mroźek znalazł się na Zachodzie pod podobną moralną presją politycznego obowiązku zajęcia stanowiska jak wszyscy twórcy w kraju” – pisze autorka.

Kolejnym przystankiem w ucieczkach Mroźka był Meksyk, z którego również musiał, wraz z drugą żoną Susaną Osorio, uciekać. Choć zarzekał się, że do Polski nie wróci, to zamieszkał w Krakowie, a nawet zgodził się w 1990 r. na fetowanie swoich urodzin, czego dawniej nie znośił. Powrót był trudny, kłopoty zdrowotne dopadły go jeszcze w Meksyku. W Krakowie doznał udaru i afazji. Pisanie „Baltazara” stało się dla niego odzyskiwaniem słów, które utracił. Mroźek przywykł do życia za szybą, wśród obcych języków, tutaj było inaczej – wszędzie język polski i sami Polacy. Spotkanie samego siebie z przeszłości też mogło być trudne. W każdym razie podjął decyzję o kolejnej ucieczce: do Nicei.

To on, jak przyznała żona, zawsze był motorem zmian. Kiedy odwiedziłam go rok przed śmiercią, mówił POLITYCE, że wracają do niego postaci z przeszłości: „Mówię po francusku, ale wspomnienia mam coraz bardziej polskie i to od najmłodszych lat. To też jest tworzywo starzenia się. Nagle przypomina się moja matka, mój ojciec, wszystko, co w pewnym sensie do mnie nie wracało przez lata – teraz jest obecne. Ta polskość jest nie do uniknięcia”. W opowieści Nasiłowskiej jego historia jest ściśle powiązana z zakrętami naszej historii. Widzimy Mroźka, który nieustannie ucieka przed narzuconymi mu rolami. Czerpie ze swoich neuroz i obsesji, i dotyka również współczesnych lęków. Nie chciał być „nasz”, ale ciągle ma nam wiele do powiedzenia o nas samych. ■

Zofia Jastrzębska w roli rapującej Romki Gity w serialu „Infamia”.



Powiedz coś po hiphopowemu

Relacje polskiego filmu z polskim rapem były trudne. Serial „Infamia” nie jest przełomem, ale to odejście do kina tendencyjnego i nieudolnego na rzecz porządnie przygotowanej rozrywki.

MARCIN „FLINT” WĘCŁAWEK

Realizowany według pomysłu Anny Maliszewskiej serial Netflixa „Infamia” ogląda się z niedowierzaniem. Rodzima kinematografia przyzwyczała nas bowiem do tego, że tam, gdzie pojawia się w niej rap, tam towarzyszy mu – niepotrzebne skreślić, zależnie od pokolenia – krindż, przypał albo żenada. Trudno było bez niepokoju słuchać doniesień, że młoda aktorka wciela się w aspirującą do miana raperki Romkę. I że muzyka odgrywa w tym wszystkim ważną rolę.

Przed oczami staje w takich chwilach na przykład Maria Sobocińska, której w drugim sezonie kryminalnego „Kruka” Macieja Pieprzycy rap wciśnięto jako

atrybut zaburzonej dziewczyny z Podlasia i widocznie – a co gorsza słyszalnie – się z nim męczy. Albo Ewa Ekwa w „Pokusie” Marii Sadowskiej – to dla odmiany duży ekran, duże miasto, ekstrawertyzm w miejsce introwertyzmu i szarża drugoplanowej postaci, którą scenariusz traktuje jak element dekoracji multikulturowej metropolii. Ekwa się nie męczy, niemniej jej rapowany utwór jest nam nachalnie podsuwany pod nos przez cały film, jakby to był hit roku.

W „Infamii” czeka nas niespodzianka. Zofia Jastrzębska zaczyna rymować i... nie powala, ale też powalać w żadnym razie nie powinna, w końcu gra zagubioną nastolatkę, która myśli kilkoma językami jednocześnie, funkcjonuje w różnych rzeczywistościach, zaś w trudnej sztuce rapu dopiero się szkoli. Brzmi natomiast naturalnie, jak ktoś, kto rzeczywiście

obcuje z tą muzyką i nie musiał jej sobie przyswoić na potrzeby produkcji. Można w to uwierzyć – tak jak i w palących uczniach słuchających sobie pod szkołą z telefonów Jana-Rapowanie.

Brzydko i przypadkiem

Wiarygodność wydaje się kluczowa. Dobrze przyjęte przez krytyków, nagrodzone na festiwalach „Jesteś Bogiem” – historia zespołu Paktofonika, dość nieuczciwie zawieszona między fabułą a filmem na faktach – podzieliła odbiorców. „O, więc to tak wygląda” – mówili ci, którzy ze względu na własne uprzedzenia i hermetyzm środowiska nie mieli okazji przyjrzeć się hip-hopowi. „Nie, to tak nie wygląda” – twierdzili ci, którzy się przyrzekli. I nie chodziło o to, że nie zgadzały się realia, detale. Kiedy Marcin Kowalczyk rapował jako Magik na usmarowanej klatce schodowej, wyglądał, jakby miał stan przedzawałowy i nieżyjącego już niestety rapera zaledwie przedrzeźniał. Niezamierzony komizm zrujnował wymiar emocjonalny tej sceny.

„Jesteś Bogiem” Leszka Dawida cierpiało na to samo, na co cierpieli przełomowi, dokumentalni „Blokersi” Latkowskiego z Eldo i z Peją czy poświęcony Chadzie, fabularyzujący jego biografię „Proceder” braci Węgrzyn. Ledwie zarysowane postaci służą socjologicznej tezie, z obowiązkową transformacją ustrojową w tle. „Ten pierwszy jest bardzo dobrym przykładem głównego problemu wszystkich tych filmów. Fabułę

można streścić w jednym krótkim zdaniu: trzech półmózgów przypadkiem nagrało płytę pokolenia. Ktokolwiek zna bohaterów tych opowieści na żywo, wie, że ich filmowi odpowiednicy zostali okrojeni z inteligencji, poczucia humoru i tego pozytywnego głodu twórczego, który sprawił, że tworzyli coś wyjątkowego” – komentował na portalu społecznościowym Kopruch, śląski raper undergroundowy, ceniony reżyser teledysków. I dalej tłumaczył: „w filmach musi być brzydko i dobijająco, a dialogi muszą ograniczać się do mruknięć i niedopowiedzianych zdań – bo tak przecież wygląda poetyka bloków. Kolesie przypadkowo obijają się od siebie jak autka w niewesołym miasteczku, czasem ktoś coś napisze, bo się wk...wił, czasem ktoś się zmartwi, że świat nie jest gotowy na jego teksty... i ch... – z apatii powstała płyta”.

Rysują laurki albo szydzą

W dyskusję internetową włączył się Sokół, jeden z rapowych potentatów, weteran, biznesmen. „U nas problem polega na tym, że wciąż rap traktuje się jak jakąś subkulturę niszową, jakbyśmy nie zauważali, że raperzy i słuchacze, niezależnie, czy studiowali, czy kradli, to byli prawdziwi ludzie. Z rodzinami, problemami, sukcesami i porażkami. Tu wciąż zabierają się za kręcenie tych filmów goście, którzy ch...a widzieli, jeszcze mniej rozumieją z tego i albo rysują laurki, albo szydzą, albo przerysowują teatralnie i nie ma w tym nigdy krzty realizmu. Nikt nie jest w stanie się z tym utożsamić” – stwierdził we właściwym sobie dobitnym stylu.

Drwina wychodziła do tej pory filmowcom najlepiej. W „Ślepnać od światła” według książki Jakuba Żulczyka, którą na mały ekran przeniósł aktor, reżyser i scenarzysta Krzysztof Skonieczny, mamy postać Pioruna, nierozgarniętego rapera, który chciał zadawać się z grubymi rybami półświatka, podczas gdy okazał się jedynie uwikłaną we własne sieci płotką. To cel prosty, choć nie należy bagatelizować tego, że umiejętnie ustrzelony. Rola odtwarzał sam Skonieczny – i to na tyle brawurowo, że rapowany teledysk Pioruna rozszedł się w internecie błyskawicznie, zaś aktor z powodzeniem nagrywa, bawiąc się już trochę inną konwencją w ramach Tektoniki. Zupełnie inną postacią jest Młody Małolat z komediowego serialu „Sexty” Alabrudzińskiej i Domalewskiego. Nikodem Rozbicki gra artystę ery muzyki trap, megalomana wycierającego kanapy w telewizyjnych talk-show, który wie, jak troszczyć się o wizerunek i internetową popularność. I robi to z wdziękiem.

Oczywiście w polskich flirtach kina z rapem zdarzają się dobre produkcje, czego najlepszym przykładem jest „Chleb i sól” Damiana Kocura. Film sprawia wrażenie, jakby ktoś z towarzystwa znudzonej małomiasteczkowej młodzieży brał na wspólne wyjścia kamerę, by patrzeć, jak młodzi ludzie zmagają się z niszczącą i wszechotaczającą nudą. Tak też brzmi, co funduje oglądającym nieco aktywności – w jednej chwili robią głośniejszy, by zrozumieć mamroczące pod nosem postaci, w innej natychmiast ścisząją, by uniknąć intensywnej gry na fortepianie, kontrastującej z miejską

wegetacją. W scenach nie ma fałszu ani przesady, dzieło Kocura wydaje się bardziej werystyczne niż naturalistyczne, niczym nie epatuje. Narastające napięcie między tubylcami i imigrantami przypomina to, co kręcił Spike Lee. Ale – pomijając drugoplanową rolę obeznanego z beznadzieją Intruza – rap dosztytu jest tu akurat niezgrabnie.

Trochę kosmici

Filmy kręcone w ostatnich latach mają wspólny mianownik. Bezradni i nieobecni opiekunowie, rozbite rodziny z obowiązkowym ojcem nałogowcem. W tle bloki z wielkiej płyty. Kebab jedzony w ilościach przemysłowych, konsola do gry, trawa i bezrefleksyjny seks. Trochę koszykówki, sporo deskorolki. I rap, który jest obowiązkową częścią tego bigosu. Tyle że nie wiadomo, jak go dodać.

U Kocura improwizowany „wolny styl” jest czymś na zawołanie. Siedzisz z dziećmi na boisku do kosza? Prosisz je o freestyle. Ziomek gra na pianinie? Freestyle jest zawsze pokaleczony, infantylny i żenujący. Mniejsza o to, że ta dość trudna dziedzina jest sprowadzona do czegoś, co każdy może uprawiać ot tak, i co każdy ma ochotę praktykować na życzenie. To coś między „Podaj łapę” rzucanym do psa a „No to teraz zagrasz nam kolędę” na rodzinnej Wigilii. Sceny jak z mema, na którym jedna postać prosi drugą „A teraz powiedz coś po hiphopowemu”.

W „Ostatnim komersie” widzimy, jak jeden z bohaterów serwuje rap historyczny rodem z T-raperów znad Wisły, starego muzycznego żartu Grzegorza Wasowskiego i spółki. Ale to nie ▶

EPICKA HISTORIA O RELIGII, ZEMŚCIE I WŁADZY

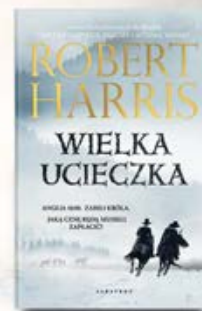
WIELKA UCIECZKA

ZABILI KRÓLA.
SPRAWIEDLIWOŚĆ
JUŻ PODĄŻA
ICH TROPEM.



NOWA POWIEŚĆ
**ROBERTA
HARRISA**

Jedna z najbardziej wciągających
książek Roberta Harrisa.
To jego najlepsza powieść
od czasu Vaterlandu.



 WYDAWNICTWO ALBATROS

► jedyny problem filmu Dawida Nickela – nie wyszło ani opowiadzenie spójnej historii, ani dialogi, które są sztuczne i zdawkowe. Najgorszym momentem „Bratów” Marcina Filipowicza, dzieła, które bez problemu oczaruje zdjęciami, a przy okazji nie pozostawi obojętnym, jest półnaga, nieprzekonująca zupełnie Marta Stalmierska rapująca „Dobre duchy” Roberta Piernikowskiego. Dlaczego bardzo młoda, szukająca przygód dziewczyna z podwórka miałyby się kochać przy rytmach niszowego, awangardowego, okołorapowego eksperymentu artysty urodzonego pod koniec lat 70.? Tak niewiarygodne, że aż przypomina się „Kapitał w XXI wieku” Piketty’ego na spacerniaku w niesławnym „Procederze”.

Co ciekawe, te same „Dobre duchy” wracają w „Infamii”, również na prawach wplecionego w odcinek teledysku. Twórcy są bardziej zręczni, choć nadal rap u bohaterów wygląda tak, jakby dołączali go w drogerii w zestawie „zbuntowany nastolatek”. Romka Gita po prostu umie rapować, zmieniając języki. Oczywiście freestyle’uje wywołana do występu podczas ogniska. Rom Tagar po prostu umie produkować. Ledwie się poznali, a już wysyłała sobie wiadomości w rodzaju „Porobimy razem bity?”. Lata temu zespół Fenomen wyśmiewał program „Rower Błażeja”, w którym pytano hiphopowców, jak się witają. I nadal pokutuje ich obraz jako trochę kosmitów, trochę cyrkowców, a trochę sekciarzy.

Nie zmienia się nic

Skoro aktorzy jako raperzy radzą sobie różnie, pozostaje pytanie o to, co stałoby się po odwróceniu ról. Odpowiedź przynosi „Życie w błocie się złości” Piotra Kujawińskiego. Rapera Lupusa gra tam warszawski raper Małach i wywiązuje się z tego nieskomplikowanego zadania, bo też niewiele ma do grania, scenariusz pozwala mu być sobą. Podobnie z Dudkiem P56, który na planie po prostu jest Dudkiem. Na analogiczne rozwiązanie zdecydował się Xawery Żuławski i w „Apokawiksie” – raperzy nie udają aktorów, a aktorzy nie udają raperów, po prostu Kosi i Łajzol, mistrzowie ceremonii z grup JWP i Jetlagz, wychodzą na scenę wykonać swój utwór. Gorzej, że podczas tej samej imprezy, na której Sebastian Fabijański jako Kapitan Fumo narkotyzuje przybyłych, nagle rozlega się utwór „Na szczycie” GrubSona.

To osobisty numer o stracie bliskich przyjaciół, a nie popularna ścieżka dźwiękowa do ekscesów.

W filmie „Życie w błocie się nie złości” ekscesów brak. Wchodzimy w biało-czarny moralnie świat stołecznego, ulicznego rapu: konfidentów, ale i pomawiaczy, młodych zdolnych, lecz i tych gnuśnych, którzy zamiast brać życie we własne ręce, wciąż szukają wymówek i dróg na skróty. Z samym autentyzmem środowiska jest nieźle – bohaterowie komunikują się lakonicznie, nie perorują, wyroki uliczne feruje się szybko, rap w końcu nie bierze się znikąd, pokazano trochę znoju w studiu, nad kartką „diss”, utwór wymierzony w przeciw-



Kadr z serialu „Ślepnąc od świateł”.

nika, spotyka się z koncertową ripostą. Z drugiej strony – ledwie szkicowana fabuła odstrasza. Kolejny raz twórcy zasłaniają się etykietką dramatu obyczajowego, by zbudować coś, co samo siebie traktuje śmiertelnie serio. Najwyraźniej to, że jest smutno i szaro, niesprawiedliwie brak umiejętnego zawiązania akcji. Jak u Pei – „I nie zmienia się nic, dalej trzeba żyć”.

Rap do głowy

Dużym sukcesem „Infamii” jest to, że serial potrafi ożywić wielką osiedlową smutę. Mnóstwo koloru wnoszą realia romskiego życia – zarówno tego w biedzie, jak i bogactwie. Zestawienie ich z rapem, buntem nastolatki i Polską tworzy samograj. Na muzykę romską patrzone okiem kamery przez pryzmat disco polo, pojawia się w „Zenku”. Romski rap w Polsce to właściwie jeden, wydany ponad 20 lat temu, numer „Miro Mikrofoni”, zaś jego autor, Dene, okazał się zaledwie meteorem śląsko-zagłębiackiej sceny. Twórcy serialu stąpają więc po nieznanym terenie. W tle żarzy się konflikt i wzorem Kocura można

odmalować hipokryzję – imigrant jest dobry, jak poda tanie jedzenie o późniejszej godzinie, dowiezie narkotyki, zapewni rozrywkę, ale zły, gdy chce funkcjonować na równych prawach. Ale na pierwszym planie jest główna bohaterka, pyśkająca, niesiona hormonami trzpiotka, która zmagą się z romskim kodeksem, staje się świadkiem szemranych interesów. I oczywiście przekonująco rapuje.

Zofia Jastrzębska przyznała w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”, że „nauka przebiegała pod okiem chłopaków z Dyspensa Records – Wojtka Urbańskiego, Piotra Lenartowicza i Antka Kostrzewy, który zbierał mnie z podłogi wiele razy, kiedy płakałam, że nie dam rady i że to nie jestem ja”. Ważną postacią dla „Infamii” jest też zaprawiona w hiphopowych bojach Ryfa Ri, która pisała Jastrzębskiej teksty, prowadziła ją jako raperkę. – *Wątki rapowe, które dane mi było zobaczyć w polskim kinie, były do tej pory raczej po to, żeby płytka zarysować patologiczny wątek lub niby prawdopodobnie wprowadzić blokowisko do filmu czy serialu. Przy „Infamii” nie mam poczucia, że rap został wykorzystany jako element podbijający popularność serialu. Uważam, że był intencjonalnie i zwinnie wpleciony do serialowej głowy młodej Gity* – mówi Ryfa. I przyznaje, że uważnie słuchała twórców i aktorki, niemniej była nieustępliwa.

Ścisła, pełna zrozumienia współpraca z hiphopowcami z najwyższej półki sprawdziła się na polu teatralnym, przy okazji „1989”, rapowanym musicalem o Solidarności. Wtedy produkował Webber, redagował teksty i konsultował Bober, zespołem muzyków kierował Mr Krime, swoje trzy liryczne grosze wtrącił Łona. Wyszło świetnie. Tym razem ekipa w składzie Ryfa Ri, Urbanowski, Szatt, Moleman pomogła „Infamii”, i dzięki nim serial stał się bardzo przyzwoitą rozrywką, wielopokoleniową i oglądaną bez zakłopotania.

Optymizm studzi wprowadzony właśnie przez Netflix „Freestyle” Maćka Bochniaka (reżyser m.in. „Disco polo”) z Maciejem Musiałowskim w roli rapera Diego. W trailerze zapowiadał się strasznie, niczym spóźniona o 15 lat polska „8 mila” z odzysku, i to jeszcze skrzyżowana z „Procederem”. Gdy tekst jest w druku, można już sprawdzić, czy polscy twórcy zasłużyli jeszcze na jakikolwiek kredyt zaufania.

MARCIN „FLINT” WĘCŁAWEK



TEATR WIELKI
OPERA
NARODOWA

CHORUS OPERA

BIZET
LEONCAVALLO
MASCAGNI
MONIUSZKO
ORFF
PENDERECKI
PUCCINI
SZYMANOWSKI
VERDI
WAGNER

FOURNILLIER / JANOWSKI
ERKKILÄ / KONTEK

WIDOWISKO
OPEROWE Z CHÓREM
W ROLI GŁÓWNEJ

SPEKTAKLE: 28, 29, 30/09; 1/10/2023
5, 7/01; 20/03; 23/06/2024

Mecenas Teatru / Partnerzy Akademii Operowej

Partnerzy

Patroni medialni

Partner medialny

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



sisley

Perlage



ams

wyborcza

Pręsto



Tortury dla uszu



Cukier to biała śmierć, a jakiego koloru jest hałas? Bo że odpowiada za przedwczesne zejścia, to pewnie jak w banku. Kiedy Grażyna pisze ten tekst, za oknem jazgoczą szlifierki. Poprzedniego dnia dokazywały wiertarki, a jeszcze innego maszyny do czyszczenia drewna pod ciśnieniem. Rzecz dzieje się w ciasnej, miejskiej zabudowie, wśród kamienic i ulic Brukseli, a nie w krajobrazie industrialnym. Od początku wakacji nie było ani jednego dnia bez jazgotu maszyn. Nie ma co nawet liczyć dodatkowych odgłosów, jak turkot tramwajów, sapanie autobusów, wycie karetek czy charkot motorów.

W Warszawie nie lepiej, ot klasyczna scenka: dzieci na placu zabaw, opiekunki i opiekunowie wpatrzni w telefony, nad nimi złote słońce lata. Pięknie, o ile ktoś patrzy na to w hełmie dźwiękoszczelnym. Po jego zdjęciu hałas wali jak obuchem. Trwa szal wyścigów na warszawskim torze Bemowo. Od rana do nocy łomot, który przekracza wszelkie dozwolone normy hałasu. Ryczą zarzynane silniki samochodów, a kiedy milkną, z wyciem startują awionetki. Jedynie szybkoce wydają się dawać uszom wytchnienie w tym piekle. Jest tylko jeden mały kruczek – to cacko musi zostać wyciągnięte w górę przez samolot o normalnym silniku. Nie lepiej jest w dzielnicach, gdzie budują nową linię tramwajową albo nieustannie remontują to, co przed chwilą wyremontowano (pozdrawiamy Poznań).

„Normalne” – to słowo wydaje się szyderstwem w zestawieniu z fizycznym i psychicznym bólem, jaki powoduje hałas. Ludzie niepozabawieni słuchu po prostu cierpią. O żyjących na wolności zwierzętach nawet nie wspominamy, bo one mało kogo obchodzą. „Eksperci medyczni biją na alarm – obserwując, jak wraz z obniżaniem częstotliwości dźwięku następują: zmiana rytmu pracy serca, wzrostu częstotliwości pulsu, mdłości, zaczerwienienie skóry, mrowienie. W środkowym obszarze Gamma obserwujemy: bóle głowy i żołądka, trudności w oddychaniu, dławienie, nadmierne wydzielanie śliny, spadek ostrości widzenia, osłabienie orientacji przestrzennej i poczucia równowagi, a także zmniejszenie koordynacji pracy mięśni, bełkotliwa wymowa, a nawet – po dłuższym czasie oddziaływania – spadek IQ” – pisze Witold Sklenarz w tekście pt. „Jaki hałas szkodzi najbardziej” na stronie corazglosniej.pl.

Co do spadku IQ sugerujemy erratę – spada on tam, gdzie może. Natomiast u osób, które hałas wytwarzają bez usprawiedliwionej konieczności, IQ smutno kołysze się pod kreską. To osoby, które sportem nazywają maksymalne wciskanie pedału gazu. Jaki miesiąc im to ćwiczy, odwodziciel palucha?

Na stronie reklamującej wyścigi na torze Bemowo czytamy, że to „dwa dni pełne adrenaliny”. Cztery weekendy takiej zabawy oznaczają dla mieszkańców pobliskich osiedli ponad tydzień morderczego hałasu non stop. Latem nie da się otworzyć okien, bo na torze brylują Pocziwy Krzychu, Sasha the Owner, Medusa i inni. Gdyby tak oryginalna Meduza spojrziała na kierowców tak, jak to ona potrafi, zrobiłoby się wreszcie ciszej.

Ludziom, którym hałas przeszkadza, radzi się: „Wyprowadź się na wieś”. To jednak jak z deszczu pod rynnę. Znajomy tak zrobił, sycił się ciszą przez miesiąc, po czym pobliską posesję kupił osobnik, który zawodowo tnie i piłuje. Skończyło się w sądzie. Kolejna dobra rada to „Idź do lasu”. Jasne, chętnie pospacerujemy wśród rżenia quadów, motorów, motorówek, patrząc na otumanionych jazgotem użytkowników pojazdów. Hałas ich bawi, no i mają kaski. A spacerowiczów dotyka potworna kara za to, że wybrali się do strefy ciszy. Nie mówiąc już o zwierzętach, które usiłują w lesie żyć.

Żeby nie było wątpliwości: wjazd do lasu państwowego motorem, quadem czy samochodem terenowym jest zabroniony, o czym mówi art. 29.1 Ustawy z dnia 28 września 1991 r. o lasach: „Ruch pojazdem silnikowym, zaprzęgowym i motorowerem w lesie dozwolony jest jedynie drogami publicznymi, natomiast drogami leśnymi jest dozwolony tylko wtedy, gdy są one oznakowane drogowskazami dopuszczającymi ruch po tych drogach. Nie dotyczy to inwalidów poruszających się pojazdami przystosowanymi do ich potrzeb”. Właściciel lasu prywatnego może wręcz zakazać wstępu do lasu, oznaczając teren tablicą z odpowiednim napisem. Jaki tu jest kruczek, skoro hałaśnicy z obowiązującym prawem się nie liczą? Kary są za niskie. Wolą zapłacić, niż pozbawić się możliwości torturowania otoczenia wyciem silnika.

Piszemy o tym, żeby przyspieszyć proces denormalizacji hałasu. Bo on nie jest normalny. Jest szkodliwym efektem epoki przemysłowej, która od stu lat zmienia życie ludzi, zwierząt i całej planety. Narobiła już szkód nieobliczalnych (kryzys klimatyczny), a teraz dobiega nas dodatkowo hałasem. Jest jeszcze jeden element tej wrzeszczącej układanki (a wrzaski Sylwia lubi, ale na koncercie, gdzie każda osoba wie, czego się spodziewać). Chodzi o przebodźcowanie. W nieustannym pędzie i natłoku spraw do załatwienia dodatkowo dręczeni jesteśmy wbijającym się w mózg rykiem. Nawet w nocy znajdują się ludzie, którzy ciszę nocną uważają za „komunistyczny wymysł”. Ideologia hałasu? Interesujące.

Może bądźmy jak właściciel działki, który pozwał do sądu jazgotliwego sąsiada, pociągajmy do odpowiedzialności hałaśników. Chociaż wieloletnie batalie mieszkańców warszawskich Bielani i Bemowa nie napawają optymizmem – spór trwa, a tor nadal pozostaje źródłem upiornego hałasu, torturując tysiące ludzi. A gdyby tak w jego miejsce wybudować teren rekreacyjny do biegania i ćwiczenia innych mięśni niż odwodziciel palucha czy zginacz krótki, które pracują podczas naciskania pedału gazu? Pomyślmy o tym – ci, którym od jazgotu nie spadło jeszcze IQ.

GRAŻYNA PLEBANEK, SYLWIA CHUTNIK

Janczary



Po nocach mogę spać. Bezsenność znam z opowieści mężczyzn. Koleżanki raczej już pod wieczór padają skonałe jak drzewa ścinane w Puszczy Karpackiej. Spałabym, ale marynuję, bo muszę. Myślenie ma kolosalną przyszłość, szczególnie o jałdospisie dla dzieci, które dał los i nie wyżywił los. Z wrześniem powróciło „szykowanie śniadaniówek”. Presja jest niebywała. A to pączus w masle ministrant Czarnek wypomina, że dzieci są puciate, a to media donoszą, że polskie dzieci przodują w cukrzycy. Warzywa na *fajitas* marynuję. Dawać chili czy nie dawać? Ach, te wybory same się w życiu nie zrobią. Politechnika czy AWF? Etat czy działalność? Wdowi grosz czy hospicjum? Wazektomia czy prezerwatywy, książka czy film, rozwód czy powrót, alimenty czy komornik, własność czy najem?

Wyborów dokonujemy nieustannie, czasem ktoś dokonuje ich za nas, żadnych nie dokonujemy w pełni samodzielnie czy w pełni na trzeźwo. Nie tylko Cambridge Analytica, trolle, ale i ilość piwa Guinness spożywanego przez Brytyjczyków przesądziły o brexicie. Kac u niektórych trwa do dziś.

Tej jesieni w Polsce przewiduję większą niż ostatnio grupę niezdecydowanych do samego końca i tych, którzy w ogóle nie pójda na wybory. Ostatnia dekada doprowadziła do tego, że Polacy, niczym jakaś ogromna orkiestra przygrywająca do *danse macabre*, grzechoczą pudełkami z lekami. Projektanci przechodzą sami siebie w tworzeniu segregatorów na pigułki dopasowane do naszych potrzeb: tu w przegródce trzy viagry. Jesteśmy aktywni seksualnie. Oczywiście wcześniej ktoś musi nam o tym przypomnieć. Tu citalopram – na depresję, lęk, apatię, albo jakaś inna pigułka, żeby wygłuszyć życie lub dostać kopa do działania. Uchylamy środkowy poziom. Letrox, trzy tabletki magnezu, witamina D3, antyhistaminowe te małe, przeciw astmie te różowe, na migrenę, na wieczny globus, maść na srom, a tu ampułka z adrenaliną, i jeszcze pęseta na kleszcze, bo kleszczami to nas straszą 13 miesięcy w roku. Już nie tylko w trawie kleszcz piszczy, ale niczym pijany Spider-Man, gotów skoczyć nam na biust z dachu sąsiedniego bloku.

Gdy takim pudełeczkiem Polak sobie potrząśnie, to janczary nawet zagłuszy. Polak zmęczony, brak sił na wybory. Wyjątkowo duża liczba zrezygnowanych Polaków to piwo, którego nawarzyła sobie obecna władza, nieudolnie „zwalczając” pandemię. Trudno, byśmy ochoczo biegli dziękować politykom za to, co nam zaserwowali. Otóż okazało się, że sanepid to instytucja tak zaniedbana, że sam dyrektor Pinkas z niej uciekł wcześniej, radząc nam, byśmy studzili panikę lodem w majtkach. Premier czarował baśniami o budowie silnej farmacji, minister zdrowia już witał się z gąską zwaną polskim lekiem na covid, TVP udostępniała antenę

publicystom schlebiającym szarlatanom, którzy leczą choroby zakaźne witaminą C, a minister Szumowski pływał po Kanarach, podczas gdy nam doradzał *lockdown* i niewchodzenie do lasów.

W międzyczasie minister Czarnek zaserwował polskim dzieciom jeden z najdłuższych na świecie „epizodów” tzw. nauki online, czego efektem jest to, że niektóre piętnastolatki noszą okulary ze szklami grubszymi niż denka od butelek.

Prócz zmęczonych w grupie wyborców niezdecydowanych mamy też drwiących i szydzących z całego tego show, jakim są wybory. Demokracja nie działa, polityka to bagno. A oni zniesmaczeni całą tą propagandą, wypachnieni i do czysta wymyjni żyją muzyką chorałów gregoriańskich i uważnością na to, co blisko – a to starsze na działce śliwki wybierać pomogli, a to z kolegami z wojska na rowerach pętelkę tatrzańską zrobią. Heeej, tu z owieczkami, kosodrzewinami i góralskim bimbrem biegnie prawdziwe życie z dala od całej tej polityki. Ci sami uduchowieni potem fukają, że Przyłębski, Rau i Wawrzyk na czele polskiej dyplomacji to kapitulacja Polski na arenie geopolitycznej i działania równie szkodliwe, co odpalanie granatnika w gabinecie policyjnym, ale cóż, taki ich całusny urok.

Trzecią grupą wśród niezdecydowanych są ci, którym poziom „debaty” o stanie państwa obrzydził jakiegokolwiek działania. Poziom namysłu nad powyborczą wizją kraju zrównano do prześmiewczych memów, które gwarantują dwie sekundy rechotania z prezesa i dalsze cztery lata rządów tegoż samego. Jakość politycznej debaty zależy też od dziennikarzy, a sami dziennikarze nie są lepsi niż politycy, których rzekomo mają kontrolować. A to jeden gwiazdor jeździ latami bez prawa jazdy, a to inny szarpał partnerkę za włosy, a w bonusie cały pluton obrońców patriarchy zgodnym chórem jął usprawiedliwiać kolegów, że po co wyciągać z łóżka takie „niesnaski między kochankami”. Gdy pani Katarzyna, żona radnego z Bydgoszczy Rafała P., nękana, zastraszana, upokarzana latami przez męża przyszła po poradę do księdza, to też usłyszała, że takie sprawy małżeńskie to w ciszy domowego ogniska lepiej rozwiązywać. Który moment jest w Niepodległej dobry na pisanie o przemocy domowej?

W takim krajobrazie nie dziwi liczna grupa obywateli w stylu Izabeli Łęckiej z „Lalki”. Żaden z wypychanych kandydatów jej nie odpowiada, może kiedyś jakiś Apollo się objawi. Ja pójde głosować. Wiary i motywacji dodaje mi świadomość tego, że nie głosuję na listy, na partię czy nawet na postulat. Głosuję na osoby, które nie dzielą Polaków na „strefy wolne od” i potrafią robić coś dobrego: dla słabszych, dla naszych córek, dla lasów i rzek, dla kultury polskiej. I na ludzi, którzy wyciągnęli wnioski z ostatniej dekady.

AGATA PASSENT



Singer Burger

Wieczorem 1 września 2023 r. siedzieliśmy w Hard Rock Cafe przy Złotych Tarasach. Niepewni i wylęknieni spoglądaliśmy w kartę dań. W zaproszeniu napisano bowiem: „Wstęp wolny, udział wiąże się z kosztem zamówienia jedzenia/picia”.

Na pierwszej stronie menu piętrzył się burger dedykowany Leo Messiemu. Przeczytałem, że przysmak legendy futbolu składa się z soczystych kotlecików wołowych, zwieńczonych zwycięską kombinacją dodatków: triumfalnym serem provolone, plasterkami chorizo, karmelizowaną czerwoną cebulą i kultowym jajkiem sadzonym. Całość ujęta w chrupiący nawias bułki brioche i przybrana sałatą.

Niepokoili mnie formuła „koszt jedzenia/picia”, a zwłaszcza ukośnik. Czy wystarczy zamówić piwo? Trzeba coś do piwa? Może tylko frytki? Frytki były tańsze, bo nie smażył ich Cristiano Ronaldo.

Tego wieczoru czułem się jak szczególnie niepasujący do obrazka. Na sali zauważyłem kilka osób, które też sprawiały wrażenie niedopasowanych. Wszyscy przyszliśmy tutaj na koncert w ramach festiwalu Warszawa Singera.

– Grałem w Warszawie sześć lat temu... Sześć tysięcy lat temu – poprawił się muzyk. – To trochę surrealistyczne występować w Hard Rock Cafe – mówił. – Lubiłem tę sieć, kiedy miałem trzynaście lat. Gitary na ścianach, pamiątki po gwiazdach, bielizna Madonny... W Hard Rock Cafe jest coś religijnego, chociaż bardziej katolickiego. Kult relikwii.

Z satysfakcją stwierdziłem, że artysta wygląda dokładnie jak na okładce płyty. Drobny, brodaty mężczyzna, ani młody, ani stary. Nosi zabawny kapelutek. Mówi, że zajmuje się przemysłem, chociaż określenie „import-eksport” też byłoby na miejscu.

Daniel Kahn mieszka w Berlinie, ale pochodzi z Detroit, miasta związków zawodowych i rdzy. Śpiewa rzeczy podniosłe lub zabawne. A także neurotyczne, mroczne, często dotyczące trudnych relacji z ojcami i z ojczyznami. Ma w repertuarze dawne hymny żydowskiej klasy robotniczej. Ballady o walce i barykadach. Pieśni o wspaniałym świecie jutro, o sprawiedliwości i poranku. W jego wykonaniu brzmią mrocznie. Jedną z płyt zatytułował „Przebrane sprawy” (a może „Stracone powody”).

Kahn pisze teksty po angielsku i w jidysz. Czasami znajduje zapomniane wiersze. Układa do nich melodie i brzmią jak stare piosenki. Niekiedy sięga do repertuaru innych artystów, takich jak Mordechai Gebirtig, Leonard Cohen czy Baruch Springstein.

Często tłumaczy na jidysz. Przekłada angielskie, rosyjskie lub niemieckie słowa na język, którego jego publiczność nie rozumie. W każdym razie większa część publiczności. Jest w tym głęboki sens. Jidysz to szmugler. Język – przemytnik, wywrotowiec i przewrotnik. Na wpuł zapomniany,

trochę obcy, a trochę znajomy. W sam raz do śpiewania o straconych sprawach. Być może jidysz jest też ostatnim językiem, w którym można śpiewać o rewolucji.

Przy sąsiednim stoliku zasiadło większe towarzystwo. Z wyglądu dość stereotypowi przedstawiciele biznesu, faceci w średnim wieku, bardziej hałaśliwi niż pijani. W miarę jak koncert się rozkręcał, krzyczeli coraz głośniej. Nasza część widowni nie była tym oczarowana. Rzucaliśmy groźne spojrzenia, które jednak nie osiągały celu. Psykanie też nie przynosiło skutku. Fakt, że psykaliśmy nieśmiało, rzucaliśmy z wahaniem. W końcu nie siedzieliśmy w bibliotece ani w strefie ciszy w pendolino. Byliśmy w barze. Tamci hałasowali na własnym boisku i jakoś ich rozumiałem. Nie zamawiali tych wszystkich zwrotek o fabrykach i bezdomności. Ani kawałka o uzależnieniu (przekład z Toma Waitsa), który artysta ponoć śpiewa swojemu dziecku w charakterze kołysanki.

Kelnerzy próbowali mediacji, ale większe towarzystwo poczuło się urażone. Stawiało opór. Próbowano przekrzyknąć. Pohukiwało. Jednak melodie też nie zamierzały ustąpić. Skrzypce

dawały się we znaki. Akordeon przeciągał strunę. Nostalgia jak patogen krążyła w powietrzu i zatrzuwała drinki. Większe towarzystwo nadal walczyło. Biznesmeni snuli gromkie rozważania o roli Żydów w show-biznesie. Krytykowali artystę, że niby śpiewa po niemiecku. W końcu jednak ogłosili kapitulację i niechętnie przenieśli się do sąsiedniej sali.

– Tylko wezmę moje piwooo! – ościagał się najdowcipniejszy. – Bez mojego piwa nigdzieeee nie idę! – (Udawał. Wcale nie był taki wlny).

Melodie to wieczni migranci. Przechodzą przez granice. Zmieniają tożsamości. Ludowe kołysanki zamieniają się w hymny. Przyśpiewki w pieśni. W obcych krajach opowiadają o obcych sprawach. A może zawsze o tej samej sprawie, która szuka nazwy w różnych językach i różnych czasach.

Rodzą się, wicherzyciele, gdzieś w interiorze. Wędrują do miast. Szukają pracy wzdłuż linii kolejowych. Nie omijają więzień, plantacji, obozów na dalekiej północy. Balują w portowych dzielnicach. Towarzyszą leśnym oddziałom i ochotniczym batalionom. Po latach brylują na listach przebojów albo sprzedają się Netflixowi.

Możliwe, że melodie to jidysz bez słów. Język, którym rozmawiały nasze dusze, kiedy jeszcze miały sobie coś do powiedzenia. Takich zdań – jak to ostatnie – raczej nie wypada pisać. Chyba że są słowami piosenki. Najlepiej w obcym języku.

(A o wyborach następnym razem).

MARCIN WICHA

Moda wagi państwowej



W rzesień to tradycyjnie czas, podczas którego w tak zwanym segmencie czasopism kobiecych obwołuje się wielki powrót mody – zaczyna się sezon jesień/zima, a „Vogue” wypuszcza *september issue* – najważniejszy numer roku, w którym można zobaczyć przegląd aktualnych tendencji w branży. Co roku, kiedy ma miejsce to rytualne celebrowanie powrotu konsumentów z wakacji, przypominam sobie, jak domijająco brakuje mi powszechnego postrzegania mody jako tematu, który wymaga szczególnej uwagi każdego dnia.

Nie dlatego jednak, że chciałabym codziennie obserwować zmieniające się tendencje. A dlatego, że branża mody w swoim dzisiejszym kształcie jest jednym z najbardziej szkodliwych przemysłowo-kulturowych konglomeratów, jaki ludzkość wymyśliła. Tekstylne pozostałości jego działań tworzą śmieciowe góry ubrań. Mikroplastik z poliestru w bębnach naszych pralek trafia do oceanów, gdzie truje ryby. Materiały, z których korzysta przemysł tekstylny, często są tak kiepskiej jakości, że nie przeżywają nawet jednego prania. Barwniki, z których korzystają fabryki w Azji czy Afryce, nierzadko bywają toksyczne dla środowiska, pracowników i użytkowników ubrań. A to zaledwie kilka przykładów szkodliwości. Sprawa jest poważna.

Środowisko związane z modowym biznesem dostrzega, że nie ma ostatnio najlepszej prasy. Stąd pokazywanie, jak przemysł zmienia się na lepsze – kampanie reklamowe sugerujące przyjazność środowisku, rozmaity *greenwashing*. Co prawda luksusowa moda z koncernów takich jak LVMH czy Kering odcina się od praktyk szybkiej mody dla mas, ale niezależnie od tego, ile razy powtórzą, że zależy im na artyzmie i powrocie do tradycji, ich *washing* nie przykryje meritum – chcą produkować coraz więcej, żeby więcej zarabiać. Logika konsumpcjonizmu, bez względu na to, czy stoi za nim Gucci czy Zara, uświęca modę jako nośnik statusu, majątku, klasy. Ubrań tak definiowanych nie wycenia się, posługując się miarą etyczności, emocji, historii czy szacunku dla natury.

I tak w obrębie tej logiki istnieje także tak zwana odpowiedzialna moda, *sustainable fashion* – ale co to właściwie jest? Przecież każda dziedzina życia społecznego powinna mieć wpisana w siebie odpowiedzialność. Moda jako całość powinna być odpowiedzialna. Jeśli nie jest – krzywdzi.

Nie zmienimy dzisiejszego przemysłu modowego, dokładając do niego miły, etyczny aneksik dla uspokojenia sumienia. Zmiana musi być radykalna i zacząć się od stwierdzenia, że cały system mody jest zgniły. Na szczęście dzisiejsza branża mody nie definiuje tego, czym jest moda w ogóle. Jej narracja jest stosunkowo nowa – do lat 80. nikt nie wiedział, czym jest sieciówka. Nadkonsumpcja to kwestia ostatnich dekad. Da się wymyślić system mody na nowo.

Ta zmiana nie przyjdzie jednak z wnętrza przemysłu. Jest on zbyt ograniczony przymusem wpisywania wszystkiego w machinę zarabiania pieniędzy. Zmiana

musi przyjść spoza. Aby to osiągnąć, moda musi stać się ważna dla każdego z nas każdego dnia.

Nie ma osób, które się nie ubierają. Są tylko osoby, które robią to nieświadomie. Zadowoleni

z siebie ignoranci, którzy wierzą, że będąc nieinformowanymi, są niezależni i mądrzejsi. Otóż nie – a dodatkowo pozbawiają się przez to sprawczości. Zajrzyjcie więc do szafy – zobaczcie, co tam macie i dlaczego. Jak te ubrania do was trafiły? Kto je zrobił? Czym dla was są? Co się z nimi potem stanie?

O modzie powinno się rozmawiać w programach informacyjnych, pisać o niej w największych dziennikach, omawiać *ex cathedra* z ambon, mównic, na wiecach i podczas demonstracji. To jest wiedza konieczna dla naszego przetrwania, a co najmniej dla zachowania przyzwoitości. Na temat mody powinni wypowiadać się politycy, samorządowcy, naukowcy, inżynierowie, psychologowie, materiałoznawcy, aktywiści, ekolodzy, ekonomiści, historycy, lekarze, artyści, pisarze. Powinniśmy o niej dyskutować w rodzinach i na spotkaniach z przyjaciółmi. Wtedy jest szansa, że powstaną nowe teksty, filmy, książki, dzieła sztuki, programy telewizyjne, projekty rządowe, aplikacje, inicjatywy lokalne, podstawy programowe, a codzienność wypełni się inną logiką, innym językiem niż ten pieniądza, snobizmu, reklamy.

Moda będzie zawsze nam towarzyszyć, bez niej nie istniejemy. Wszyscy posługujemy się ubraniem. Moda po prostu odpowiada na pytanie – jak. Ubrania, rzeczy osobiste, ich jakość, wygląd i obieg mają znaczenie w obszarze kryzysu uchodźczego, dla osób w kryzysach bezdomności czy zdrowia psychicznego, dla dobrostanu nastolatków, dla komfortu i godności seniorów i pacjentów szpitali, dla osób z niepełnosprawnościami. A to tylko kilka przykładów. Moda może troszczyć się o mniejszości, o słabszych, pomagać i przywracać godność. Innymi słowy – może być narzędziem pielęgnowania demokratycznych wartości i ochrony praw człowieka.

Każdy z nas ma prawo wyglądać tak, jak lubi, i każdy ma obowiązek wyglądać tak, żeby nikogo nie krzywdzić. Jeśli będziemy postępować inaczej, to okaże się, że uprzedmiotowiliśmy siebie zamiast tchnąć w rzeczy humanistyczną opowieść. Jeśli zaś język branży mody nie znacznie przemawiać językiem humanizmu, zaś główny nurt kultury, polityki i ekonomii nie zajmie się w trybie pilnym tym, jak zarządzać modą, aby troszczyła się o ludzi i planetę, to niedługo wszyscy będziemy jak te Chinki ze zdjęcia w Wenecji, które unoszą torby od Louisa Vuittona ponad zalewającą je falę powodzi.

Koniec świata już się zaczął, a my na razie – jak ci z wiersza Miłosza – nie słuchamy cichych proroków powtarzających, że „innego końca świata nie będzie”, tylko spokojnie kupujemy ubrania na kolejny sezon.

KAROLINA SULEJ



Piana z cukrem

Zawsze miałem sny pełne przygód. Skądś uciekałem, źli ludzie mnie gonili, brnąłem przez grzędzawiska, ratowałem maleńką wiewiórkę przed wronami, które już-już miały ją pożreć. Snów były setki, niby każdy inny, ale najgorszy ten jeden, gdy na śliskim dachu chowałem się za kominami, a „źli” łapali mnie, wiazali i rzucali w pełną zatykającą sadzy przepaść. Budziłem się złany potem, zaplątany w kołdrę, tuż przed upadkiem z łóżka. „Satis aus, na dzisiaj dosyć” – przypominałem sobie słowa Fedyckiego z „Ich czworo” Zapolskiej i wracałem do rzeczywistości.

Dziś, jako starzec, koszmarnych snów się nie boję, raczej duszę się od tego, co na jawie. Włączam telewizor (wiem, że nie muszę, ale nie chcę, by mnie coś ominęło) i na ekranie widzę człowieka z twarzą bez twarzy, czyli tzw. premiera. To jest dopiero dwutlenek węgla! Co tu dużo gadać, daliśmy się wykołować i ogłupić. Nie wszyscy, ale tyłu, by od ośmiu lat władzę mieli ci, którzy jej mieć nie powinni.

200 lat temu była pańszczyzna, a teraz pisowski marksizm-leninizm puka do drzwi i rzeźi, że zaprasza do narodowego referendum. Po co ci kłopoty, Polaku, upaństwowimy cały kraj, obiecują, organizacje pozarządowe weźmiemy pod swój niewyczyszczony but, a resztę przykryje łupież. Nie będziesz miał się komu poskarżyć, bo brukselska armia urzędasów, czyli właściwie Niemcy, ci nie pomoże. To jasne, zostaniemy tylko my, zawsze niezawodni. Poskarż się więc księdzu podczas spowiedzi w katolickim kościele. Tam się dowiesz, kim jesteś i dokąd cię diabli (czyt. opozycja) zaciągną.

Ten wspomniany już bez twarzy przestrzegał ostatnio przed słuchaniem orędzia marszałka Senatu jak przed zdradą narodową. Porównywał je do przemówień Jaruzelskiego w stanie wojennym. A była to jedyna

możliwość, by ubijana na pianę z cukrem publiczność TVP dowiedziała się o tzw. aferze wizowej. Tomasz Grodzki mówił o 250 tys. wydanych bezprawnie, bo za łapówki, pozwoleń na wjazd do Polski. Na całym

świecie. Najniższa stawka to podobno 5 tys. dol. Kto z grubsza zna tabliczkę mnożenia, ten łatwo obliczy, ile miliardów złotych zagarnięto w tej „zupełnie drobnej aferze”, jak ją nazwał właściciel Polski. Aferce, dodajmy, wykrytej przez amerykańskie służby i nagłośnionej przez dziennikarzy oraz – na szczęście – przez posłów opozycji. Gdy sobie przypomnę Błaszczaka z Kaczyńskim podziwiających graniczny płot „bezpieczeństwa dla wszystkich rodaków” i straszących migrantami, myślę, że obaj powinni codziennie lykąć wstyd zamiast obiadu. Ale oni mają nas tam, gdzie Ziobro nosi na co dzień pistolet. A propos. W matematyce zerojedynkowej Zbizio, jak wiadomo, zajmuje pierwsze miejsce. Jego wypowiedzi są nie tylko nieszczemne, ale i groźne, bo pokazują pogardę dla prawa. Uczą tej pogardy. Nie inaczej było po orędziu marszałka Grodzkiego, którego Ziobro publicznie nazwał „ordynarnie wymuszającym łapówki na biednych pacjentach”, a więc jednocześnie zelżył go, oskarżył o przestępstwo i jednoosobowo wydał wyrok. Taki ktoś nazywa siebie ministrem sprawiedliwości, a tymczasem jest tylko hańbą pielęgowaną przez Jarosława.

Czy po aferze wizowej PiS wyląduje nieprzytomny na deskach? Przypuszczam, że wątpię, choć posłowie KO Szczerba i Joński stają na głowie i dorzucają kolejne wątki (choćby Glińskiego i Raua) do tej ponurej sprawy. Wielki szacunek dla ich pracy i konsekwencji, ale przecież prokuratura i inne państwowe służby palcem nie ruszą. A jeśli już ruszą, to na Szczerbę i Jońskiego, że rozkręcali szynę kolejowe i sprzedawali je Niemcom za pół ceny.

STANISŁAW TYM

REKLAMA

POSZERZAMY HORYZONTY
Naukowe miesięczniki **POLITYKA**

Wrześniowe numery w kioskach i na sklep.polityka.pl
Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

PULSAR



Zapraszamy do Krakowa

Wraz ze Stowarzyszeniem Lepsi Kraków zapraszamy na spotkanie z redaktorem naczelnym POLITYKI Jerzym Baczyńskim, autorem książki „PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”, oraz z Mariuszem Janickim i Wiesławem Władyką, autorami książki „Symetrycji. Jak się pomaga autokratycznej władzy”. Spotkanie poprowadzi prof. Magdalena Mikołajczyk, a wprowadzenie do niego zrobi prof. Stanisław Mazur.

Spotkanie odbędzie się w środę **27 września** o godz. 18.30 w Galaxy Hotel (sala Gemini 2) przy ul. Gęsiej 22a w Krakowie (obowiązuje rejestracja: biuro@lepszykrakow.pl).

Z autorami będzie można się spotkać także w Poznaniu (4 października o godz. 18 w siedzibie Fundacji Malta) oraz w Lublinie (11 października o godz. 17 w Instytucie Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS).

GALERIA POLITYKI/MAX SKORWIDER



© MAX SKORWIDER

100 tysięcy kropli

W tej kampanii władza ma ogromną materialną i propagandową przewagę nad opozycją. Bez względu na wykorzystywane są pieniądze publiczne, spółki Skarbu Państwa, zwłaszcza Orlen i firmy energetyczne, media przejęte i kontrolowane przez PiS. Wydatki opozycyjnych komitetów są natomiast restrykcyjnie ograniczone prawem i bardzo skromnymi zasobami finansowymi. Tym cenniejsze są takie społeczne inicjatywy, jak publikacja i dystrybucja darmowej broszury „100 największych afer”. Na 200 stronach zebrano i opisano głośne – choć tylko przykładowe – afery i skandale rządów PiS. Spisem treści jest długa lista nazwisk „bohaterów”: Gróbarczyk, Kamiński, Zalewska, Mejza, Obajtek, Kuchciński, Dworczyk, Witek, Kujda, Rydzik, Czarnek, Morawiecki itd.

„Ta broszura – piszą inicjatorzy – powstała nakładem Fundacji Arbitror, dzięki wpłatom ponad 3 tys. darczyńców”. Do zbiórki zaczęła m.in. popularny w internecie spot z udziałem znanego aktora



Andrzeja Grabowskiego. Zebrane pieniądze pozwoliły, przy minimalnych kosztach i pracy pro bono, wydać aż 100 tys. egzemplarzy publikacji. Jest ona rozprowadzana z ręki do ręki przez ochotników i aktywistów, poza oficjalnymi komitetami wyborczymi czy sztabami kandydatów. W założeniu ma trafić głównie na tereny zmonopolizowane politycznie i informacyjnie przez PiS, dokąd z trudem docierają wiadomości o nadużyciach i kradzieży publicznych pieniędzy przez ludzi władzy – czyli przede wszystkim do województw wschodnich, w Świętokrzyskie, na Podkarpacie. W ogóle nie jest rozprowadzana w dużych miastach, a jedynie na wsi i w ośrodkach gminnych. Broszura adresowana jest głównie do „jeszcze czytających” polek 50 plus, a wolontariusze byli instruowani, aby nie wdawać się w spory, nie narzucać, nie rozkładać broszur w miejscach publicznych, ale rozdawać bezpośrednio. I to działa: w ciągu paru dni rozszedł się już niemal cały pierwszy nakład. 100 tys. kropli drążących – podobno politycznie zabetonowany – elektorat.

REDAKCJA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi

ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH

W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

Druk Quad

www.izbaprasyl.pl

PBC

lepa

PRINTED IN POLAND

MAŁA KRAJOWA

Kim ma być nowy ojciec



Na naszych oczach wyłania się nowy model ojcostwa, pozbawiony wielu wzorców płynących od starszych generacji.

Z postpandemicznych badań na temat rodzicielstwa i ojcostwa wyciągane są optymistyczne wnioski. Od kilkunastu do 60 proc. mężczyzn zaczęło spędzać więcej czasu ze swoimi dziećmi. Również do Polski dotarła fala „nowego ojcostwa”: samodzielnego, zaangażowanego, empatycznego, rozumiejącego potrzeby dzieci i ich matek.

Jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się propozycje na to, w jaki sposób „nowi ojcowie” mogliby spędzać czas ze swoimi dziećmi. „Centrum przygody. Survival dla świadomych ojców”, „Biwaki dla ojców z dziećmi”, „Wspinaczka, kajaki – przeżyj prawdziwą przygodę ze swoją córką” – w sieci można bez trudu znaleźć podobne oferty. Formuła sprowadza się do tego, że w ciągu weekendowego lub kilkudniowego wyjazdu ojcowie z dziećmi w wieku od kilku do kilkunastu lat mają przeżyć wspólną, niekiedy ekstremalną przygodę, pobyć razem, pogłębić lub zbudować relację.

Zapewne nie ma nic złego w tego typu wspólnych wypadach, ale wydaje się, że takie propozycje na pierwszym miejscu stawiają przede wszystkim żelazny element męskiej psychologii, która zakłada, że mężczyźni budują relacje w działaniu. W cieniu pozostają różnorodne potrzeby rozwojowe dziecka. Czy to oznacza, że postpandemiczny „nowy ojciec” może używać jedynie znanych poprzednim generacjom schematów? Z amerykańskich i zachodnioeuropejskich badań wynika, że nawet ojcowie postrzegający siebie jako nowoczesnych wciąż raczej służą pomocą, jeśli żona czy partnerka poprosi, ale gdyby zsumować ich

RELACJE

wkład, przypominają bardziej starsze rodzeństwo swojego dziecka niż odpowiedzialnych rodziców.

Podobnie jest ze sferą dziecięcych uczuć, które dla wielu ojców wydają się obce, niekomfortowe i wołają, aby zajmowanie się nimi było domeną matek. Z drugiej strony ci sami ojcowie wyrażają niekiedy żal, co zdarza się słyszeć w gabinecie terapeutycznym, że ich żony albo partnerki wydają się niegotowe, aby oddać pole w opiece nad dzieckiem. Dawne schematy trzymają się więc mocno.

Oczywiście do takiego stanu rzeczy przyczyniają się także niekorzystne rozwiązania systemowe. Świetnym przykładem jest dystans, z jakim niektóre środowiska podchodzą do wdrażania dyrektywy unijnej work-life balance nadającej m.in. ojców indywidualne prawo do dwóch miesięcy urlopu tylko dla nich (niedzielone z drugim rodzicem).

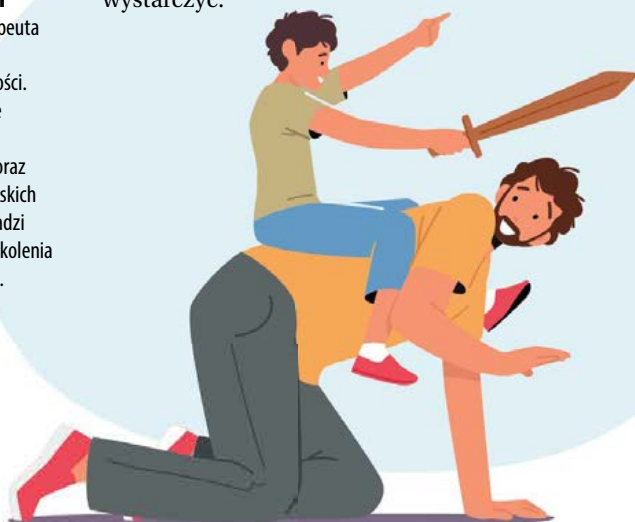
Byc może jednym ze sposobów odnalezienia odpowiedzi na pytanie, jakich ojców potrzebuje współczesny świat, jest integracja tego, co do tej pory było od wieku na pierwszym miejscu w życiu mężczyzn, czyli pracy z byciem ojcem. Badanie przeprowadzone przez Cornell University wykazało, że bycie ojcem może zwiększać szanse mężczyzny na rynku pracy. W ramach badania naukowcy wysłali do pracodawców fałszywe, niemal identyczne CV z jedną zasadniczą różnicą: z niektórych życiorysów wynikało, że kandydat do pracy był członkiem stowarzyszenia rodziców i nauczycieli. Kandydaci do pracy, którzy posiadali w życiorysie informację o działaniu w takim stowarzyszeniu, byli częściej zapraszani na rozmowy kwalifikacyjne niż mężczyźni, których życiorysy tego nie zawierały.

Zdaniem autora „biblii ojcostwa feministycznego”, jak zwykle się nazywać książkę Jordana Shapiro „Nowe ojcostwo. Jak być feministycznym tatą”, współcześni ojcowie powinni zacząć zmianę od przyznania, że ich rolą nie jest wyłącznie pilnowanie posiadanego majątku, podobnie jak dziewictwa córki, bo jej ciało i rozwój psychoseksualny nie są obszarami, które ojciec musi obejmować swoim autorytetem. Ergo – nie musi nikogo i niczego trzymać w ryzach. Zamiast tego Shapiro proponuje więcej słuchać i rozumieć, mniej narzucać swoje zdanie. Rewolucyjne? Na dobry początek musi wystarczyć. ■



Marcin Grudzień

– psychoterapeuta i trener oraz badacz męskości. Współpracuje z Fundacją Masculinum oraz Pracownią Bliskich Relacji, prowadzi warsztaty i szkolenia dla mężczyzn.





Kciuk w dół czy w górę?

WIRAL

Niedawno kanadyjski sąd uznał, że emotikon z kciukiem w górę, używany powszechnie w komunikacji internetowej, mógł oznaczać akceptację warunków handlowej umowy. Niezadowolony z takiego obrotu spraw był pozwany; według niego emotikon miał tylko potwierdzać odbiór wiadomości, a nie akceptację załączonych dokumentów. Sąd powołał się na kontekst kulturowy i to, że w świecie zachodnim symbol kciuka w górę kojarzy się z deklarowaniem zgody i akceptacją. Taki przykład może wydawać się pewnym ekstremem, ale określa kierunek postępującej zmiany. *Texting*, czyli wymiana wiadomości, obecnie przez różne komunikatory, nie tylko krótkie wiadomości SMS, to dziś dla wielu osób domyślny sposób komunikacji. I „domyślny” to może słowo klucz, bo wiele kłopotów z komunikacją pisaną wynika właśnie z tego, że ktoś się czegoś nie domyśla lub wręcz przeciwnie: nadinterpretowuje. Za wspomnianym „kciukiem w górę” ciągnie się zresztą od dawna zła sława jako pasywno-agresywnej emoji. Kto nas nie załamał kiedyś ręką nad telefonem, kiedy zamiast

dłuższej odpowiedzi otrzymał jako reakcję tylko „kciuka”. Czy na taką zachowawczość w ogóle reagować i czy mamy prawo oczekiwać bardziej rozwiniętej odpowiedzi?

Powstaje coraz więcej poradników sugerujących – a jednak! – rozbieżne odpowiedzi na te oraz inne pytania dotyczące onlajnowego *savoir-vivre’u*. Zwraca się w nich uwagę na to, że *texting* to nie alfabet Morse’a; jego celem nie jest używanie jak najmniejszej liczby słów. Wielokrotnie wysyłanie krótkich odpowiedzi, takich jak „OK”, „LOL” lub „k” (skrót od „OK”), może być w porządku, ale tylko jeśli odbiorca ma w zwyczaju to samo, a więc rozumie tę stylistykę. Mówi się też o tym, że dobra stara zasada wzajemności wciąż powinna obowiązywać. Czyli że tak, mamy prawo do odpowiedzi, a także do uznania, że cisza, nawet w banalnej sytuacji „rozmowy” na Instagramie z kimś, kogo znamy dłużej, wywołuje u nadawcy niepokój.

Wciąż obowiązuje zakaz wysyłania komunikatów typu: „zadzwoń pilnie”. Bo – patrz wyżej – one po prostu stresują. Ograniczanie *textingu* do wymiany podstawowych informacji czy pozdrowień jest *passé*. Choć dobrze byłoby, gdyby to, co kiedyś było przypisane do namacalnego świata, w nim pozostało. Prawda jest jednak taka, że w trakcie czytania tego artykułu kolejne trzy osoby zerwały z kimś przez WhatsAppa.

AGATA SZCZERBIAK

Będziemy mieli psiecko

SŁOWO

Świętowany pod koniec sierpnia Międzynarodowy Dzień Psa zamienił się w tym roku w dzień psiecko. To zdrobniałe hasło sugeruje, że pies traktowany bywa wyjątkowo, jak członek rodziny, nawet jak ludzkie dziecko. Dlaczego akurat w tym roku? Dyskusja na temat słowa „psiecko” rozgorzała w mediach społecznościowych po publikacji – w marcu, na łamach „Gazety Wyborczej” – reportażu „Dwa plus psiecko” o rodzinach, które nie decydując się na dziecko (lub nie mogąc go mieć), przelewają uczucia rodzicielskie na zwierzę domowe, obchodzą do tego adopcyjne (czyli rocznicę przyjęcia pod dach czworonoga) zamiast urodzin. Komentarze po tym tekście bywały ostre i złośliwe, pojawiały się zwyczajowe oskarżenia o lewactwo. Szczególnie gdy w wyniku deklaracji jednej z celebrytek, że woli być bezkidką, oba neologizmy zaczęto ze sobą łączyć. Półzartem



rzucano propozycje kolejnych słów: psyn, psórka, psiasierbica itd. Gdy Krzysztof Ziemię z TVP opublikował na Twitterze podszyte złośliwością „I cyk, z wózeczka wyskoczyło psiecko” przy zrobionym na ulicy zdjęciu, został uświadomiony, że owszem – są wózki dla psów. Z czasem, gdy miłość do psów okazała się kategorią ponadpolityczną, klimat rozmowy się uspokoił.

Słowo „psiecko” nie narodziło się jednak wczoraj. Wydaje się odpryskiem memów o psach (z polską wersją angielskiego słowa *doge*, czyli piesełem) i efektem ubocznym *pjeskomowy* – jak ją nazywa Olga Drenda w tekście dla Dwutygodnika – czyli języka intencjonalnie nieporadnego, sugerującego wczuwanie się w świat otaczających nas słodkich zwierząt. Już dwa lata temu na Facebooku można było znaleźć opublikowany 1 czerwca film z buldogami pałaszującymi lody i podpisem: „Ćwientujemy. Dzień Psiecka cpemdzamy lodowo odlotowo”. Swoją drogą w Polsce dzień psa bywa obchodzony w innym terminie niż na Zachodzie – 1 lipca, a to dlatego, że początek wakacji jest okresem, kiedy miłość do czworonoga okazuje się dla niektórych niewystarczająca i psy najczęściej są wtedy porzucane. Mamy więc sporo do udowodnienia w sferze przywiązania do psów. A puryści językowi krytykujący neologizm i środowiska konserwatywne, które próbują je wyśmiewać, mogą w ten sposób wylać psiecko z kąpielą.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Nie mogę już biegać, wiesz, bo zgubiłem w biegu gdzieś klucze do zamku swojego szczęścia

Pewnie to był jakiś quest albo odmówiłem zdjęć, wybacz, ale dobrze nie pamiętam

Gibbs, Jonatan, *Samotność*, 2023 r.

Quest = misja do wykonania, jak w grze wideo



Kocie obcasy

Od razu może sobie powiedzieć, że „kaczuszka”, polskie tłumaczenie niskiego, „kociakowego” obcasa *kitten heel*, najpopularniejszego tej jesieni fasonu butów, jest po prostu nie do przyjęcia. I to wcale nie ze względów politycznych.

Bo jaki obcas, taki krok. Mając do wyboru chybotały chód ptaka niełota i miękki, pewny siebie krok kota, wybierzemy jednak ten ostatni. Nie bez powodu wybieg na pokazach mody nazywa się po angielsku „catwalk”, wystarczy porównać to, jak chodzą wiadome zwierzęta i modelki – oczywiście, o ile reżyserka wydarzenia nie każe im stąpać inaczej. Kot i kotka to zgrabność, co widać choćby w kolejnych inkarnacjach Catwoman, Kobiety-Kota z, jak się fachowo mówi, uniwersum „Batmana”, gdzie wiele kluczowych postaci ma swoje zwierzęce wcielenia, jak choćby tytułowy Człowiek-Nietoperz czy Pingwin.

Swoją drogą kino w tym miejscu pokazuje też, jak zwodnicze i niebezpieczne może być wcielanie się w taką bohaterkę, jeśli nie zrozumiemy istoty transformacji. Superobcisty kostium Michelle Pfeiffer („Powrót Batmana”) był dosłownie na nią zasysany, odcinał jej słuch, ograniczał mowę i musiał być zdejmowany po kilkudziesięciu minutach, bo inaczej aktorka mdlała. Żaden szanujący się kot by sobie na to po prostu nie



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

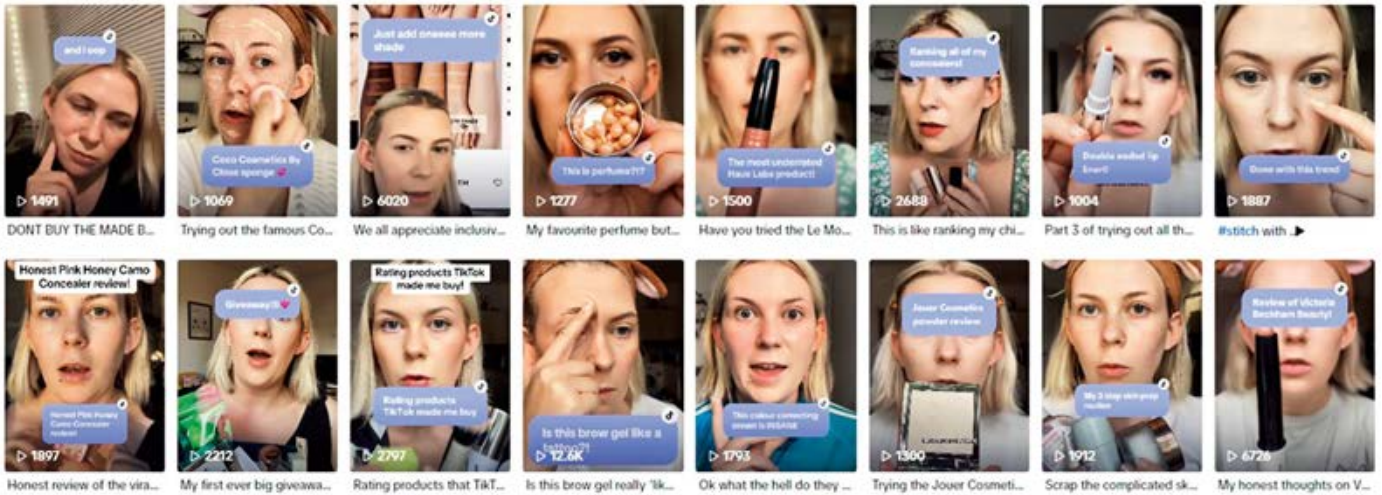
pozwoili. Czczone od czasów antycznych (w Egipcie te zwierzęta po śmierci mumifikowano), łączone są z kobiecością, nic więc dziwnego, że na ich cześć nazwano też te niziutkie, do 5 cm, obcasy, które powstały w latach 50. Sama szpilka (po ang. *stiletto* – sztylet) jest niewiele starsza, początkowo była zrobiona ze stali i miała wbijać się w ziemię niczym ostrze. Albo kły drapieżnych kotów w ich ofiary. Co ciekawe, w tamtych czasach ten rodzaj obcasa nie był jeszcze nazywany *kitten*, to słowo pojawiło się dopiero w końcówce lat 90., gdy w ramach modowego recyklingu powrócił do łask i szaf. Czasem używało się określenia „włoski obcas”, co zresztą cały czas brzmi lepiej niż polska kaczuszka.

Wynalezienie szpilki przypisuje się Włochom Salvatore Ferragamo i André Perugii oraz Francuzowi Rogerowi Vivier. I właśnie w takich, wysokich pantofelkach Ferragamo uwodziła Marilyn Monroe; obcas w jednym bucie często zmysłnie piłowała, żeby jej chód był jeszcze bardziej rozkołysany. Jak to możliwe, skoro ta część była wykonana ze stali? Włoski projektant zrobił dla aktorki specjalny model buta, w którym część obcasa była drewniana. Podobno dla wygody, oczywiście.

Ponieważ dorastającym paniom w tamtych czasach nie wypadało uwodzić – ani słomianych wdowców, ani kolegów z klasy – wymyślono dla nich buty na niższej szpilce. „To było swego rodzaju narzędzie treningowe do nauki chodzenia na obcasach i do tego stosowne dla nastolatek” – wyjaśnia na łamach „The Wall Street Journal” Elizabeth Semmelhack, dyrektorka Bata Shoes Museum w Toronto. Miały one trzymać na wodzy pączkującą kobiecość brzydkich kaczątek i jednocześnie trenować je do rozpisanej przez patriarchalne społeczeństwo roli pięknego łabędzia. Świetnie pokazuje to też kino – wysokie szpilki to Marilyn Monroe, a miniszpilki to niewinna, elegancka Audrey Hepburn, także w „Śniadaniu u Tiffany’ego”, oczywiście odpowiednio wygładzonym względem literackiego pierwowzoru.

Dziś obcasy à la kociaki są dostępne i w ofercie marek z wyższej półki, jak Burberry, Saint Laurent czy Miu Miu, jak i sieciówek wszelkiej maści. Pisma zajmujące się stylowym poradnictwem polecają je do biura, na wykłady. Na spacerzy raczej nie – tutaj pole do popisu miał inny rodzaj obcasa, tzw. spacerowy, czyli niski, w kształcie klocka, w którym zapewne nie dało się kroczyć jak kot. Szwec Manolo Blahnik, rozślawiony przez serial „Seks w wielkim mieście”, uważa *kitten heels* za najbardziej eleganckie i zmysłowe, czyli – jak chce zmierzająca zbyt wolno kultura patriarchy – kobiece. Dodajmy, *en passant*, że większość obcasów wymyślono dla królów, m.in. dla modnia wszech czasów Ludwika XV. W tym kontekście tytuł „Wasza wysokość” miał więcej niż jedno znaczenie. ■





TREND Influencer, polityk, youtuber

Polska wrzała po ujawnieniu fałszywej kariery rzekomej gwiazdy Bollywood, a dziś ludzi wpływowych w internecie chętnie demaskują wszyscy. Ma to swoją nazwę: deinfluencing.

Kiedy wzdychają z zachwytu, zanim użyją jakiegoś produktu, już wiesz, że im za to zapłacili” – tak Honest Phoebe, tiktokerka recenzująca kosmetyki ponoć „ze 100-procentową szczerością”, wyśmiewa Meredith Duxbury, influencerkę z branży beauty. Ta głośno zachwyca się różem do policzków w musie tuż po przyłożeniu go do twarzy.

„Nie potrzebujesz tej rzeczy z Amazona. Jest totalnie zbędna” – słyszymy z kolei od prezenterki Livekindly, platformy poświęconej m.in. prowadzeniu domu w sposób zrównoważony. Kobieta krytykuje pojemniki na środki higieniczne, do których wlewa się zawartość już kupionej butelki. Fakt, trzymamy wszystko w takich samych opakowaniach i ładnie to wygląda na półkach. Ale na pewno nie pomaga zmniejszyć produkcji plastiku.

Na TikToku filmy z hasztagiem #deinfluencing i pokrewnymi opublikowano już setki milionów razy. O co chodzi? O niezgodę na kult influencerów, którzy reklamują modne, drogie i niepotrzebne produkty albo rozpowszechniają scam, czyli internetowe oszustwa (np. promują niedziałające produkty czy sklepy, które nie wywiązują się z umów).

– Powoli uczymy się jako użytkownicy, żeby przestać ufać komukolwiek w internecie, zwłaszcza influencerom, których opinie w większości można kupić – komentuje Wojtek Kardyś, specjalista od komunikacji internetowej. Jak dodaje, ten nowy trend w dobie hiperkonsumpcjonizmu może zdziałać coś pozytywnego. Nie ma jednak wątpliwości, że przeminie jak każde inne zjawisko w sieci. – Influencerzy z roku na rok są niestety coraz bardziej roszczeniowi i coraz trudniej się z nimi współpracuje. Zdarza się, że żądają za jedno świadczenie nawet 40 tys. zł netto, licząc na łut szczęścia, bo potem zgadzają się na połowę stawki – komentuje pracownica dużej firmy, od lat zajmująca się influencer marketingiem.

Deinfluencing najczęściej jest wymierzony w promocję kosmetyków, gadżetów i ubrań. Filmy przybierają formę parodii albo jawnie zniechęcają do zakupu produktów, które nie są warte swej ceny. Źródeł deinfluencingu można szukać m.in. w walce z nakręcającym się konsumpcjonizmem oraz w rosnącej popularności trendu zero waste, czyli stylu życia, zgodnie z którym ludzie starają się generować jak najmniej odpadów. Nie bez znaczenia jest i to, że influencerzy tracą wiarygodność. Zanim rynek tak mocno się profesjonalizował, byli traktowani jak zwykli ludzie, którym udało się dotrzeć do szerokiej publiczności dzięki autentyczności. Dziś to często dobrze prosperujące firmy ze sztabem pracowników na pokładzie. Pewną przeciwwagą mają być mikroinfluencerzy – osoby z mniejszą, ale silniej zaangażowaną społecznością. Choć i oni są już eksploatowani przez marki.



Joanna Traciewicz

– od ponad dekady działa w mediach, śledzi trendy społeczne i popkulturowe, interesuje ją interdyscyplinarne podejście do zjawisk. Na co dzień redaktor naczelna RocketSpace.pl.

Z tegorocznego badania SW Research „Ranking prestiżu zawodów i specjalności” wynika, że zawód influencera jest najmniej poważany wśród Polek i Polaków. I ten brak zaufania pogłębił się rok do roku. Tylko niespełna 13 proc. naszych rodaków szanuje taką pracę. Tuż przed influencerem znalazł się youtuber, a nad nimi uplasował się polityk. Co nie zmienia faktu, że młodzi ludzie wciąż w dużej mierze polegają na rekomendacjach znanych twarzy. – Jedyne, co może zmienić rynek influencerów, to regulacje, np. takie, jakie zostały wprowadzone przez UOKiK (z koniecznością oznaczenia reklam), które i tak nie wszyscy stosują – mówi Kardyś. – No i zwiększenie świadomości o marketingu influencerskim. Klienci nadal nie wiedzą, jak weryfikować influencerów i raportować ich działania, dlatego sporo jest nadużyć i oszustw.

Paradoks polega na tym, że treści w nurcie deinfluencingu publikują osoby, które można by określić mianem... influencerów. ■

Ekopodróże czy ekościemą?

P O D R Ó Ż E

Kupując dziś bilet lotniczy, można też zapłacić za offset węglowy, ale co z tego, jeśli każdego roku świat przemierzają miliony turystów?

Hotele i ośrodki wczasowe ze słowem „eko” w nazwie stają się równie popularne jak ekowarzywa czy ekokosmetyki. Większość z nas zapoznana z informacjami w hotelowych łazienkach już pewnie nie domaga się codziennej zmiany ręczników, bo przecież każdy chce zaoszczędzić wodę. Ale to nie wszystko, na co wrażliwi na los środowiska mogą zwracać uwagę w hotelach. Właściciel może zainstalować na dachu panele słoneczne, żeby wykorzystywać w ośrodku zieloną energię. Może zamontować w pokojach i na korytarzach energooszczędne oświetlenie oraz kupować większość jedzenia od lokalnych dostawców, żeby zminimalizować ślad węglowy produktów, które lądują na naszych talerzach. Zużycie plastiku uda mu się też ograniczyć, jeśli znacznie serwować wodę w szklanych, zwrotnych butelkach. Może założyć kompostownik, żeby utylizować odpady bio, używać neutralnych dla natury środków czystości i sadzić w najbliższym otoczeniu drzewa. To praktyki jak najbardziej godne pochwały.

Linie lotnicze również robią wszystko, żeby być eko, a przynajmniej się eko prezentować. Ograniczają loty w połowie pustymi samolotami, usuwają miejsca

w klasie biznes, żeby na pokładzie zmieściło się więcej pasażerów, oszczędzają paliwo. Trwają prace nad pasażerskimi samolotami hybrydowymi. British Aviation Group zapowiadała, że pierwszy wystartuje już za pięć lat. W 2022 r. 450 tys. lotów odbyło się przy częściowym użyciu biopaliw, produkowanych głównie z odpadów spożywczych. Kupując bilet lotniczy, można też zapłacić za offset węglowy, czyli w uproszczeniu wesprzeć organizacje, które zajmują się zalesianiem albo rozwijaniem odnawialnej energii. Teoretycznie ma to zniwelować nasz ślad węglowy, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że działania te służą raczej uspokojeniu sumienia. Bo pytanie brzmi, czy to wszystko naprawdę powoduje, że nasze podróże stają się eko?

Pandemia na dwa lata zahamowała turystyczny ruch, ale wbrew przewidywaniom, że tak będzie wyglądać nasza nowa normalność, po zniesieniu obostrzeń statystyki wciąż rosną. Coraz więcej ludzi chce podróżować. W pierwszym kwartale 2023 r., mimo rosnących cen biletów świat przemierzało 235 mln turystów, ponad dwa razy tyle, co rok wcześniej. W tym tempie szybko pobijemy rekord z 2019 r., kiedy to turystów naliczono aż 1,5 miliarda. Więc niewygodna prawda jest taka, że emisje gazów cieplarnianych generowane przez przemysł lotniczy rosną i będą rosnać. A już teraz stanowią 2–3 proc. wszystkich emisji.

Czy to oznacza, że namawiam wszystkich do pozostania w domu? Oczywiście, że nie. Nie jestem fanką narzucania innym stylu życia. Nie należę do weganek, które tłumaczą mięsożercom, że hodowla zwierząt na mięso zostawia gigantyczny ślad węglowy i w związku z tym powinni z niej zrezygnować. Nie należę do rowerzystek, które krzywo patrzą na miłośników samochodów, bo każdy kolejny wehikuł na ropę czy benzynę to obciążenie dla planety. Nie będę więc także przekonywać zapalonych podróżników, którzy marzą o poznawaniu świata, żeby zostali w domu. Osobisty ślad węglowy to intymna sprawa każdego człowieka i myślę, że każdy powinien sam zdecydować o tym, z czego zrezygnować i czy w ogóle to robić.

Osobisty ślad węglowy to również sprawa kontrowersyjna, ponieważ sam termin został wymyślony przez koncern paliwowy BP. Można więc podejrzewać, że stworzono go po to, żeby przerzucić odpowiedzialność za emisje gazów cieplarnianych na jednostki i ich wybory, a więc dodatkowo utrudnić wprowadzenie niezbędnych rozwiązań systemowych. A to wystarczający powód, żeby podchodzić do tej koncepcji sceptycznie. „Indywidualnych wyborów nie uda się upowszechnić z prędkością, która jest w stanie wpłynąć na problem w odpowiednim czasie; może to sprawić kolektywna akcja mająca na celu zmianę prawa” – pisała Rebecca Solnit, amerykańska eseistka w dzienniku „The Guardian”.

Więc każdy niech sam podejmie decyzję, czy podczas podróży będzie zajmował się problemem ekologii. Natomiast jeżeli postanowi to zrobić, dobrze, żeby miał świadomość, że w ekośrodku w Tajlandii czy na Filipinach w ekodomku z lokalnego drewna i bambusa zawsze będzie znajdował się ślad naszego śladu węglowego. I nie wystarczy przez tydzień używać tego samego ręcznika ani pić wody ze szklanych butelek, żeby go stamtąd wyprosić. ■



Urszula Jabłońska

–reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii” oraz „Światy wzniesiemy nowe”.



Dynia dla jesieniarzy

Wystarczy wyciągnąć z szuflady ciepłe skarpety i już jesteśmy gotowi do celebrowania jesieni. Dynia to jej symbol.

Już nie mogę tego wypierać: lato się kończy. Jeszcze chwila i oficjalnie nastanie jesień. Jej wczesna faza na szczęście jest przyjemna. Nisko osadzone słońce ostatkami sił nagrzewa wszystko dookoła. Obserwowanie natury zmieniającej kolory jest relaksujące i rozczulające.

Nadciągającą jesień widzimy za oknem, ale i na ekranach telefonów, już się objawiają pierwsze „jesieniary”, czyli osoby, które jesień uwielbiają i sprawiły, że sama w sobie stała się trendem. To nie tylko czas w roku, ale wręcz święto. Jesień ma atrybuty, bez których nie obejdziesz się żadna „jesieniara”. Są to: skarpety, przyjemny koc, wykupiony abonament streamingowy, bukiety z zebranych liści, zapachowe świece, dzbanek z herbatą, czekolada do picia (koniecznie z piankami) i wszechobecny motyw dyni. Dynia to symbol jesieni, ale należałoby ją wprowadzić także do swojej diety.

Znajomość odmian dyni też jest mile widziana, ale to już zaawansowany poziom miłości do jesieni. Tym bardziej że odmian tego warzywa ostatnimi czasy mamy prawdziwy wysyp. Różnią się od siebie nie tylko kształtem i kolorem, ale także smakiem i fakturą miąższu. Te najpopularniejsze są można bez trudu kupić na straganach, w warzywniakach, ale i w marketach. Makaronowa jest podłużnego kształtu i ma włóknisty miąższ przypominający właśnie makaron. Dynia piżmowa ma kształt gruszki. Jest zwarta, ma delikatny smak, więc jest bardzo uniwersalna. Dynia hokkaido cieszy się wielkim powodzeniem, bo jest



Alicja Rokicka

– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

dość słodka, ma miękką skórkę, więc nie trzeba jej obierać. Jest okrągła i bardzo pomarańczowa (mowa o kolorze).

Moją ulubioną odmianą jest muscat de provence. Ma piękny żłobiony kształt i niesamowite kolory wchodzące z zielonego w niebieski. Jej miąższ jest mocno pomarańczowy, a dojrzała jest bardzo słodka i pachnie melonem. Można spokojnie jeść ją na surowo, taka jest smaczna! Idealnie nada się do wypieków i deserów.

Owoce pod kruszonką to jedno z najprostszych słodkich wypieków. Kruszonkę można przygotować według starych francuskich proporcji mąki, masła i cukru 3:2:1. Zawsze wychodzi. Można przygotować też mieszanki z dodatkiem płatków owsianych. Ja bardzo lubię robić kruszonkę z dodatkiem orzechów – jest bardzo aromatyczna i chrupiąca. To, co ukryjemy pod nią, jest już kwestią wyobraźni i sezonu. Dlatego we wrześniu polecam śliwki albo dynie, koniecznie z jabłkami. Elementem, którego nie może zabraknąć we wrześniowych wypiekach, jest szczypta cynamonu.

Teraz wystarczy wyciągnąć z szuflady ciepłe skarpety i jesteśmy gotowi do celebrowania jesieni. ■

Dynia i jabłka pod orzechową kruszonką

200 g zmielonych orzechów włoskich lub innych
100 g mąki pszennej
200 g roślinnego masła lub margaryny
100 g cukru
2–3 soczyste jabłka
300 g dyni, np. hokkaido albo muscat
sok z 1/2 cytryny
2 łyżki cukru
2 łyżki mąki ziemniaczanej
1 łyżeczka cynamonu

Sposób przygotowania:

■ Odmierz składniki na kruszonkę. Orzechy bardzo drobno posiekaj albo przenieś do pojemnika blendera z ostrzem w kształcie S (i zblenduj mocno). Można też kupić gotową à la mąkę z orzechów.

■ Przenieś suche składniki do miski. Dodaj mąkę i cukier. Wymieszaj. Masło pokrój w kostkę i dodaj do suchych składników. Zaczynaj mieszać rękami. Możesz dodać łyżkę zimnej wody. Ciasto nie musi być superjednolite. Uformuj dysk, zawiń w folię spożywczą i przenieś do lodówki.

■ Dynię obierz i pokrój w 1-centymetrową kostkę. Przenieś do miski. W podobną kostkę pokrój jabłka. Dodaj do dyni. Wyciśnij sok z połowy cytryny i wlej do miski. Dodaj cukier, cynamon i mąkę ziemniaczaną. Wymieszaj.

■ Przygotuj blachę do pieczenia 20 x 25 cm. Wyciągnij ciasto z lodówki. Przy pomocy tarki o dużych oczkach zetrzyj połowę do formy. Przenieś dynię z jabłkiem. Zetrzyj drugą połowę ciasta. Jego nadmiar można z powodzeniem zamrozić.

■ Wstaw ciasto do nagrzanego do 180 stopni Celsjusza piekarnika i piecz 25 minut. Podawaj bez dodatków albo z lodami.

Bogusław Chrabota, szef „Rzeczpospolitej”: „Retoryka liderów PiS poszła tak daleko, że protagonistom partii rządzącej wolno powiedzieć o byłym premierze właściwie wszystko; że jest zdrajcą narodu, wrogiem Polski, sprzedawczykiem, eksponentem interesów niemieckich, sprzymierzeńcem Putina itd., itp. (...) Trudno tego rodzaju agitacji nie uznać za czystą podłość. (...) Gdzie strażnicy moralności z Kościołem katolickim na czele? Gdzie moralne autorytety jego liderów? (...) Gdzie liderzy polskiej nauki, profesorowie akademicy, grona świątecznych ludzi dobrej woli? Dlaczego nikt nie zaprotestuje?”. Zło się znów zbanalizowało.

Minister Piotr Gliński wyjaśnia, czym się kieruje w sprawach ludzi kultury („Plus Minus”): „jak mam wytłumaczyć naszemu wyborcom, że trzeba stworzyć specjalny fundusz emerytalny, który ta ustawa [o zawodzie artysty] proponuje, dla pani Jandy czy dla pana Seweryna? Oczywiście, to nie byłby fundusz tylko dla nich, a dla 80 proc. artystów, którzy mają czasem trudną sytuację materialną. My to wiemy, ale politycznie to jest dziś nie do przeprowadzenia, bo celebryci przyznali sobie prawo do obrażania nie tylko nas, ale znacznej części polskiego społeczeństwa”. Na złość mamusi odmrozić cudze uszy.

Dla se.pl komentuje lider partii Razem Adrian Zandberg: „Minister Czarnek perorował ostatnio w Sejmie przeciwko prywatyzacji [edukacji]. Rząd chce się pytać o prywatyzację w referendum. Takie pytanie to oczywiście hucpa – nie ma wiele wspólnego z ochroną publicznego majątku, który PiS zresztą wyprzedawał. Wystarczy wspomnieć Rafinerię Gdańską. Pytanie o prywatyzację jest naprawdę dość żalotne w wykonaniu rządu, który od lat administruje pełzającą prywatyzacją usług publicznych. To zresztą ten sam rząd, który kilka lat temu zignorował milion podpisów obywateli, którzy chcieli referendum w sprawie reformy oświaty. (...) Teraz zbieramy owoce tamtych decyzji”. Zgniłe owoce.

15 października trzeba, by Polacy unieważnili obecność Tuska w polityce. Trzeba mu powiedzieć „Nie” albo „Nein”, gdyby nie zrozumiał. „Do widzenia” albo „Auf Wiedersehen” – Mateusz Morawiecki, wiec PiS w Końskich.

Jarosław Kaczyński jak mało kto potrafi ośmieszyć się w publicznych wystąpieniach, obrażając przy okazji dziesiątki tysięcy ludzi. Na wiecu PiS w Końskich (cytujemy za salon24.pl) zdefiniował rodzinę jako „związek jednego mężczyzny i jednej kobiety”, i przekonywał: „Odrzucamy wszelki atak na rodzinę, twierdzenie, że ona jest źródłem opresji; rodzina to jest jedyne miejsce, w którym mogą przyjść na świat i być dobrze wychowane dzieci”. On wie, że to bzdury.

Podczas tego samego wiecu wystąpił Paweł Kukiz. Wzięty na listy wyborcze PiS nie mógł się nachwalić prezesa PiS: „To pierwszy polityk polski, który wywiązał się absolutnie ze wszystkich zobowiązań i któremu można wierzyć”. Zatem Kukizowi wierzyć nie można.

Diaгноza pisarza Andrzeja Stasiuka jest całkiem inna („Newsweek”): „Kaczyński jest mistrzem w odkrywaniu resentymentów, wykopywaniu najgorszych rzeczy z ludzkości, bo tylko to tak naprawdę potrafi. Mroczna psychologia to teren, na którym świetnie się czuje. Tyle że on jest już stary, nawet nie tyle z metryki, co z zachowania. Gada w kółko to samo, widać, że styki już mu nie jarzą, bateria się kończy. A jego następcy to spryciarze, dla których liczy się wyłącznie władza, kasa i żeby nie poszli siedzieć”. Bo wiedzą, że mają za co.

W „Do Rzeczy” Łukasz Warzecha chłodno o zbrojeniach: „zaczyna się pojawiać coraz więcej pseudomocarstwowych pokrzykiwań, w których przedstawiciele obozu władzy chwalać się tym, jaką potęgą staje się rzekomo polska armia, co nieuchronnie przywodzi na myśl buńczuczne pohukiwania z końcówki lat 30. (...) Zakontraktowane zakupy, według przybliżonych wyliczeń specjalistów – władza bowiem takich nie prezentuje – mogą kosztować blisko pół biliona złotych, a jeśli weźmiemy pod uwagę inflację, która niespecjalnie spada, to zapewne więcej”. Tromtadacja – nasza specjalność.

Swoje marzenie przedstawia w „Wolnej Sobocie” prof. Marcin Matczak: „Chciałbym, żeby wzorcem Polki i Polaka stał się ktoś, kogo nie da się zaszufładować. Żeby było wstyd być łatwym do skatalogowania. Żeby pojedynczość łatki (lewak, katol, libek) była nie tylko winą nadającego, ale i tego, komu łatwo ją przypiąć. Żeby to, że jesteś przede wszystkim feministką, obrońcą Kościoła czy kibicem Legii, oznaczało, że coś jest z tobą nie tak. Że jesteś ubogi. Bo człowiek wielowymiarowy łatwiej znajdzie sojuszników – jeśli jest jeszcze melomanem czy kawoszem, można z nim znaleźć więcej płaszczyzn wspólnych”. Tylko trzeba chcieć szukać.

Jan Widacki zachęca czytelników „Przeglądu” do pójścia na wybory, strasząc: „Czarna wizja jest taka. Po wyborach rządzi koalicja PiS-Konfederacja. Premierem jest Przemysław Czarnek, ministrem nauki i edukacji Grzegorz Braun, zdrowia – Łukasz Mejza, kultury – Zenek Martyniuk (trochę szkoda, bo do tej pory był to mój kandydat na dyrektora Filharmonii Narodowej). Jest jeszcze do wykorzystania wiceminister Janusz Kowalski. Resort obojętny”. A Mentzen na ministra finansów.



 tp-link | tapo

Sprzątaj bez wysiłku

Robot odkurzający i mopujący z czujnikiem LiDAR

Tapo RV30



Siła ssania
4200Pa



Podwójny
system czujników
LiDAR i Gyro



Wykrywanie
przeszkód
i zapobieganie
kolizjom



Odkurzanie
i mopowanie



Cicha praca



Bateria
o pojemności
5000mAh



Intuicyjne
zarządzanie
poprzez aplikację
Tapo

www.tp-link.com.pl



YES × Ossoliński